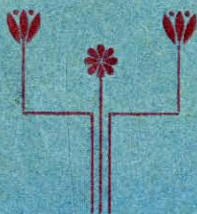


Xiądz Charszewski.

W pałacej sprawie Młodzieży Szkolnej ≡≡≡ w Królestwie.

My chcemy Boga w książce, w szkole,

.....
Za Wiarę damy — życie, krew!



PŁOCK. W TŁOCZNI K. MIECZNIKOWSKIEGO.—1907 R.

Cena 4 złp.

ignacy

Xiędz Charszewski.

W palącej sprawie
Młodzieży Szkolnej
w Królestwie.

*Na tle stosunków szkolnych
w gimnazjum polskim w Płocku.*

„My chcemy Boga w książce, w szkole,

*.....
Za Wiarę damy życie, krew!”*

—
—
—
P Ł O C K .

Druk K. Miecznikowskiego.

—
—
—
1907.

Maryja Sutkiewicz



68579

Rodzimym „Australczykom“

w stosunku do świata Myśli katolickiej,

ku czci

Elizy Orzeszkowej,

święcącej czterdziestolecie jubileuszowe

plodnej a obywatelskiej pracy pisarskiej

kartki te

poświęcam.

Xiędz Charszewski.

Trzopowo pod Płockiem

d. 10 marca 1907 r. P.

K-249/76/74930



W numerze 5-tym *Płocczanina*, w artykule p. n. „Prawo do wolności słowa“, podpisanym przez *Obywatela* (dodaj: *kraju*) z *Przasnyskiego* (dodaj: *rodem*), w artykule, którego celem jest obrona głośnej odezwy młodzieży szkolnej do społeczeństwa (tamże № 3), więc w którym prawo do wolności słowa przyznano tej ostatniej,—czytam: „Prasa w takich wypadkach powinna być pośredniczką pomiędzy dwoma obozami: musi dać swe łamy dla stron obu... my dajemy i *audiatur et altera pars*“. Mówiąc nawiasem, owo „my dajemy“, jak zresztą i wyraźna tendencja *pro domo sua*, stanowi dowód, że artykuł rzeczony narodził się, jeśli nie w lokalu redakcyjnym *Płocczanina*, to odeń bardzo niedaleczko.

Gdy w numerze 8-ym tegoż czasopisma ukazał się w sprawie tej samej „List Otwarty“ p. Ignacego Grabowskiego, zgłosiłem się do redakcji z wywiadem, czy zechce pomieścić moję na ów „List“ odpowiedź.

— Nie możemy, bo nie chcemy wciągać pisma na śliską drogę polemik...

— Ależ w sprawie młodzieży polemika wrze na łamach *Płocczanina*! Pismo na ową drogę już weszło... Zresztą, chcę tylko sprostować błędne poglądy na Kościół i naukę katolicką...

— Tam niema żadnych tego rodzaju błędów!

— Mówię panu, jako katolik uświadomiony i, zdaje się, nie fanatyk, że są! W imię wolności słowa, pismo powinno dać zadosyćczynienie i stronie katolickiej.

— Nie możemy przewlekać polemiki bez końca...

— Nie narzucam się... — przerwałem dyskusję, widząc, że zaczyna wpadać w błędne koło, jak bociek, gdy nań wołają „Do koła Wojtek!“...

Opuściłem przybytek „wolnego słowa“, zostawiając redaktora w prawdopodobnym przekonaniu, że jest on lepiej ode mnie uświadomiony w nauce katolickiej i że jest ze swoim holdownictwem „wolności słowa“ w porządku...

W kilka dni potym czytałem w № 9-tym *Płocczanina* trzy artykuły w sprawie młodzieży.

Po upływie znowu dni kilku dowiedziałem się, że w sprawie tej samej los do mojego podobny spotkał i p. Adama Niemirowskiego, znanego z dawna zaszczytnie prawnika i publicysty.

Sprawa zainteresowała mnie żywiej, i oto zamierzony wprzód artykuł urósł mi pod piórem do rozmiarów sporej broszurki. Zawdzięczam to w znacznej mierze sposobowi, w jaki redakcja *Płocczanina* wolność słowa praktykuje. Nie napróżno-m fatygował się do niej i nie żaluję, że nie przypomniał sobie w porę innych słów *Obywatela z Przasnyskiego* o zagrożającym t. zw. „wolnej“ myśli „królowaniu t. zw. pisarzy katolickich, poddających swe artykuły (!) aprobachie duchownej“, która „równa się terrorowi dawnej cenzury“. Incydent redakcyjny odegrał poniekąd rolę owego przypadku, który potrąca w górach kruszynę śniegu...

Zyskałem przytym nowy, dodający otuchy dowód—a mam ich w skrytce doświadczenia pisarskiego sporo,—jak dalece myśl „wolna“ lęka się myśli katolickiej, jak ucieka przed nią, niby mrok przed światłem. Jednocześnie jednak pomyślałem ze smutkiem głębokim: co to się dzieć musi z myślą i z uczuciem katolickim w głowach i sercach katolików świeckich, gdy spotykają się z sekciarskim terrorem ze strony myśli „wolnej“! Słaba i niewykształcona myśl katolicka truchleje, aż do zaparcia się Piotrowego. W najlepszym razie opadają z niej szaty katolickie—jak gdyby trzeba było się ich wstydzić—i ostaje się naga myśl naturalistyczna, nie zawsze zdrowa i piękna, często brutalna...

...Rzucam broszurę do wskrzeszonej zaledwie, a już zagrożonej przez doktrynerstwo rewolucyjne Szkoły Polskiej, jakoby bombę katolicką, nadzianą siekańcem krytycznym i naładowaną gazami świetlnymi myśli katolicko-chrześcijańskiej.

W myśl dewizy Arystotelesa: „Amicus Plato, magis amica veritas“—przystępuję do rzeczy.

„My, ostudzeni w swej naiwnej wierze, przekonani, że na nieczyją pomoc, oprócz nielicznej garstki postępowej w społeczeństwie polskim, liczyć nie możemy, ze wzgardą odwróciliśmy się od nich (przeciwników bojkotu szkoły rosyjskiej), plując im prosto w twarz...“ Tak przemówił „Organ związku płockiej młodzieży postępowej“—*Do Dzieła* (№ 1). I nagle ta sama młodzież zwraca się w organie publicznym, *Płocczaninie*,—„Do całego społeczeństwa polskiego“, z apelacją do jego sądu w sprawie swojego zatargu ze swoją zwierzchnością szkolną...

Nie bierzmy jednak tej, tak rażącej niekonsekwencji zbyt ściśle, ani onego „plucia prosto w twarz“—zbyt tragicznie. Po-

rywmy młodociane, nie sterowane przez rozum hartowny, są w swoich rzutach i skokach nieobliczalne. Wybuchy niezuć młodzieńczych, zwłaszcza jak teraz, podsycanych przez atmosferę rewolucyjną, wyrzucają pociiski, które nie mogą dosięgnąć upatrzonych ofiar: choć muszą budzić w społeczeństwie niepokój o przyszłość młodzieży, mającej stworzyć przyszłość narodu, a tak niebezpiecznie igrającej z drogocennym ogniem dusz własnych.

Młodzież jest chora, gorączkuje. Najpierwszym zabiegiem leczniczym, który należy jej zaaplikować, są zimne okłady trzeźwej i jędrnej perswazji krytycznej. Skutkiem zastosowania tego zabiegu musi być ostudzenie rozpalonych żądzą karkołomnych reform głów młodzieńczych, a z drugiej strony — obudzenie zachwianej w nich wiary w społeczeństwo, w Kościół, w Boga: *była młodzież okazała dobrą wolę.*

Ten cel założyłem sobie w pracy niniejszej, ufny, że założeniem tym nie zrażę czytelnika, że będę wysłuchany do końca. Jeśli cel dla kogo niepopularny, na popularną dla wszystkich wolność słowa się powołuję!

Czy młodzież zawiniła przeciw społeczeństwu przez sam goły fakt wystąpienia zbiorowego, ze swoją skargą i żalem, na forum publicznym? Nie sędzę. Zgadza się ze sławetnym *Obywatелем z Przasnyskiego* na jego dowód przeciw bezwzględny oskarżycielom młodzieży, że prawa wolności głosu nie odmawia się nawet niemowlęciu w pieluchach, z którego krzyku dowiadujemy się o jego bólu i chorobie.

Ale... ale w tonie młodzieży, przemawiającej do społeczeństwa, brzmiały nuty inne, prócz nuty skargi i bólu. Takie, wobec których argument p. *Obywatela* stanowczo nie wystarcza.

Można się z pobłażaniem uśmiechnąć z pretensjonalnie koturnowej pozy, którą młodzież w odezwie swojej przybrała. Można jej wybaczyć niezdarność, z jaką ona stąpa na swoich tragicznych koturnach, chromając i płacząc się w stylu. Można, w końcu, z wyrozumieniem potraktować jej megalomanię młodzieńczą, która kazała jej mniemać, że słabiuchny jej głos przebrze się poprzez wrzawę rewolucyjną, rozegzmi po kraju ca-

łym i wstrząśnie nim, niby róg czarodziejski Astolfa*); wówczas, gdy sprawa, przez młodzież podniesiona, choć niewątpliwie ważna, stanowi jeden tylko z epizodów miejscowych plockich, w całym ich łańcuchu krajowym na tle wielkiej sprawy szkolnej.

Jakto? Kraj cały, mający na głowie tyle i tak ważnych spraw powszechnych, a w każdej swojej części — tyle spraw miejscowych, ma się zajmować badaniem i rozsądzaniem faktu relegacji jednego ucznia ze szkoły w Płocku? Wyolbrzymiony przez gorączkę subiektywizm młodzieńczy nie zna granic swojej urojonej potęgi!

Mamy tu atoli do czynienia nie z samą tylko wybujałą fantazją młodzieńczą, ale i z „polityką“ uczniowską. Młodzieży szkolnej plockiej, po przegraniu przez nią sprawy w obliczu Rady pedagogicznej, oraz w obliczu wiecu rodziców, pozostało „całe społeczeństwo“, jako instancja najwyższa i ostatnia. Tedy udała się ona do niego, nie bacząc, że doszła była przedtym do „przekonania“, jako „na nieczyją pomoc, oprócz nielicznej garstki postępowej, liczyć nie może“. (Oszczędzam młodzieży wypominania „plucia prosto w twarz“). Przecież i w tym położeniu, zdawałoby się, bez logicznego wyjścia, młodzież znalazła sobie furtkę „polityczną“. W zakończeniu szumnej odezwy do „całego“ społeczeństwa, ogranicza ona je dyplomatycznie, zwracając się „do wszystkich tych, w oczach których zasługuje na wysłuchanie głosu swego“. Mimowoli nasuwa się podejrzenie, czy młodzież w głębi duszy i tu nie rachowała jedynie na pomoc z obozu „nielicznej garstki postępowej“, a „całego“ społeczeństwa, prócz dla efektu, nie użyła jedynie dla osłony swojej partyjności?!

Tak, odezwa młodzieży brzmi, jak nota dyplomatyczna, w przededniu wojny. Po przez ton skargi i żalu przebija się stale wyraźną dominantą nuta zarozumiałej groźby. Pomimo uznania się za zwyciężoną, młodzież przemawia tonem nieprzejednanej irredenty. Przemileczając o całym podkładzie walk szkolnych, na których tle rozegrał się był akt relegacji, poddaje ona sam ten fakt goły pod sąd „myślącego“ społeczeństwa; i, gdy

*) Jeden z bohaterów epopei Ariosta: „Orlando Furioso“.

czyn wydalonego kolegi, który zawołał do dyrektora szkoły: „Pan nie ma prawa tak mówić“, traktuje jako *problematycznie* „niewłaściwy“, *) — to czyn dyrektora, który zrewoltowanemu uczniowi kazał opuścić salę szkolną, a potem przeprowadził w Radzie pedagogicznej uchwałę jego wydalenia, piętnuje jako akt „przemocy i brutalności“ i stawia pod „pregierz“ opinii publicznej. Dodajmy wreszcie, że młodzież nie tylko traktuje sama siebie, jakoby równą dojrzałemu przecie społeczeństwu, ale nadto z góry przesądza słuszność swej sprawy i sąd mu swój narzuca...

Czy za to nie należało by samej młodzieży postawić pod ten sam pregierz, pod który ona podaje swego zwierzchnika? Za nadto jednak, pomimo wszystkiego, cenimy w niej poczucie własnej godności, abyśmy to uczynić mieli. Poprzestajemy na proteście surowym przeciwko szarganiu przez młodzież godności cudzej, zwłaszcza, jak w tym wypadku, godności zwierzchnika własnego! Kto nie umie uszanować innych, sam prawo do szacunku traci: powinna to sobie młodzież dobrze w sumieniu zakarbować!

Oto analiza krytyczna właściwej przyczyny oburzenia, które instynktownie odczuli czytelnicy odezwy, o ile ich pocucia etycznego nie zamącił duch partyjnego sekciarstwa. Pomimo wszelkich uroszczeń meta-postępu, zasada szacunku i karność względem zwierzchników, na zawsze pozostanie zasadą niewzruszoną. Jedynie sposób stosowania jej w życiu może i powinien podlegać reformom postępowym w duchu demokratycznym, w miarę postępowego szlachetnienia dusz ludzkich, oraz rozwoju w nich samouświadamienia. Młodzież plocka obraziła tę zasadę radykalnie, w samym jej korzeniu, i obowiązana jest przeto na sumieniu do ekspiacji... Prawda to piołunowa, niemniej prawda!

Niefortunny występ młodzieży plockiej znalazł w społeczeństwie odzew, choć tuż, niedaleczko: jak było do przewidzenia.

*) „...może zresztą w niewłaściwy sposób“. Kursuje inna jeszcze wersja, według której zapamiętały młodzieniec odezwał się: „Pan się nie zapominaj!“ O ile mi wiadomo, odezwanie to było przysłowiową „kroplą“, która miarę nieprawości przepelnia.

nia i jak stać się było powinno. Sprawa tedy powróciła do instancji właściwej, gwoi powtórnemu jej rozsądzeniu. (Młodzież w odezwie skarży się między innymi, może tym razem i słusznie, na odrzucenie *a limine* przez wiec rodziców jej zażaleń). I stało się dobrze, iż sprawdziła się na odezwie słuszność przysłowia: „Niema tego złego, które by na dobre nie wyszło“. Złe, niezależnie od świadomości oraz intencji jego winowajczych twórców, ma swoją dziwną, tajemniczą, rzekłbym — mistyczną celowość. Chodzi o to tylko, żeby ludzie reagowali na nie krytycznie i żeby tym sposobem nauka, tkwiąca w złem, nie poszła na marne. Złe objawy wskazują zawsze na jakąś chorobę, nurtującą organizm: fizyczny i moralny, osobniczy i zbiorowy. Dobrze więc, gdy choroba wyrzuci się objawami na zewnątrz. Nie tłumić je i wpędzać napowrót do wewnątrz, jeno leczyć od wewnątrz należy...

W sprawie młodzieży plockiej wypowiedziało się na łamach *Płocczanina*, jak dotąd, głosów kilka: za i przeciw. Z pośród głosów tych, jedynie dwa niewieście: p. Marji Kunklowej*) (dwukrotnie: № №: 5 i 9) oraz p. Marji Czermińskiej (№ 9) — wyróżniają się sądem zdrowym, obiektywnym, niezamąconym wpływami hasel partyjnych.

Głosy męskie natomiast, właśnie wskutek owych wpływów, nieobmyślane spokojnie, uzależnione od przesądów „postępowych“, pomijając kruszynę zawartą w nich prawdy, mają na ogół ważkość i wartość pustej słomy frazeologii pseudo-wolnomyślniej, a naprawdę — lekkomyślniej. Słomę tę, mówiąc nawiasem, dawno już wymłóciła krytyka katolicka; jeno panowie ci o tym nic nie wiedzą, gdyż hołdują nakazowi „liberalnemu“: „*catholica non leguntur*“,**) — choć mimo tego, oraz mimo hałasowania na tematy etyczne, wręcz *nieuczciwie* (nie mówiąc o tym, że i nielogicznie) przywłaszczają sobie prawo wyrokowania *ex cathedra* nieomyślniej myśli „niezależnej“ — o rzeczach katolickich.

*) Pan Miller charakteryzuje wywody tej autorki, jako „objaw patologii endeckiej“. Nie jestem endek, ani nawet sympatyk Endecji. Gotów jestem, owszem, z ostrowidztwem kruka wydziobiwać specyficzne ziarenka endeckie. Otóż w art. p. Kunklowej nie podobnego nie znalazłem.

**) „Rzeczy katolickich nie czyta się“.

To zestawienie się przypadkowe głosów pań i panów na łamach *Płocczanina*, mówiąc mimochodem, nasuwa mi argument przeciwko społecznym dążeniom feministycznym do równości, a raczej utożsamienia politycznego kobiet. Tym więcej, że serca matek, na ogół, zdolniejsze są do społecznego z młodzieżą postępować, aniżeli serca ojców, zacofanych często istotnie: a z drugiej strony, wiedzione nieomylnym instynktem macierzyńskim, łatwiej, niżeli ojcowie ultra-postępowi, przeczuwają grożące młodzieży niebezpieczeństwa moralne.

Takaż za to uznanie nagroda? — zawoła zdumiona ta i owa pani. Nieinaczej! Daje mi to bowiem do myślenia, że niewiasty, stojąc na trybunach ponad terenem walk politycznych, stokroć więcej zdziałać mogą, jako pośredniczki pokoju między walczącymi obozami. Są katolicy, którzy z tego samego powodu radziłyby byli właśnie prawom politycznym kobiet. Cóż by się atoli stało z ich misją aniołów rozjemczych, gdyby poszły w ogień walk partyjnych? Żali ogień ten nie osmalił by ich dusz dymem sekciarstwa i nie przeżarł ich swędem podejrzanego w swej czystości etycznej paliwa politycznego? I straciłyby cześć mężczyzn, aż z nią wraz i wpływ na nich, skoroby do równej w teorii, a nierównej w praktyce, walki z nimi stanęły. A któżby je zastąpił w podniosłej i doniosłej roli bojownic pokoju?

W tym świetle — kobiety, uzbrojone w prawa polityczne, przedstawiają mi się, jako dzikie amazonki z *fin-de-siècle'u*! W tym świetle — nieposiadanie tych praw — to przywilej, podobny do przywileju wolności od służby wojskowej...

Z pośród opinii panów o sprawie młodzieży — jedna zwróciła moją uwagę szczególną: przez swój rozmach, inteligencję i bezpośredniość poglądów, — a mimo tego przedstawiająca obfity i kapitalny materiał krytyczny. To opinia p. Ignacego Grabowskiego. Tę przeto obrałem, jako punkt wyjścia oraz główny szmat kanwy polemicznej do wysnucia na niej swoich uwag i myśli.

Albowiem sprawa młodzieży zgola nie zaczyna się i nie kończy na wypadku relegacji ucznia, oraz odezwie jego kolegów z jej powodu. Wypadek ten, jak nadmieniałem był, — to jeno jeden odgłos walki, który się wydarł okrzykiem złowróżbnym po

za mury szkolne; walki, która wypadek ów poprzedziła i która powagę całego szkolnictwa polskiego w Królestwie podkopuje, kompromitując społeczeństwo wobec obcych, i która jest, niestety, poniekąd dalszym ciągiem historycznego bojkotu szkoły rządowej, rosyjskiej.

Punktem ciężkości tej walki jest walna sprawa religii, którą pseudopostęp podstępnie atakuje, dążąc do jej wyrugowania ze szkoły. Tę istotną część sprawy, w dyskusji publicznej na łamach *Płoczezanina*, pominięto milczeniem, lubo tu i owdzie ubocznie zgrzytnęła ona falsetem pseudo-liberalnym. Oświecić ją wszechstronnie—to—wyrażony przedtym ogólnikowo cel główny pracy niniejszej.

W stanowisku, zajęтым przez p. Ig. Grabowskiego wobec młodzieży, można by w ogóle upatrywać wpływy modnego dziś w nauce subiektywizmu kantowskiego. Ujawniają się one zaraz na samym wstępie jego „Listu“, a doprowadzają go do szczytu absurdu w jego poglądzie na jeden z grzechów przeciwko Duchowi Świętemu.

W odezwie młodzieży płockiej do całego społeczeństwa, autor, w przeciwieństwie do mnie, wyczuł raczej i tylko „ton rozżalenia i goryczy“, oraz na tym jedynie wrażeniu osobistym, z natury swej podmiotowym, godnym więcej dramaturga, niż filozofa, oparł swój werdykt: „Jeżeli młodzież odżywa się do społeczeństwa ze spokojem, goryczą i żalem, to można być pewnym, że młodzież *pokrzywdzono*“ (podkr. autora „Listu“).

Podstawa dla wyroku, doprawdy, zbyt ruchoma i niepewna! Przypuśćmy nawet, że w danym wypadku wrażenie autora nie zawiodło: to czy ono, samo jedno, przesądza sprawę na całkowitą korzyść młodzieży?

Rozumiemy i uznajemy potrzebę i pożytek stosowania w jurydyce—metody psychologicznej, ale ona nie może zastąpić materiału faktycznego.

Tymczasem autor wyznaje, że mu „nie chodzi o szczegóły, lecz o treść, o tę *prawdę wewnętrzną*“ (podkr. autora), którą się odczuwa raczej, niż wyrozumowywa“. W interpretacji ści-

ślejszej, oraz jaśniejszej, to znaczy: nie chodzi mi o prawdę samą w sobie („das Ding an sich“), którą poznaje się z objawów zewnętrznych,—czyli: nie chodzi mi o fakty, które poprzedziły odezwę młodzieży, jak przyczyna poprzedza skutek; jeno chodzi mi o prawdę podmiotową, którą odczuwa się duszą własną w duszy cudzej, w danym razie—w zbiorowej psychie młodzieży.

Jeżelim dobrze zrozumiał autora—a mniemam, że tak, bo inaczej zrozumieć trudno,—tedy wypada, że autor odczuł *tylko przekonanie młodzieży o własnej słuszności*, o czym, t. j. o tym przekonaniu, nikt nie wątpił i czego przeto dowodzić nie było potrzeba. Stosując atoli do sądów taką metodę, należało by każdego winowajcę usprawiedliwić! Któryż bowiem winowajca nie usprawiedliwia się sam przed sądem własnego sumienia? Któremuż winowajcy braknie argumentów na własną obronę i któryż nie potrafi bronić się *z przekonaniem*, mniej lub więcej silnym, i mniej lub więcej szczerem? Potrafią to wszak nawet przestępcy kryminalni, gotowi również nadużyć słów Mickiewicza: „Chcę mnie sądzić, nie ze mną trzeba być, lecz we mnie“. I dlatego wszelkie sądownictwo, urzędowe czy prywatne, rozporządzające egzekutywą czy tylko moralne, kierować się musi zasadą: „Nemo iudex in propria causa“: *Nikt w sprawie własnej nie może być sędzią*,—choć każdy może być znakomitym jej adwokatem!

Protestuję jedynie przeciw wyłączności w stosowaniu metody psychologiczno-subiektywnej. Oskarżonego bezwątienia wysłuchać należy i wysłuchać ze współczuciem. Przekonanie jego może być nacechowane przymiotami, które świadczyć mogą na jego korzyść, jako okoliczności, łagodzące winę, lub nawet, jako dowody, całkowicie go z niej usprawiedliwiające. Żeby jednak przekonanie subiektywne, czyje bądź, mogło być uznane, jako prawdziwe same w sobie, ono samo jedno do tego nie wystarczy nigdy, ale musi być poparte faktami, faktami i jeszcze raz faktami!

Bez nich, bez faktów, wszelkim sądom ludzkim otwiera się szerokie, bezdrożne pole dowolności, na którym one skazane są na błąkanie się po manowcach wrażeniowo-uczucio-

wych, jak: osobiste sympatje i antypatje, uprzedzenia powzięte z góry, dodatnie i ujemne, upodobania i niechęci, idiosynkrazje, przesady i tym podobne czynniki psychiczne, które nie wspólnego z dążeniem bezinteresownym do prawdy przedmiotowej nie mają. Słowem, otwiera się pole twórcze dla hipotez, domysłów i mniemań, które siłą przekonania subiektywnego, wzmocniona przez miłość własną, na poczekaniu krystalizuje w dogmaty. Też tak pospolitą dążność umysłową, francuzi zamknęli w krótkich, a dosadnych słowach: „faire la théorie de sa passion“: *tworzyć teorię ze swojej pasji* (namiętności). Że zaś „pasja“ stanowi tworzywo dogmatyczne, jak najbardziej nieodpowiednie, tego dowodzić zbyteczna. Nadaje się ono tylko jako materiał do budowania zamków na lodzie, lub napowietrznych, zgola niestosownych do zamieszkania przez ludzi, z krwi i kości złożonych...

Rozmyślnie zatrzymałem się nieco dłużej nad kwestją wartości sądów subiektywnych, gdyż, jak obaczymy, powyższe przedstawienie jej posłuży nam jako punkt oparcia do podważenia dalszych p. Grabowskiego wywodów, na daleko idącym subiektywizmie właśnie opartych.

Szanowny autor dopatruje „pokrzywdzenia“ młodzieży przez władzę szkolną w „napaści afektacyjnej“ na jej poglądy. Grzech to zaś ze strony władzy tej, a krzywda dla młodzieży, nie byle jakie! Albowiem — *risum teneatis amici?* — żali powstrzymacie się od śmiechu przyjaciele? — zwłaszcza wy, uświadomieni po katolicku, chociażby na sześciogroszowym katechizmie — albowiem, o ile p. Grabowski rozumie *etykę chrześcijańską*: „napaść na cudzy pogląd nazywa się w dogmatyce kościelnej grzechem przeciwko Duchowi Świętemu, jako zmierzająca do zabicia duszy, to jest indywidualności człowieka“.

Wybaczenie, sz. autorze, że, pomimo osobistej dla Was sympatji, wydaję Was na pastwę śmiechu czytelników! Ależ bo, doprawdy, miarę sił ludzkich przechodzi, tkwiąca w Waszym etyki chrześcijańskiej rozumieniu, do śmiechu, bodaj homerycznego, pobudka! Toż-eście, panie, sami, z wolnej a nie-przymuszonej woli, palnęli absurd, jakich mało, pomimo iście przedpotopowej ignoracji katolicyzmu, panującej u nas wszech-

władnie! Toż dla nas, katolików uświadomionych, gratka nie-lada i zbyt ponętna, żeby jej nie wyzyskać ku wychłostaniu, jak się patrzy, biczem satyry, ujawnionego tak bajecznie jaskrawo i kompromitująco analfabetyzmu na punkcie nauki chrześcijańskiej! Jeżeli kiedy, to w tym wypadku „durum est satyram non scribere“: *ciężko satyry nie pisać!* I to bez najmniejszej zgola obawy, żeby, w myśl „rozumienia“ p. Grabowskiego, popełnić przez to grzech przeciwko Duchowi Świętemu... Jedy-na pociecha, jaką możemy autorowi ofiarować, to ta, którą w rozpacz swojej pociesza się Mefistofel: „Solamen miseris socios habuisse dolorum!“ — *Pociechę nieszczęśliwych — mieć towarzyszów niedoli.* Śmiało bowiem twierdzą, że większość czytelników *Płoczezanina* przyjęła pogląd p. Grabowskiego o napaści na cudze poglądy za dobrą, rzetelną, chrześcijańską mowę, i nie tylko umysły swoje, w swoim przekonaniu, o jedną więcej „prawdę“ wzbogaciła, ale się nią nawet, na korzyść nauki chrześcijańskiej, i zbudowała...

Niestety, zmuszony jestem wyprowadzić z błędu, tak sz. autora, jako i sz. publiczność czytelniczą, i oskarżyć katolicyzm, że on nie jest bynajmniej tak dalece tolerancyjny względem zapatrywań i mniemań subiektywnych, żeby aż samego Ducha Świętego ku obronie ich powoływał. Przyjdzie mi to jednak nie trudno i, sędzę, zgodnie z rozumem, ku zupełnemu jego zadowoleniu, a bez obawy zgorszenia kogokolwiek.

Pośród sześciu grzechów przeciwko Duchowi Świętemu, wymienionych w każdym, by najmniejszym i najtańszym katechizmie, jest jeden tylko, który z pewnością wszelką wzbudził w umyśle p. Grabowskiego mętne reminiscencje z lat dawnych szkolnych, i na pogląd wiadomy naprowadził go, z winy jego własnej.

Brzmienie tego grzechu jest następujące: „Sprzeciwiać się uznanej prawdzie chrześcijańskiej“. Jest to więc zakaz etyczny, który wypływa wprost z nauki dogmatycznej o łasce oświecającej Ducha Świętego, jako źródle nauczycielskim prawdy chrześcijańskiej objawionej. Gdy bowiem Kościół nauczający jest organem nauczycielskim, działającym z zewnątrz, to Duch Św., według nauki tegoż Kościoła, działa wewnątrz duszy, da-

jąc rozumienie nadprzyrodzone podawanej przezeń nauki, także nadprzyrodzonej.

Kościół został o tym nauczony przez samego Chrystusa, który, zapowiadając wielokrotnie uczniom swoje zesłanie Ducha Św., rzekł do nich: „Lecz Pocieszyciel Duch Święty, którego Ojciec posle w Imię moje, On was wszystkiego nauczy i przypomni wam wszystko, cokolwiek bym wam powiedział“. Innym znów razem: „A gdy przyjdzie Pocieszyciel, którego wam posle od Ojca, Ducha Prawdy, który od Ojca pochodzi, On o mnie świadectwo dawać będzie“.

Ponieważ w dziedzinie wiary religijnej niemożliwa jest oczywistość rozumowa przyrodzona, Duch Święty przeto daje chrześcijaninowi oczywistość nadprzyrodzoną, właśnie przez łaskę oświecającą.

Z tego, co powiedziano, jasnym jest aż nadto, dlaczego sprzeciwianie się prawdzie chrześcijańskiej, o ile złowolne, stanowi grzech przeciwko Duchowi Świętemu. Kto bowiem prawdzie tej się przeciwi, ten przeciwdziała działaniu w duszy własnej — łaski tegoż Ducha Prawdy. Przez zakaz takiego przeciwdziałania Sobie, Duch Święty broni własnej swojej sprawy w człowieku, dla jego dobra...

Jakże więc dalekim od tego autentycznego rozumienia owego grzechu jest rozumienie go przez p. Grabowskiego! — Dziwić się tylko trzeba, że autor, który miał jednak pewną wątpliwość co do swego rozumienia, z lekkomyślną zaiste brawurą wygłosił je, nie uznawszy za potrzebne sprawdzić go w katechizmie! Jeżeli zaś nie miał on katechizmu pod ręką, co jest wielce prawdopodobne, to jakim prawem wydał sąd o rzeczy, sobie nieznanej, a tak ważnej? Na wytłumaczenie jego — nie na usprawiedliwienie — można jedno tylko powiedzieć: „Non peccatum, quia universale“: *Nie jest to grzech, bo to grzech powszechny!* Jak wodę, piją nasi katolicy nieprawość tego grzechu, grzechu przeciw elementarnej zasadzie uczciwości względem Prawdy, zwłaszcza Prawdy chrześcijańskiej. Nie uważają sobie za obowiązek poznać przedmiotu, ba! — poznanie go lekceważą sobie wzgardliwie, a jednocześnie uzurpują sobie prawo do wydawania swoich sądów o tym niepoznanym i za-

poznanym przedmiocie: niebaczni, że wszelkiemu prawu towarzyszy i obciąża go obowiązek!

To jest właśnie, o ile chodzi o chrystjanizm, odmiana grzechu przeciwko Duchowi Świętemu, Duchowi Prawdy. Najpospolitszym jego wynikiem jest bluźnienie Prawdzie: „Albowiem, czego nie znają, temu bluźnią“ — mówi Pismo.

W naszym wypadku wyjątkowo wynik jest przeciwny: wyszedł niby na korzyść idei chrześcijańskiej. Korzyść to jednak pozorna i fałszywa, którą też odrzucić musimy. W rzeczywistości — i tu również raczej szkoda wynika, i to szkoda poważna. Autor bowiem, na rachunek chrystjanizmu, zastawił nim fałszywie złą sprawę.

W istocie, co za fatalne wnioski, z poglądu autora na będący w mowie grzech przeciwko Duchowi Św., wypływają! Wypływa zeń, ani mniej, ani więcej, jeno ubóstwienie wszelkich mniemań ludzkich! Ponieważ znowu wszelkie emanacje (wypływy, wylewy) biorą swoją naturę ze swego źródła, przeto w dalszym ciągu wynika stąd ubóstwienie ludzkiego „ja“. — Wreszcie, ponieważ wśród ludzi: „co głowa — to rozum“, przeto mamy w konkluzji ostatecznej tyle bóstw i bóstwek, ile istot ludzkich, z których każda, bez względu na różnice wieku i wykształcenia, posiada rzekomo jednakie prawa do bezwzględnej nietykalności swoich poglądów. To nie żarty! To jeno wyprowadzenie ścisłe konsekwencji logicznych z zasady p. Grabowskiego, że napaść na cudzy pogląd stanowi grzech przeciwko Duchowi Świętemu.

W głowie mąci się na myśl, co by to było, gdyby tę zasadę wcielono w życie. Toż gromada bóstw i bóstwek ludzkich musiała by pożerać się wzajemnie, dopóki by nie ostał się na kuli ziemskiej jeden tylko człowiek-bóstwo, i to najśliczniejszy nie rozumem, lecz pięścią. Innego rezultatu być by nie mogło. Albowiem: 1. pomimo „ubóstwienia“ ludzie nie przestali by być faktycznie ludźmi, a wzrosli by w niezmierną pychę i 2. jako ludzie — i ludzie tacy — od walki na rozumy przeszli by rychło do walki na pięści. I pomyśleć, że, w myśl zasady p. Grabowskiego, odpowiedzialność za to wszystko spadała by na... Ducha Świętego!



Bezpieczniej oraz logiczniej będzie niewątpliwie złożyć ją na osobę sz. autora. Na dobrą sprawę, to Osoba Ducha Św. nie ma tu właściwie nic do czynienia. Jak Piłat, zawdzięczając roli historycznej, którą w tragiedji Ukrzyżowania odegrał, dostał się do „Credo“ chrześcijańskiego, podobnie autor nasz wprowadził Osobę Ducha Św. do swojego „Listu“, w którym wypowiedział swoje „credo“, mgliste i nieokreślone, ale, bądź co bądź, z tej negatywnej strony jasne, że od chrystjanizmu dość dalekie.

Cóż tedy sądzić należy, ze stanowiska zdrowego rozsądku, o prawach młodzieży do indywidualności, czy niezależności umysłowej, skoro, jak dowiedliśmy, apelacja do Ducha Świętego zawiodła?

Przedewszystkim stwierdzić trzeba, że, skoro tylko zgodzimy się na uznanie istnienia Boga, żaden człowiek nie ma prawa do niezależności swego ducha bezwzględnej. Jeżeli istnieje Bóg, żywy i prawdziwy, tym samym człowiek, twór Jego, musi być od Niego zależny, zarówno ze strony woli swojej, jako i rozumu: woli—w stosunku do przykazań boskich, rozumu—w stosunku do wiary objawionej*).

To prawo jest tak potężne, niezwalczone i niewzruszone, że i człowiek przeciw Bogu zbuntowany, wyzwolić się z pod jego panowania żadną miarą nie zdoła. Gdy wiarę i prawo boskie odrzuci, owo prawo zależności mścić się na nim i ścigać go będzie, skazując go na dręczącą nienawiść i bezpłodną walkę przeciw Bogu i objawionej przez Niego religji. Będzie on również, jako i wierny, zależny od Boga, jeno w kierunku wstecznym, że tak powiem: odbożnym, zamiast—kubożnym. Nie będzie on chrześcijaninem, ale będzie z konieczności psychicznej—antychrześcijaninem i, jeżeli zechce być konsekwentny, a nie wpaść w „herezję“, będzie musiał trzymać się niewolniczo swoich „dogmatów“ przeciwrreligijnych, jak wierzący trzyma się religijnych. O ile ciasny umysłem, będzie miał złudę niezależności myśli, złudę, polegającą na wyzwoleniu się faktycznym z pod pozytywnego wpływu religji, ale swoją drogą

*) Będzie mowa o tym poniżej

pozostanie zależny od jej wpływu w sposób negatywny, w kierunku przeczenia. Jak struś przed myśliwym, będzie chował głowę przed Bogiem; ale Bóg mimo tego istnieć nie przestanie i władzy swej nie straci. Nie zazna pokoju, póki na ziemi są ślady życia religijnego; ponieważ jednak życie to ma za sobą gwarancje Chrystusowe wiecznej trwałości, przeto pokoju nie zazna nigdy.

Otwórzmy pierwszą z brzegu książkę, napisaną przez wroga religji: choćby przedmiot jej był jak najdalszy od wierzeń religijnych, znajdziemy w niej, jak „amen“ w pacierzu, tendencyjne przeciw nim wycieczki. Taki nawet jowiszowy rozum, jak Getego, drażniła niemożliwość odczepienia się od wiary, która zewsząd mu się narzucała, choć ją usiłował zgnieść pogardą, jak się zgniata robaka. „Trzech rzeczy nienawidzę — sarkał Gete bluźnierczo:—dymu tytoniowego, czosnku i krzyża!“—„...den Rauch des Tabaks, Knoblauch und Kreuz!“

Ostatnie wiece warszawskie—to prawdziwa kopalnia dowodów na to samo. Taki sekciarz, jak p. Andrzej Niemojewski, na wiecu *wychowawczym* piorunował na papieża Piusa X za klątwę na pseudomarjawitów. Na wiecach etycznych omawiano drażliwe sprawy moralności w sposób nieetyczny, bo jaskrawy, a w obecności niedorosłej młodzieży płci obojga; stawiano postulaty etycznie wątpliwe; uganiało się za nowinkami etycznymi, atakując zasadnicze podstawy etyki naturalnej. W imię hasła: „precz z obłudą!“ wznowiono zasadę cyników starożytnych: „Quod naturale—non est turpe“. Wszystko to, razem z tą charakterystyczną wyłącznością, ograniczającą rozprawę etyczne do spraw erotycznych, tłumaczy się nienawiścią ku etyce, noszącej markę chrześcijańską; ponieważ zaś ta etyka uświęca zasadnicze prawa przyrodzone, przeto głosiciele hasel naturalistycznych i onym nie darowali. Burzyć, pod pozorem twórczości postępowej, to ich nakaz, ich fatum, ich klątwa!

Buntownicy przeciw Bogu i Kościołowi, który jest organem Bożym na ziemi, piorunują na nietolerancję katolicką, a sami są sekciarskimi fanatykami; na obskuratyzm katolicki, a sami są obskurantami na wywrót;—na wsteczniectwo, a sami są wstecznikami, odwodzącemi ludzkność z drogi postępu

ku Światłości świata, którą jest Chrystus. Wielkimi krokami po za drogą Prawdy posuwają się w kierunku jej przeciwnym na biegun przeciwny, kędy Fałsz i Kłamstwo panują: to im daje złudę niezależności, wyłącznej rozumności, postępowości, oświecenia...

Zastrzegam się, że to wszystko mówię o anti-religijnych *sekcjarzach*. Są wśród niewierzących i umysły poważne, które inaczej należało by traktować, co przecież nie jest obecnie moim zadaniem. Do celu obecnego wystarcza mi charakterystyka sekcjarzy niedowiarstwa.

Człowiek tedy posiada prawo do niezależności ducha, jedynie względnej: niezależności od innych ludzi, w granicach, przez prawo Boże określonych, a przez prawa, rządzące życiem społecznym, wymagalnych.

Indywidualność ludzka, o ile dodatnia, jako dzieło Boże, jest święta i nietykalna. Uznaje ją św. Paweł, mówiąc: „...ale każdy ma własny dar od Boga: jeden tak, a drugi tak“. Słowa te Apostoła są uświęceniem dążeń indywidualistycznych, będących po prostu rozwijaniem tego, co Bóg włożył w duszę ludzką, czy to przez naturę, czy to przez łaskę. Tak rozumiana, indywidualność ludzka zasługuje zawsze na szacunek i na obronę od napaści i gwałtu, czy to fizycznego, czy moralnego. W tym jej rozumieniu aprobuje zdanie p. Grabowskiego, że gwałcić jej nie wolno; na jej straży stoi piąte przykazanie boskie: „Nie zabijaj!“

Tu wszakże chodzi o indywidualność, dotyczącą nie różnic pomiędzy ludźmi pod względem życiowego powołania, ale różnic co do kierunku przekonań czy poglądów. Otóż, o ile różność powołań i uzdolnień jest w życiu konieczna, o tyle, przeciwnie, pod względem przekonań pożądana jest jaknajwiększa jedność, bo i prawda jest i może być tylko jedna, jakkolwiek różne drogi mogą do niej prowadzić. Ten tedy postulat idealny jedności ideowej nakłada na indywidualność umysłową hamulec, ażeby ją uchronić od wykoślenia i rozbięcia, ku szkodzie zarówno podległej zboczeniom jednostki, jako i społeczeństwa. Wiadomo, że idee—to potęgi, które rządzą światem i według których urządza się życie osobnicze i spo-

łeczne. Mogą one być dobroczynne, albo też niszczycielskie. Przeto osobnik ludzki, tak ze względu na samego siebie, jako i ze względu na społeczeństwo, w którym żyje, zarówno przez instynkt samozachowawczy, jako i społeczny, obowiązany jest kontrolować krytycznie i sumiennie własne poglądy, zwłaszcza gdy je chce apostołować. Z drugiej strony społeczeństwo ma prawo do kontroli i, w pewnych razach, nawet do represji względem indywidualności wyuzdanych i rozwydrzonych, zatył dla społeczeństwa szkodliwych i do spółzycia z nim niezdatnych. Jak w ogóle w sprawie wolności, tak i tu, w sprawie osobliwej wolności myśli, prawo społeczeństwa ogranicza prawa składających je indywidualności. Bez karności społecznej nie ostoi się żaden organizm społeczny.

Z tego, co powiedziano powyżej o zależności człowieka od Boga, tak pod względem rozumu, jako i woli, wynika określenie charakteru owego postulatu jedności: ponieważ Kościół jest organem Bożym na ziemi, przeto jedność ideowa urzędywstnieć się może jedynie na gruncie katolickim. Dzieje myśli ludzkiej, zresztą, aż nadto stwierdziły niezdolność jakich bądź innych idei po za Kościołem do stworzenia jedności.

Wiem, prawda to niepopularna w pewnych kołach: niemniej atoli prawda, prawda dowiedziona i wielka. Wartość idei nie mierzy się jej popularnością, lecz niezależnym od niej rozumem krytycznym. Z krytyki wyłaniają się dowody obiektywne na rzecz idei katolickiej, dowody, które znaleźć można bez trudu w literaturze katolickiej, a których przedstawianie tutaj zadaleko by nas odprowadziło z drogi myśli przewodniej. Powtórzę tylko, że poznanie przedmiotu, który się chce krytykować, stanowi elementarny i przyrodzony obowiązek sumienia. Wobec łatwości osiągnięcia poznania katolicyzmu (wszak my, którzy żyjemy pośród ignorantów katolickich, znamy go dobrze, zatył i oni z tych samych źródeł poznać go mogą), nieznanomość jego nie da się bynajmniej określić, jako *ignorantia docta, niewiedomość uczona*; ale raczej, jako kompromitująca i nieuczciwa, o ile pomimo niej kto bądź waży się o nieznanym sobie przedmiocie nauki katolickiej ferować wyroki...

W granicach tedy prawdy Bożej, objawionej Ziemi przez Chrystusa, apostołowanej zaś przez Kościół, przysługuje katolikom prawo do wolności myśli. A nie są to, bynajmniej, wbrew rozpowszechnionemu przesądowi pseudo-liberalnemu, granice ciasne, więzienne. Przeciwnie: żali można pomyśleć coś szerszego pojęciowo, nad ideję Boga, oraz myśl Bożą? Toż prawdziwa nieskończoność widnokręgów dla poznania ludzkiego! O co tu więc chodzi? Po prostu chodzi o swobodę obłądnej nagać, która (negacja) może być również szeroka, jako i twierdzenia pozytywne wiary objawionej, ale zgoła od niej nie szersza. Najpełniejszym, doprowadzonym do krańców przeczeniem Boga i Kościoła jest ateizm, w jakiej bądź formie i w jakim bądź kierunku. Po za tym, subiektywna, czy indywidualna szerokość myśli i poglądów—to kwestja zdolności umysłowej danych osobników. Ciasnym, bezkrytycznym i płytkim umysłowo może być i bywa zarówno wierzący katolik, jako i *wierzący* w ateizm ateista. Podkreśliłem wyraz: *wierzący* (ateista). I on bowiem nie ma, mieć nie może oczywistości matematycznej czy empirycznej swoich przeczeń, zatem musi je przyjmować na wiarę, czy to rozumu własnego, czy to rozumów cudzych, które uznał za swoje powagi. I dla niego, o ile sam nie jest „autosem“, obowiązujące jest psychicznie: „Autòs éfe“—*On sam powiedział*; tylko, gdy dla nas „Autosem“ jest Bóg, dla niego „autosami“ są ludzie.

Na czym-że przeto polega *złudzenie*, którego mocą ktoś, niewierzący po chrześcijańsku, ale wierzący po anti-chrześcijańsku, wyobraża sobie, jakoby posiadał monopol rozumności i szerokości poglądów? Zgoła na ignorancji chrystjanizmu! Sam on pojmuje go ciasno, fałszywie, tak pojętemu przeciwstawia dowody z nauki lub rozumu i potym tryumfuje! Tryumfuje w mniemaniu swoim nad chrystjanizmem, w rzeczywistości—nad ignoranckim wytworem własnej fantazji, na podobieństwo zupełne rycerza z La Manszy, wojującego serjo z wiatrakami...

Nie łudźmy się! Bądźmy krytyczni nie tylko w stosunku do dogmatów religijnych, ale także i w stosunku do „dogmatów“, tamtych przeciwnych. „Kto rychło wierzy, lekkiego serca jest“—mówi Pismo. Jakże zaś „rychło“ wielu daje wiarę

swoję przeczeniom niedowiarczym! Pierwsze lepsze myślątko, zrodzone w słabej, niedouczzonej głowinie, już ogłaszają za pewnik i walą nim, niby taranem, w odwieczne prawdy Boże, z którymi najpotężniejsi mocarze rozumu poradzić sobie dotąd nie mogli! Za panią matką jednostronnej powagi powtarzają „paciórki“ niedowiarcze, w naiwnym przekonaniu, jak żeby wielkie odkrycie uczynili! Pożalowania godni Kolumbowie!—Ameryka waszych dowodów przeciwko „uznanej prawdzie chrześcijańskiej“ dawno już odkryta, podbita i ujarzmiona została! Poznajcie ją tylko! Pozostali w niej tylko już mohikanie wyznawstwa pierwotnych, barbarzyńskich pomysłów pseudo-wolnomyślnych, skutych w kajdany niedowiarczego dogmatyzmu...

Wydać się może czytelnikowi, jakobym, pomimo zastrzeżeń własnych przeciw temu, odbiegł od myśli przewodniej za daleko. Tak nie jest. Rozwinięte tu myśli przydadzą się nam w dalszym ciągu. Buduję z nich przesłankę większą, ażeby potym wniosek wyskoczył z niej w możliwie pełnym świetle, oparty na solidnej podstawie.

Nawiązując wątek do tematu, stwierdzam, że, jeśli ludzie dojrzały, więc ludzie *pełni*, mają prawo do korzystania z *pełni praw* umysłowych czynnych, z zastrzeżeniem omówionych praw biernych, obowiązujących do uczciwości względem Prawdy obiektywnej, będącej po za jaźnią człowieka, to **żadną miarą, pod żadnym pozorem, owe prawa czynne nie mogą przysługiwać młodzieży**. Jeżeli człowiek dojrzały, w pełni rozwiniętych władz ducha, przechodzi bezpośrednio pod władzę moralną społeczeństwa, uposażoną w prawa kontroli i przeciwdziałania; to młodzieniec, zatem człowiek, jeszcze się kształtujący i kształcący fizycznie i duchowo, musi pozostawać do czasu pod opieką i kierunkiem władzy rodzicielskiej, oraz władz tych, które z woli rodziców powołane zostały do wyręczenia ich częściowego w obowiązku wychowawczym. Jest to postulat, wręcz naturalny, wynikający z niedojrzałości młodzieży, złagodzony zresztą przez przysługujące jej święte prawa do serca i społecznia ze strony wychowawców, zatem i przez prawo do protestu na wypadek notorycznego pogwałcenia praw

tamtych: z zastrzeżeniem nietykalności IV-go przykazania boskiego, pojętego jak najszerzej.

Z tego stanowiska, jak to się w dalszym ciągu okaże, należy w zasadzie zaaprobować bojkot szkoły rosyjskiej w Królestwie: w zasadzie, gdyż w szczegółach przedstawia on niejedno do dyzaprobaty. Z tego stanowiska, oswojony już przez bezprzykładowy strajk w Królestwie, cały naród polski, we wszystkich trzech zaborach, darzy swoim zupełnym uznaniem i gorącym społecznym strajk działwy poznańskiej.

Czy jednak zaszła potrzeba czegoś podobnego w zdobytej z tyłu ofiarami szkole polskiej? Czy młodzież ma słuszość, gdy wojnę i tej szkole wypowiada? I w imię czego, w imię jakich racji ona to czyni?

Pan Ignacy Grabowski staje całą duszą po stronie młodzieży, nawołując ją tylko do umiarkowania. Racja?

„Największym skarbem świni—pisze autor—jest ryj, kota—pazury, słonia—trąba, a człowieka—umysł. Instynkt samozachowawczy nakazuje człowiekowi całą siłą rozporządzalną bronić swego jedyne go oręża“.

Niema co, zdanie w stylu radykalne, co się zowie. Wzięte jednak samo w sobie, jest ono niewątpliwie słuszone. Ze stanowiska katolickiego można by je tylko zaopatrzyć w poprawkę formalną: największym skarbem *przyrodzonym* człowieka jest umysł. Bo znowu największym skarbem jego nadprzyrodzonym jest Wiara, która umysł oświeca i daje mu jedyny, nieczym niezastąpiony oręż do walki z własną jego nieudolnością. Lubo i tu rozum odegrywa rolę wagi pierwszorzędnej. „Nie mogli byśmy wierzyć,—powiada św. Augustyn—gdybyśmy dusz rozumnych nie mieli“.

Poprawka, jak zobaczymy, zgoła poważna i celowa. Jak wskazuje kontekst i cała tendencja artykułu p. Grabowskiego, zdanie owo ma służyć jako afirmacja prawa ludzkiego do *bezwzględnej* wolności i niezależności myśli, co, jak wykazaliśmy, jest następstwem conajmniej grubego nieporozumienia, jest złudną tylko chimera. Nie dość na tym: zdanie to przystosowane zostało do młodzieży.

Rozumiem, że człowiek może, jeden drugiemu, rozum ode-

brać, czy też go zabić, przez sparaliżowanie jego sprawności i samodzielności. Można to uczynić za pomocą wywierania na umysł teroru, presji, przez zakaz myślenia samodzielnego, przez ogłupianie przesadami i tym podobne środki, zmierzające do zniewolniczenia władzy poznawczej.

W myśl takiego rozumienia zdania o ryju świńskim, pazurach kocich, trąbie słoniowej, oraz umyśle ludzkim, interpe-lujemy sz. jego autora: Kto, gdzie, kiedy i komu wzbraniał używać rozumu, samodzielnie myśleć, albo rwące się do lotu skrzydła myśli podcinał, myśl teroryzował?

Władza szkolna gimnazjum polskiego, w Płocku, w bieżącym roku szkolnym, uczącej się młodzieży?

Wolne żarty!—Sz. autorze. Nie dramatyzujmy, gdy chodzi o krytykę! Niech dramaturg położy się spać, a niech natomiast krytyk się obudzi! Trzeba nam tu nie autora „Burzy“, jeno autora rozprawy o Szopenhauerze czy Hartmanie...*)

Więc przedewszystkim przypomnijmy sobie, że chodzi, nie o ludzi dojrzałych, ale o młodzież; i nie o szkołę wroga jej, ale swojską, rodzimą, młodzieży przyjazną i dobra jej pragnącą.

Chodzi tedy o młodzież, więc o ludzi *in fieri*, w *quasi*—heglowskim „stawaniu się“—„im werden“. I dlatego nie można o niej mówić poważnie, jakoby miała skrzydła, kiedy ona ma jeszcze niewykształcone lotki! Nie może też być mowy o wydzieraniu czy odbieraniu jej „jedynego oręża“; ale jeno poprostu, całkiem prozaicznie, o kierowaniu tym orężem, o nauczaniu używania go, żeby młodzież nie używała go na szkodę własną i kraju, żeby oręż ten w jej rękę nie stał się przysłowiowym mieczem w rękę szalonego. O tym tylko może tu być mowa i o to tylko tu chodzi!

Niestety, skutek chyba tylko nieznajomości sprawy, autor jest zdania, całkiem przeciwnego. Utwierdza on młodzież w jej mniemaniu, jakoby w szkole polskiej miała do czynienia

*) Wybacz, Sz. autorze, że dobrze tego nie pomnę! Wina to raczej Twoja, żeś nie postarał się o wzmiankę dopełniającą o swej działalności literackiej w Suplemencie Encyklopedji Powszechnej Orgelbranda którą posiadam...

z wrogami, godzącymi na jej „skarb największy“ i „oreź jedyny“, — z którymi trzeba jej walczyć „całą siłą rozporządzalną“. Mimowolnie żartuje z młodzieży, mówiąc o jej poglądach i traktując ją pod tym względem na równi z przedstawicielami władzy szkolnej. Ba! — aprobejuje nawet usiłowania młodzieży, zmierzające ku przewróceniu do góry nogami porządku przyrodzonego, dając jej prawo do narzucania swoich poglądów zwierzchności, przy jednoczesnym odmówieniu tegoż tej ostatniej...

„Jeżeli agitator burzy młodzież — czytamy, — to jedyną odpowiedzią na to pedagoga jest: dzieci! podyskutujemy, może pomogę wam, abyście sami skontrolowali swoje poglądy. Jeżeli pedagog tak nie postąpi, to rzeczywiście nie pozostaje mu inny środek, nad zaprowadzenie w szkole stanu wojennego. Ale wtedy niech się nie dziwi, że na afekt natura ludzka, nie tylko młoda, ale każda, odpowiada afektem“.

Słuszne w teorii, było by to słuszne i w praktyce, gdyby odpowiadało danej rzeczywistości. Tak, — niewiadomo: na szczęście, czy na nieszczęście, — nie jest. Nie dążę do tego, żeby za wszelką cenę obronić postępowanie władzy szkolnej, którego, zresztą, nie znam dość dokładnie; chcę tylko ratować zagrożone zasady. O ile mi jednak wiadomo, władza ta próbowała perswazji i w końcu ujrzała się zmuszoną uciec do represji, aby uchronić młodzież od wewnętrznej zarazy agitatorskiej (relegacja). Proszę-ż dyskutować z młodzieżą, zaciełtrzewioną w swoich „postępowych“ zapędach i upartą w niby swoich pseudo-poglądach!

Młodzież, niestety, od samego początku bieżącego roku szkolnego, to jest od początku istnienia gimnazjum polskiego w Płocku, wystąpiła względem władzy szkolnej zaczepnie, dopatrzwszy w przemowie inauguracyjnej jednego z założycieli szkoły — obrazy swoich „przekonań“, wręcz — prowokacji*).

*) Według sprawozdania z uroczystości inauguracyjnej, pomieszczonego w czasopiśmie uczniowskim *Do Działa* (№ 1), kamieniem obrazy dla młodzieży było zdanie mówcy: „Szkoła polska jest tylko dla Polaków. Inne poglądy, oprócz narodowych, cierpiące w niej nie będą“. Zdanie, na pierwszy rzut oka, istotnie ciasne i partyjne. Przypuszczać należy,

Wniosła ona w stosunki szkolne odrazu ferment rewolucyjny, który zaczął musować w jej duszy, nie tylko pod wpływem bojkotu szkoły rosyjskiej, ale także pod działaniem przeładowanej czynnikami rewolty — atmosfery polityczno-społecznej. Nie dziwnego, zresztą, że wrażliwe dusze młodzieńcze chłonęły w siebie chciwie owe czynniki rozstroju i twórczości na poły. Smutne to tylko, że atmosfera rewolucyjna zdołała niejedną z tych dusz znieprawić, sfanatyzować, i przez to uniepodatnić je, jako materiał, do przeróbki w fabryce szkolnej.

Wobec tego niepodobna tu całej winy na kogobądź wyłącznie składać. Nie winuję wyłącznie młodzieży, gdyż padła ona ofiarą żywiołów sekciarskich. Nie winuję samej tylko szkoły, gdyż, zaiste, w arcy-trudnych warunkach wypadło jej pełnić swoje zadanie. Nie winuję, wreszcie, jedynie samych rodziców, którzy, w całkiem odmiennej atmosferze wychowania, żyli się z nią, jakoby z koniecznością.

Z drugiej strony, winuję młodzież za brak dobrej woli, gdyż jeżeli zbyt trudną sprawą było dla jej słabych i niewytwardych jeszcze głów oprzeć się samodzielnie upajającym wpływom rewolucyjno-postępowym, to na lepszą „dobrą“ wolę zawsze mogła i powinna była się zdobyć. Winuję i szkołę, że nie zdołała wznieść się sama ponad poglądy partyjne i nie złożyła ciała nauczycielskiego, o ile to było w jej mocy, zestrojonego dość harmonijnie. Winuję, w końcu, i rodziców, względnie — społeczeństwo, że nie zrozumiało w swoim czasie położenia i, zamiast poprzeć strajk szkolny, pozwoliło chwycić ster jego żywiołom wywrotowym, a samo, niby kwoka, co wysiedziała kaczęta, — nad stawem, — stanęło z bezradnym protestem nad strajkiem.

Do tego błędu dziś przyznają się już koła konserwatywne, bo i nie uznać go niepodobna. Koła te przerachowały

że mówca zwrócił je świadomie przeciwko tej frakcji młodzieży, o której wiedział, że hołduje hasłom partii socjalno-demokratycznej. Że się nie mylił, świadczy o tym protest tegoż pisemka przeciw przemowie dyrektora, piętnującego interesowanie się młodzieży Marksami i Engelsami. Ostatecznie, gdzie tu mówić o „prowokacji“? Prowokacji czego? *Właśnych* poglądów młodzieży? Ależ one są fikcją!

się co do swojej powagi i wpływów, a nie doceniły żywiołowości ruchu strajkowego. Gdyby one były zwyciężyły, błąd nie był by błędem. To błąd taktyczny, do którego stosują się słowa Talleyrand'a: „C'est pire qu'un crime: c'est une faute”: *To gorsze od występku: to błąd!* Występku ze strony zachowawców tu nie było, gdyż i oni do szkoły polskiej dążyli, jeno innemi drogami.

Czy mielibyśmy strajk poznański, gdyby podobne zjawisko nie było się wprzód ukazało w Królestwie? Prawda, strajk poznański jest środkiem ostatniej rozpacz; gdy nasz, w Królestwie, był poniekąd hazardem, rachującym na pomyślne okoliczności. Prawda i to, że tamten jest bezpośrednio religijny, a ubocznie tylko polityczny; gdy ten był czysto polityczny. Jeżeli jednak odnosimy się z gorącym społeczcieniem do strajku poznańskiego, to czemu ten sam środek potępialiśmy u siebie? Jeżeli mogła go użyć religja, czemu by miał być on zły w polityce? I zły sam w sobie on nie był; złe było tylko to, że go za zły poczytano i tym sposobem oddano go w ręce niepoważne, samozwańcze, które nie omieszkaly użyć powodzenia na swoją korzyść partyjną, ku szkodzie powagi rodzicielskiej.

I dziwna rzecz, na jakie sztuczne argumenty silono się przeciw strajkowi szkolnemu w Królestwie! Najpoważniejsi w kraju mężowie, z pośród nich niejeden, posiadający poważną firmę naukowo-historyczną lub literacką, skądinąd nawet postępową, rozumowali zgoła niepoważnie, bo nie realistycznie, bo bez zrozumienia życia. Argumenty ich nacechowane były na ogół znamioną zachowawczością książkowo polityczno-społeczną. Strajk szkolny przeraził ich, jako niesłychana w dziejach nowość. Gdybyż były tego w dziejach przykłady! Ku rozpacz ojców narodu, nie było ich. Słowa historyczne-go Salomona, znane w kołach literackich z ust postaci fantazyjnej Ben Akiby: „Nie nowego pod słońcem“, zostały zagrożone i trzeba je było ratować*).

*) Słowa, wiekuiście prawdziwe, jak wiekuiście niezmienna jest natura ludzka. Nie stoją one przecież na zawadzie postępowi. Stwierdzając niezmienną zasadniczą psychę ludzką, dopuszczają one nieskoń-

„Niema przykładu na zachodzie Europy—dowodził s. p. Rembowski,—aby za pomocą strajku szkolnego, zwłaszcza w średnich zakładach, dążono do zdobycia narodowej szkoły. Gdyby takie przemyślane i świadome usunięcie się od wykładów szkolnych nie było przeciwne przewodnim zasadom wychowania publicznego, widzielibyśmy oddawna strajki szkolne w W. Ks. Poznańskim. Społeczeństwo polskie w tej dziedzinie patrzyło oddawna z nieustającą troską na cele germanizacyjne szkoły pruskiej, z której wygnano kapłanów katolickich, a wykład religji w języku niemieckim powierzono profesorom świeckim. Mimo tego wszystkiego jednak nie powstała w W. Ks. Poznańskim ani na chwilę myśl strajku szkolnego, a to nie powstała dlatego, że, używając starego wyrażenia, strajk stanowi medycynę, gorszą od choroby (to względnie!), czyli, że jest środkiem leczniczym, raniącym i zatrzymującym organizm społeczny“.

No, i mimo takiego dowodzenia strajk szkolny wybuchł i w W. Ks. Poznańskim, i to nie już w zakładach średnich, lecz elementarnych, i całe rusztowanie dowodzeń autora odrazu upadło!

Ten sam autor sięga po argument i do Ewangelji, przy czym z kompromitującą, lubo tak pospolitą, ignorancją religijną, słowa Chrystusa wkłada w usta czy pod pióro św. Augustynowi... „Królestwo, przeciw sobie rozdzielone, nie ostoi się“—cytuje Rembowski, żeby okazać szkodliwość rozdwojenia w narodzie—w zapatrywaniu na sprawę strajku. Nasuwa się prostota uwaga: skoro taki rozdział szkodliwy, czemu tedy koła zachowawcze od swego zdania, gwoli jedności, nie odstąpiły? Uratowały by własną powagę w obliczu młodzieży, a strajk, przez ich poparcie, zyskał by był na sile i widokach powodzenia. Nie pozwalało im na to przekonanie polityczne? Ależ przekonanie to dotyczyło jedynie taktyki, nie istoty rzeczy. Wszak znowu p. Korzon chwalił mecenasowi Pełowskie-

czoną zmienność form i kształtów. Walka znana jest od zarania dziejów. Strajk—to tylko nowa jej forma. Względnie stara w zastosowaniu ekonomicznym, nowa w zastosowaniu do szkoły.

mu, że tenże w chwili przełomowej zmienił zapatrywanie swoje na sprawę i.. radził młodzieży wrócić do szkoły, którą ona kopnęła... Jak zwykle więc bywa z partjami, zachowawcy chcieli jedności, ale pod swoją dyktaturą...

Ten-że p. Korzon dopatrywał w strajku, który ujawnił żywotność narodową, popędu samobójczego, którego objawy spostrzega w narodzie polskim od połowy wieku XVII-ego, aż po dziś dzień. Jużci, strajk żaden nie jest objawem zdrowia społecznego, ale jest objawem walki z chorobą, więc objawem żywotności organizmu, pomimo nurtującej go choroby. I, jeśli sam staje się trucizną, to tylko wskutek złego użycia. To chyba jasne.

Pan Ignacy Chrzanowski znowu biadał, że młodzież zastrajkowała pod wpływem agitatorów, którzy działają w swoich celach, nie mających nic wspólnego z dobrem młodzieży i kraju. Jeżeli tak, to prosty rozsądek wskazywał, żeby protestować, nie przeciw strajkowi, ale przeciw jego przewódcom, i samemu wziąć go w swoje ręce. Pan Chrzanowski przeprowadza jeszcze paralelę pomiędzy strajkami: szkolnym a robotniczym i przychodzi do wniosku, że analogja pomiędzy nimi zgoła jest fałszywa. Robotnicy, według autora, strajkują, żeby uzyskać lepsze warunki bytu od pracodawców, którzy ustępują im, bo muszą, gdyż obejść się bez nich nie mogą. Tymczasem rząd, bez uczącej się młodzieży polskiej, doskonale obejść się może. Niestety, sz. autor przemilecza moment polityczny strajków robotniczych, kiedy robotnicy żadnych żądań pracodawcom nie stawiali; a także i okoliczność, że smutnej pamięci cenzura prewencyjna kneblowała usta bojkotowcom szkolnym. Rząd lepiej zdawał sobie sprawę ze znaczenia strajku szkolnego, aniżeli niejeden z obrońców narodu!

W świetle strajku poznańskiego zabawnie wręcz wygląda dowodzenie p. Maurycego Zamoyskiego: „Protest młodzieży był usprawiedliwiony, dopóki nie mieliśmy innych dróg do protestowania... Gdy obecnie otwierają się inne drogi do protestu, a w bardzo bliskiej przyszłości będziemy mieli możliwość otwartego protestowania, mam nadzieję, że akcję tę odbierzemy z rąk małoletnich, a podejmą ją ci, których obowiązkiem

jest dopominać się o prawa narodu“. Żeby wartość argumentacji tej ocenić, dość zauważyć, że owe „inne drogi do protestu“ oddawna już otwarte są dla rodaków naszych pod zaborem pruskim, a mimo tego... Proroctwo też p. Zamoyskiego o możliwości otwartego protestowania „w bardzo bliskiej przyszłości“, grubo zawiodło, a tymczasem szkołę polską, choć jeszcze bez praw, posiadliśmy. Dodajmy do tego i przeciwdowód ze strony Związku unarodowienia szkół, który domagał się przedłużenia strajku, dlatego, żeby sprawa szkolna była żywotna i paląca, żeby strajkiem żywotność jej podkreślać, aż do chwili, kiedy by ją można było podnieść w Dumie; w przeciwnym bowiem razie, łącznie by ją potraktowano, jako załatwioną.

Oryginalnie też dość wyglądał w ustach arystokratycznych zachowawców argument demokratyczny, że ofiarą strajku pada przeważnie młodzież uboga. Że w takich ustach tracił on na wartości, rzecz jasna.

Gdy Rembowski nie dopatrywał przykładu strajku szkolnego w dziejach Europy Zachodniej, to ks. Chelmiński, przeciwnie, znalazł go aż w epoce Salomona, który pono również walczył z bojkotem, skoro rzekł: „Synu, nie zaprzestawaj nauki!“ Jak gdyby bojkot szkoły jednej oznaczał wyrzeczenie się szkoły wszelkiej innej. Bez wątpienia, na razie, pomimo zorganizowanych na prędko tak zwanych „kompletów“, młodzież w znacznej części zaniedbała nauki. Bez wątpienia też były i są ofiary strajku. Na tego rodzaju atoli ruchy przełomowe należy patrzeć ze stanowiska historycznego, perspektywiecznie, nie zaś ze stanowiska chwili bieżącej i pod jej wrażeniem bezpośrednim. I sądzę, że potomność nie oceni strajku szkolnego w myśl społecznych anti-bojkotowców.

Ks. Chelmiński, wzywając rodziców do stanowczego przeciwdziałania strajkowi, zwraca się do nich z groźnym rzekomo pytaniem, rzekomo św. Jana*): „Panie, kto zgrzeszył: ten, czyli rodzice jego?“ Mowa o ewangelicznym ślepym od uro-

*) Tylko u św. Jana jest ono zapisane, ale wyrzeczone było w ogóle przez uczniów.

dzenia. Uczniowie pytali Mistrza o przyczynę jego ślepoty, więc pytanie ich zgola groźne nie było. Autor przytym przemilcza odpowiedź Chrystusa, która właśnie by na korzyść bojkotu przemówiła: „Ani on, ani rodzice jego“. W istocie, i do wypadku strajku szkolnego można by tę odpowiedź zastosować. Głównym winowajcą strajku była szkoła rosyjska.

Stwierdził to Prus, którego głos w tej sprawie był najrozumniejszy ze wszystkich, jakie mi się czytać zdarzyło.

Prus, ze spokojem mędrca, powiada, że „ci panowie“, nieprzejednani przeciwnicy strajku, podobni są do lekarza, któryby napisał rozprawę przeciw tyfusowi, w przekonaniu, że tą zabójczą rozprawą zabije w chorym laseczniaki tyfusu. Prus w ogóle stawia sprawę na gruncie choroby społecznej. Strajk szkolny—to jej objaw, jeden z wielu. Należy usunąć przyczyny choroby, to jest leczyć ją, nie zaś zwalczać same jej objawy. Prus w końcu wyraża zazdrość względem „szczęśliwych bydła“, którym nikt nie narzuca strawy, dla nich szkodliwej.

To samo stanowisko, nie specjalnie i wyłącznie w stosunku do strajku szkolnego, ale w ogóle do całego przesilenia, przez które kraj nasz przechodzi, zajął Pius X w Liście do Episkopatu polskiego pod zaborem rosyjskim: „Lecząc chorobę społeczną—mówi Papież—należy leczyć ją samą, jej przyczyny, a nie objawy zewnętrzne...“

Stało się jednak!... Stał się błąd, który w oczach młodzieży spotężniał do rozmiarów zbrodni przeciw narodowi i który prowodyrzy jej tendencyjnie na swoje korzyść wyżytkali. Zdobyli oni serce młodzieży i pozyskali w niej podatne do swoich celów partyjnych narzędzie, za którego pomocą warcholą obecnie w szkołach polskich, ku chytremu zadowoleniu pedagogów rosyjskich,

I zgola nie z powodu strajku, jako takiego, jeśli nie runęła, to co najmniej podkopana została w duszy młodzieży powaga Kościoła i społeczeństwa, władzy rodzicielskiej i szkolnej. Znakomitym dowodem przeciw takiemu mniemaniu jest strajk poznański. Wprawdzie lekkie, jak zazwyczaj, serca zachowawcze wyrażają obawę, że i w Poznaniu „po zni-

szczeniu powagi szkoły i państwa, zbyt łatwo gotowa nastąpić zatrata powagi społeczeństwa i Kościoła“ („Słowo“ № 42). Płonne obawy! Byłe przodownicy społeczeństwa poznańskiego w realnych rachubach swoich politycznych nie zapoznali tak realnej w swym bycie, choć idealnej w naturze, wartości, jak gorące serca dziatwy,—powaga jego tylko zyskać może: zyskać tyle właśnie, ile szkoła i państwo straciły. Wszak to znane prawo dziejowe, którego mocą powaga, z rządu zaborczego, albo li prześladowczego, choć własnego, (jak we Francji), przechodzi na Kościół i społeczeństwo. My, w Królestwie, doświadczaliśmy tego zjawiska sami na sobie w ciągu wiekowej niewoli; aż dopiero w ciągu lat ostatnich, nie bez winowajczego spółdziału ze strony zachowawców, coś psuć się u nas zaczęło, a raczej—psucie się ujawniło. Ha-no, chwila przełomowa! Z zamętu walk wewnętrznych w łonie narodu, miejmy nadzieję, wywinie się ustrój lepszy i wyższy: po burzy rewolucyjnej nastanie pogoda pokoju, pokoju twórczego.

Oby tylko żywioły zachowawcze, religijne, nie wiązały się zbyt ściśle z zachowawczością polityczną i społeczną, z którą na dobrą sprawę nic ich w zasadzie nie łączy, skoro katolicyzm oznacza rozwój nieustający w kierunku postępowego wcielania w życie własnych ideałów niezmiennych, bo wiekuisie prawdziwych. Oby też one nie poprzestawały na odegrywaniu, zbyt wyłącznym i skrajnym, roli reakcyjnego hamulca względem dążeń żywiołów postępowych, żeby, wraz z rudą błędu, i tkwiącego w niej złota prawdy nie odrzucać*).

Z drugiej strony, oby żywioły postępowe, jeśli chcą na to miano zasłużyć, jeśli ono nie ma być przywłaszczeniem i samozłudą lub maską,—oby zechciały pozbyć się swego sekcjarstwa, zacietrzewienia, partyjności, ślepej nienawiści, bezkrytycyzmu albo li hiperkrytycyzmu, i tym podobnych „przy-

*) My, katolicy, nie mamy potrzeby szukać tego „złota“ w obyczajach przeciwnych, gdyż posiadamy je w nauce własnej. Gdy jednak widzimy je u przeciwników, powinniśmy to bezstronnie uznać, pod grozą szkodliwego zaostrzenia walki i, co gorsza, z obawy, żebyśmy go i od siebie nie wyrzucili, jako naznaczonego obcą marką, a przez to nie zubożeli umysłowo.

miotów“, które je obecnie cechują, a dyskredytują w oczach mas szerokich samą ideję postępu...

Wracając na chwilę do przesadnych, jakkolwiek szlachetnych w swych pobudkach, obaw zachowawczych,—musimy jeszcze zaznaczyć, że ideję oporu przeciw ludziom, o ile oni rozkazują cobądź przeciwnego nakazom Bożym, uświęca nauka chrześcijańska orzeczeniem Apostolskim: „Więcej należy słuchać Boga, aniżeli ludzi“. Jakże przeto można obawiać się złych następstw oporu, podyktowanego i nakazanego przez wolę Bożą? Żali rzecz dobra i sprawiedliwa może złe skutki sprowadzić? Żali to nie zasługa w obliczu Boga stawać w obronie woli Jego i żali On, miasto ją nagrodzić pomyslnym końcem, dopuściłby do zgubnego naruszenia powag ziemskich, opartych na powadze Jego? Występować w obronie powagi Boga—to znaczy wzmacniać powagę ludzką, na Bożej opartą i z nią zgodną. Skąd nauka dla troskających się i lękających o siebie powag ludzkich, aby nieobłudnie, nie dla oka tylko, wyznawały powagę Boga, tedy i organu Jego na ziemi—Kościoła. Usiłować zachować powagę własną: rodzicielską, szkolną,—a jednocześnie atakować lub tylko obojętnie przemilczać powagę Bożą, to znaczy podcinać doraźnie gałąź, na której się siedzi, albo li na uwiad ją skazać, przez zatamowanie dopływu soków żywotnych z pnia powagi Bożej, i, prędzej czy później, razem z gałęzią tą runąć w przepaść anarchji.

„Wszelka władza od Boga jest“—mówi św. Paweł.

Gniewają się na te słowa Apostoła liczni „australczycy“ religijni, bo ich nie rozumieją, a raczej rozumieją je fałszywie. Rozumieją je oni, jak żeby Bóg aprobował każdy fakt i każde nadużycie władzy; gdy św. Paweł stwierdza tu jeno źródło, z którego zasada i powaga władzy na ziemi wypływa. Gdyby było inaczej, czyby sami Papieże dawali światu taki zły przykład, protestując przeciw zaborowi państwa kościelnego, więc przeciwko władzy państwowej włoskiej? Nawet Lew Tolstoj, taki znawca Ewangelji, nie zrozumiał sensu słów św. Pawła i dopatrywał w nich, doprawdy naiwnie,—„nierozwagi i przebiegłości“ Pawłowej, sprzeciwiającej się nauce Chrystu-

sa! Tymczasem ten sam św. Paweł woła „buntowniczo“: „...cierpię, aż do więzienia, jako złoczyńca: ale słowo Boże nie jest związane!“—„sed verbum Dei non est alligatum!“ Co za potężne, wspaniałe, porywające słowa!... Co za siła przekonania o wolności ducha ludzkiego, pomimo kajdan na ciele, wolności ludzkiej w duchu Bożym!...

Natomiast dobrze zrozumiał słowa św. Pawła o źródle władzy—nasz arcy-katolicki Mickiewicz.

Senator w „Dziadach“ mówi do księdza Piotra:

„Wszak ty słyszysz Panu Bogu...

Znasz ty teologję?... Słuchaj teologu:

Wiesz ty, że wszelka władza od Boga pochodzi?

Gdy władza każe mówić, milczeć się nie godzi!“

Na to ksiądz Piotr:

„Jeśli kto władzę cierpi, nie mów, że jej słucha:

Bóg czasem daje władzę w ręce złego ducha“.

Przy sposobności nadmienić tu jeszcze nie wadzi, że zasada Pawłowa zgoła nie przesądza, czy władza na ziemi powstawać ma z dołu, czy z góry. Nie chodzi o ogniwa pośrednie, ziemskie, byle uznać, że władza idzie z Góry przez G wielkie. Wszakże Kościół uznaje nie tylko rządy konstytucyjne, ale i republikańskie...

Posłuchajmy teraz, jak p. Ignacy Grabowski przemawia do młodzieży „w sensie historycznym“, żeby wobec niej zacytować i nietolerancję władzy szkolnej (przez co uznaje ją za mimowolnie wrogą młodzieży) wytłumaczyć.

Wyrzuciwszy na czytelnika, niby z kartaczownicy, cały grad, mniej lub więcej wielkich, lubo mniej znanych imion polskich naukowych z epoki Piastów i Jagiellonów, autor przechodzi do okresu, zwanego „jezuicko-makaroniczno-panegirycznym“, i tak go eufemicznie charakteryzuje: „—wtedy to, jak psi grzyb, na miejscu przez kundla nawiedzanym, powstała szkoła jezuicko-szlachecka“ *).

*) Charakterystyczne jest oburzenie szlachty mazowieckiej z powodu „kundla“. Nie obrażała się ona na p. Gr. za Jezuitów, ale sama za siebie, owszem, i za połączenie jej z Jezuitami. (Kraśiński, jak to widzimy poniżej tekstu głównego, powiązał charakterystyczną analogją

podziwiać: paprykowy smak literacki, czy barbarzyńską lekko-myślność w tak łatwym załatwieniu się ze sprawą historyczną wagi pierwszorzędnej,—niby—*passes moi le mot!*—niby kundel pod drzewem?!

Byłoby niedorzecznością wytaczać przeciwko nieprzystojnemu kundlowi autora taką np. kolubrynę, jak „Jezuici w Polsce“ ks. Stan. Załęskiego: 5 tomów, 11 książek, 393 arkuszy druku, 4,802, stronic! Wystarczy o kolubrynie tej wspomnieć, aby kundel ten, wtuliwszy ogon pod siebie i położywszy uszy po sobie, drapnął od „psiego grzyba“, co sił starczy. Niemniej atoli, ze względu na ważność sprawy oświaty jezuickiej, należy tu o niej coś powiedzieć.

Daleki jestem od twierdzenia, jakby to jakiemu „australczykowi“ zdawać się mogło, żeby ze stanowiska katolickiego nie wolno było krytykować działalności Tow. Jezusowego. Przeciwnikami Jezuitów, bo to było w modzie, byli tacy nawet arcykatolicy, jak Z. Krasiński lub pocziwy Syrokomla*), nie mówiąc już o Słowackim. Krasiński np., w „Psalmie Miło-

—Jezuitów z demagogami). Oburzeniu tak samolubnemu ze strony szlachty wcale się nie dziwię. Nakazuje to jej ślepa tradycja. Dawna szlachta również nie lubiła Jezuitów, gdyż podejrzewała ich o dążenie do „absolutum dominium“, przeciw czemu protestował sam Skarga, lubo do wzmocnienia władzy królewskiej nawoływał. Stanowisko szlachty dzisiejszej względem „kundla“ uwalnia mnie od niewdzięcznego prania opinii jej praoców.

*) Jezuita mają, między innemi, tę wielką zaletę, że umieją cenić wśród siebie i odpowiednio spożytkowywać członków wybitnych. Skarga nie był wyjątkiem od tej zasady, przeciwnie, zwierzchność zakonna powierzała mu misje ważne i wysuwała go na czoło. Tymczasem, oto, co pisze Syrokomla:

„Święty Piotr Skarga wśród synów Lojoli
Grzmiał z kazań w słowa szczerzote,
Żył i pracował Zakonowi gwoli,
W ręce obłudy dał się nieobłudnie,
I w piersiach uczuć niezgłębioną studnię
I męską wolę i rozum i siły
Złożył Piotr Skarga na starszyzny ręce“.

Można by pomyśleć, że Skarga był naiwny...—Inni znów pisarze samemu Skardze przypinają łatki, gdy jemu należy się pomnik narodowy!

ści“, gdzie szlachtę, którą p. Gr. brata po sjamsku z Jezuitami. kanonizuje (kanonizacja, jużci, poetycka).—o Jezuitach powtarza baśń potwarczą, mającą po dziś dzień obieg szeroki;

„Niechaj szepcą Jezuita,
Niechaj wrzeszczą demagogi,
Że cel wielki a ukryty
Odwszetcznin podle drogi“.

Mógł, oczywiście, ten i ów członek Tow. Jez. postąpić nieraz według przypisywanej temu ostatniemu zasady. Mógł ten i ów, to i owo w tym sensie nawet napisać. Np. Jezuita hiszpański, Mariana (1536—1623), w dziele „De rege et regis institutione“, naucza, że: „króla, który jest tyranem, lud ma prawo detronizować, a nawet śmiercią ukarać. Jeżeli zaś niema widoków urządzenia powstania ludowego, wówczas, może zabić króla każdy człowiek prywatny, nie tylko gwałtem, lecz także podstępem, np. trucizną“. Gdyby zawartą tu zasadę o celu, uświęcającym środki, należało uogólnić na cały zakon, doprawdy, wtedy wszelacy rewolucjoniści i anarchiści powinni by, zamiast Jezuitów potępiać, ogłosić ich za swoich stronników. Ale napisał to *jeden* Jezuita, generał zaś ówczesny Tow. J., Aqua Viva, dzieło Mariany potępił.

Jezuita rosyjski, książę Gagarin, ogłosił był swego czasu broszurę, wykazującą źródło paszkwiliście baśni o „jezuityzmie“. Jezuita niemiecki, o. Roh, przed z górą pół wiekiem złożył w jednym z banków frankfurckich 10,000 marek czy nawet talarów, jako nagrodę dla tego, kto by dowiódł autentyczności owej baśni. Lubo działo się to w krainie pastorów, w ognisku nienawiści do Kościoła w ogóle a Jezuitów w szczególności, o zdobycie tej nagrody nie pokusił się nikt i owe pieniądze zabrali w końcu spadkobiercy o. Roh'a. A baśń potwarcza kursuje po dziś dzień, jako zdawkowa moneta dowiedzionej prawdy historycznej, obowiązującej pod grozą napiętnowania mianem klerykała lub „jezuity“. Przecie zaś posiadamy wyrazoznaczający to samo, co „jezuityzm“ w ustach oświeconego mniej lub więcej tłumu: wyraz *makjavelizm*, który nie pozostawia najmniejszej wątpliwości, że jest autentyczny i wiarogodny.

Rzuciwszy ten snopek światła na uprzedzenia i przesady, dotyczące Jezuitów, wracam z wycieczki politycznej na grunt sprawy naukowo-szkolnej i stwierdzam, że i w tej sprawie Jezuiti są kozłem ofiarnym, upatrzonym przez ślepe do nich uprzedzenie. Na tego „kozła“ wkłada się u nas po sekciarsku wszystko złe, którego doświadczyła Polska, aż do jej upadku politycznego. Nie bronię szkolnictwa jezuickiego z dawnych czasów i nie utrzymuję, jakoby mu nie zarzucić nie było można. Przeciwnie, bez grzechu przeciw katolicyzmowi, bo bez grzechu przeciw prawdzie historycznej, można mu nawet wiele zarzucić. No, ale od krytyki rzeczowej do andrusowskiej brawury daleko! Przyzna to chyba sam szan. autor po rozwadze, choć i po niewczasie.

„I zatraciła myśl wolną...—pisze tuż dalej p. Gr. o szkole jezuicko-szlacheckiej—i nim Rzeczpospolita upadła politycznie, już długo przedtym gniła umysłowo. I nigdy już po tym ta myśl, mimo wysiłków, swej dawnej teźżyny, wielkości, szerokości, czystości i śmiałości odzyskać nie mogła. A gdy tę szkołę jezuicko-szlachecką zastąpiła szkoła apuchtinowska, stało się jeszcze gorzej...“

Pan Grabowski z konia w pełnym galopie chyba to pisał, albo też włożył buty siedmiomilowe fantazji szlachecko-dramatycznej, skoro potrafił tak odrazu przesadzić od szkoły jezuicko-szlacheckiej do apuchtinowskiej. Zginęły mu z oczu tak kapitalne fakty, jak: konkurencja szkolna Pijarów, zniesienie zakonu Jezuitów, ustanowienie Komisji Edukacyjnej, reforma ks. Konarskiego, potem uniwersytet wileński, Szkoła Główna w Warszawie i t. p. Zginęły mu z oczu i nazwiska: Piramowiczów, Kollatajów, Stasziców, Czackich, Śniadeckich, Lelewelów, Poczubutów, Borowskich i t. d., nie mówiąc już o znakomitościach naukowych z ostatniego dziejów naszych okresu. Byle tylko jaknajwiększą górą zarzutów obciążyć i przynieść Jezuitów, tak, aby już nigdy w opinii społecznej się nie podźwignęli! Doprawdy, co za niedołęstwo narodu, który, pomimo zdjęcia z jego barków Jezuitów (przez Klementa XIV) przed stu trzydziestu z górą laty (w r. 1773), do tej pory nie zdołał się umysłowo odrodzić! Że oni przetrwa-

li przez czas powien po kasacie w t. zw. gubernjach zabranych Cesarstwa, że potym wrócili do Galicji, gdzie dotąd przebywają, to już nie może wchodzić w rachubę, bo my w Królestwie byliśmy i jesteśmy od nich „wolni“. Zaiste, niezaszczytne „testimonium paupertatis“ autor składa naszemu społeczeństwu.

Należy się jednak czytelnikowi coś pozytywnego gwoili wytłumaczeniu upadku myśli polskiej w epoce przedrozbiorowej.

Jezuici uchodzili i uchodzą za straż przednią Kościoła. Powołała ich do bytu potrzeba protestancka. Podobnie do Polski sprowadzeni zostali przez biskupów do walki z protestantyzmem. Jest to tajemnicą, usilnie chowaną pod korcem milczenia przez liberałów wszelkiego autoramentu i zawołania, że protestantyzm przyszedł na świat z pożogą i mieczem krańcowego fanatyzmu, pomimo, że głosił wolność sumienia. Jak, zresztą, nie przymierzając, i socjaliści, o czym wróble na dachach świegocą. Lecz fanatyzm odbija się zawsze pod kątem fanatyzmu.

Spółcezeństwo polskie katolickie, zrażone do „nowinek“ zagranicznych, apostołowanych przez miecz i ogień, skureczyło się samo w sobie i wysiliło się jedynie w kierunku walki z najazdem sekciarskim. Fanatyczne apostołstwo „nowinek“ zdyskredytowało w opinii polskiej ówczesnej wszystko, co zagraniczne. Cóż dziwnego, że w tych warunkach, (a pamiętajmy, że nie bez znaczenia były tu i wojny nieszczęśliwe, wślad za którymi przyszyła słynna „ciemnota saska“) śmiała, szeroka, wielka i czysta dotąd myśl polska, skażona przez sekciarstwo, wyczerpana przez walkę, upadła? Cóż dziwnego, że i Jezuiti, jako ludzie, nie wznieśli się ponad społeczeństwo, a duchowi czasu hołdowali? *)

*) Jezuiti celują także w sztuce przystosowywania się do ducha czasu i narodu. Sztuka to wielka, choć nie zawsze bezpieczna. Niejedno wycierpieli oni z tego powodu od zakonów konkurencyjnych. W umysłach pospolitszych prawdziwa ta sztuka schodzi na śliską drogę schlebiana duchowi czasu i wyradza się w sztuczkę. Tak stało się poniekąd z Jezuitami w okresie panegiryczno-jezuickim, ku zadowoleniu społeczeń-

Wszak, hołdowanie duchowi czasu uważane bywa zwykle przez ludzi za dowód tężyzny umysłowej. Jakże to często, my, księża, spotykamy się z zarzutem, iż z duchem czasu nie idziemy! A my tymczasem, jako stróże prawdy religijnej, więc prawdy zasadniczo niezmiennej, świadomi zmienności ducha czasu, ryzykujemy swoją popularność, narażamy się na zarzut zacofania i musimy to cierpieć. Każdy musi zgodzić się na to, że łatwiej płynąć z prądem, aniżeli przeciw prądowi. Skazani też jesteśmy do pewnego stopnia na spóźnianie się za postępem w rzeczach i sprawach, co do których i katolicyzm dopuszcza postęp, owszem, nawet go wymaga. Więc w rozwoju rozumienia dogmatów wiary, oraz w doskonaleniu etycznym życia: osobniczego, społecznego i międzynarodowego. Musimy się zaś opóźniać dlatego, że nam nie wolno rzucać lekkomyślnie w świat idei oraz haseł, jeszcze nie ustalonych krytycznie. Musimy je wprzód zbadać, oczyścić, sprawdzić: a to wymaga czasu. Natomiast ratujemy dla świata religję, która by już sto razy przepadła, gdybyśmy i my zmieniali się z każdą zmianą ducha czasu na świecie. A z religją ratujemy kulturę! My nie traktujemy idei, jak się traktuje rękawiczki. Wskutek udzielającego się umysłom naszym, ze strony pierwiastków religijnych, które zachowania wymagają, działania konserwatyżującego, popełniamy nieraz i błędy, które jednak okupujemy z nadwyżką przez zapobieganie „wyjściu świata ze stawu“, mówiąc słowy Hamleta. Rola, zaiste, niepopularna, lecz pełna istotnej zasługi...

Otóż Jezuici w Polsce uratowali katolicyzm od nawały protestanckiej!

Widzę tu grymas ironiczny na ustach tego i owego czytelnika. „To mi dopiero zasługa! Bodaj ich... i t. d.“ Od-

nych, a ku rozgoryczeniu potomnych. Świeża natomiast ankieta, ogłoszona przez Jezuicę krakowskich w *Przeglądzie Powszechnym*, na temat „Dzisiejszych zadań katolicyzmu w Polsce“, świadczy nadzwyczaj dodatnio o trafnym wyczuwaniu przez nich pulsu życia. Ankieta, rozesłana po wszystkich zaborach, wydała plon, zawarty w księdze o z górą pół tysiąca stronach druku w ósemce większej. Stamtąd poznać można żywość, szerokość i postępowość myśli katolickiej.

wołuję się o pomoc do p. Ig. Grabowskiego. On stwierdza, że myśl polska była wielka, czysta, śmiała, szeroka—za Piastów i Jagiellonów. Otóż wtedy—wszak prawda? — panował nad myślą polską niepodzielnie, w całym majestacie pokoju, katolicyzm! Zapewne, myśl tę zasilił znakomicie humanizm, lecz katolicyzm ten prąd przefiltrował, przetrawił i wchłonił w swój organizm ideowy. Kościół cały w ogóle humanizmowi patronował, a korefeuszami jego byli głównie księża, z wielkim mecenasem Odrodzenia, Juljuszem II-im, na czele.

Byłoby lepiej — zwracam się do grymaszących czytelników,—gdyby był zwyciężył i ustalił się protestantyzm? Odpowiem na to słowy Spasowicza, niepodejrzanego chyba o partyjność wyznaniową sędziego: „Powstało (w Polsce) wiele niższych i średnich szkół protestanckich, gdzie, sprowadzeni przeważnie z zagranicy, mistrze wykładali nauki w nowym duchu, podług nowych metod; *ale nauczanie w tych przybytkach zależne było od celów i planów jednostronnej, ciasnej, sekciarskiej propagandy*“.*)

Czemu przeto tak wyłącznie i tak bezwzględnie oskarżać Jezuicę? I czy taka wyłączność oraz bezwzględność—to nie znamiona ducha sekciarskiego?

Przypomnijmy jeszcze, że Jezuici polscy wydali Skargę i Stanisława Kostkę; i, że z ust Skargi, Jezuicy, zagrzmieli wieszczą głos ostrzegawczy, grożący Rzeczypospolitej upadkiem! Za te dwa tylko imiona można im wiele wybaczyć!

Konkluduję: Nic dziwnego, że Jezuici, jako straż przednia Kościoła, ściągnęli na siebie główną masę pocisków, skierowanych przeciw temuż Kościołowi, w czym zresztą i specyficzne ich właściwości odegrały rolę doniosłą...

Żeby zaś Jezuici winni byli rzekomego upadku myśli polskiej aż po dziś dzień, aż do daty „historycznej“ odezwy młodzieży szkolnej płockiej—no, to można złożyć z pobłażaniem na rachunek bujnej fantazji dramatycznej p. Ig. Grabowskiego; a po części i na rachunek „kolanowego“ załatwienia się ze sprawą wagi pierwszorzędnej.

*) „Dzieje Literatury Polskiej“ Str. 118.

Wreszcie, że dziś specjalnie myśl katolicka polska jest w pewnym zastoju i, że polskość jej bierze rozbrat z katolickością—to zasługa wielce problematyczna—prócz niewoli i ucisku politycznego,—naszego „postępu”. Myśl katolicka, steroryzowana przez orgje wolnomyślne; zagrożona ze wszystkich stron postrzałem i wzięciem do niewoli liberalistycznej; prześladowana nakazem: „catholica non leguntur”; wyczerpana na samoobronę; przykuta do taczek obowiązku codziennego; nieświadoma w znacznej części inteligencji—swej siły; trzymana wreszcie, wskutek grożących jej niebezpieczeństw, jak ukochane dziecko, przez troskliwą o jej całość i czystość Matkę—Kościół, często zbyt bojaźliwie w zakrystji: że w tych warunkach ta myśl katolicka nie wzbija się wysoko—to zrozumiałe aż nadto. Że jednak ona może być „wielka, czysta, szeroka i śmiała”, jeno jej trzeba pomyślniejszych niż obecne warunków, to stwierdził sam p. Gr., przyznając jej te zalety w epoce Piastów i Jagiellonów. (Rozumiem tu, oczywiście, katolickość myśli—nie wyłącznie w sferze religijnej).

Wszakże i dziś nie jest ona tak marna, jak to się wydaje „australczykom” katolickim. O ile jeszcze wierzącym, można im śmiało powiedzieć:

„Cudze chwalicie, swego nie znacie;

Sami nie wiecie,... czym pogardzacie!”

Idźmy dalej wśladać za wywodami p. Ig. Grabowskiego.

Autor zwraca się do młodzieży z perswazją: „Czyż żądać możecie, aby po 400 blisko latach ciemnoty narodzili się wam, jak manna, odrazu pedagogzy podobni tamtym, wyżej wymienionym mężom, piastowym i jagiellońskim, chlubię naszej i chwale nieśmiertelnej? Czyż dziwić się możecie, że kto lata, wieki, spędził w ciemnym lochu, ten albo oślepił, lub tak wzrok ma osłabiony, że go razi światło?”

Bogowie Homera, śmiecie się z dramaturga w roli przygodnego pedagoga!!

Oto bowiem myśl polska, wskutek reakcyjnego wpływu Jezuitów, pogrążona w ciemnocie przez lat 400 *) aż dotąd,

*) Pierwsi Jezuici sprowadzeni zostali do Polski przez Hozjusza w r. 1564, zatym do lat 400 braknie do dziś z górą 50. Zważmy nad-

nagle zajaśniała wielkim światłem w mózdkach młodzieży szkolnej postępowej! A objawił to światło światu p. Ignacy Grabowski! Śmiecie się do rozpuku, bogowie Homera, a zgaście-ż swym śmiechem coprędzej to światło „postępowe”, żebyśmy my, wyrzawszy z ciemnego lochu nieuctwa, porażeni tym światłem, na dobre śnać nie poślepli!...

Uniesiony werwą dramatopisarską, autor woła do młodzieży: „Wy macie zbudować przyszłość!” No tak, ale jaką? Socjal-demokratyczną? Bóg zapłać! Dalej: „Wy macie sprawić wielkie odrodzenie wielkiego narodu! Wy to powołanieście, aby otworzyć trumny Rejów i Kochanowskich i powołać do ludzkiego życia ten lud piastowski, który był i równy i wolny i braterski... Wy to macie zgromadzić pod dębem przymierza cały lud polski i zaśpiewać mu stare jego legendy: Tak, wy!” —kończy autor ze łzą rozczulenia nad wizją przyszłości, którą ma stworzyć młodzież, hołdująca hasłom socjal-demokratycznym!

Czy jednak młodzież tę „postępową” rozczuli apel do starych „szpargałów” literatury, oraz do „starych legend”—srodze wątpić należy. Wszak ta młodzież odwraca się plecami do tradycji, cała zapatrzona w przyszłość...

Pan Ig. Grabowski najoczywiście nie jest poinformowany o tendencjach młodzieży „postępowej”, z powodu której szkoła polska przechodzi przez ciężki kryzys. Pisze on bardzo pięknie: „Jeżeli młodzież, jak pełen nadziei zdobywca, atakuje społeczeństwo w imię nowych, rodzących się haseł, można i należy na impet zapatrywać się krytycznie, albowiem i dane hasła mogą być tylko pustą fosforescencją mózgów i ów impet może być tak bezwzględny, sekciarski i inkwizytorski, że zachodzi obawa, czy przy tłuczeniu starych garnków nie ulegną zniszczeniu i urny pompejańskie.” To bardzo pięknie i mądrze powiedziane. Cóż, kiedy autor, wbrew rzeczywistości, przypuszczenie „impetu” oraz „pustej fosforescencji mózgów” z góry wyłącza! Na dowód, że to jest jednak rzeczywistość i że istotnie zachodzi obawa potłuczenia przez młodzież cze-

to, że Jezuici przecież nie mogli odrazu, od pierwszego wstępu, opanować szkolnictwa. Wreszcie i to, że przetrwali oni tylko do r. 1773.

godnych „urn pompejańskich“ tradycji narodowej i zwłaszcza religijnej, podaje tu próbki ze wzmiankowanej tu już gazetki uczniowskiej plockiej, *Do Dziela*, której dotąd wyszły trzy numery.

Więc w tym pisemku, jak już wiemy, młodzież postępuje „pluje prosto w twarz“ przedstawicielom społeczeństwa, którzy potępiali strajk szkolny; dalej: duchowieństwo nazywa ona „tensurowaną strażą ciemnoty“; skargę prefekta na ucznia, zanesioną *do jego rodziców*, piętnuje mianem „donosicielstwa“, nadzór zaś ze strony tegoż prefekta nad uczniami, żeby chodzili do kościoła, zowie „zdolnością tropienia“. Odpowiedź prefekta, na pytanie młodzieży, czy czytał ich gazetkę, tamże strawestowano ze złośliwością, klóćąc się z pojęciem idealizmu młodzieńczego: „Tak, czytałem, i bardzo smutne wrażenie odniosłem z tego wszystkiego. Do kościoła—to głowa lub zęby was bolały, a na bazgraninę, to macie czas“. Póty odpowiedź może być, mniej więcej, autentyczna. Lecz dalej: „Żeby choć jeszcze co naukowego, tak ze spraw bieżących, jak na przykład: *opisanie męczarni marjawitów w piekle*, albo: *wesele i radość prawdziwych katolickich księży na łonie Abrahamowym*; w ten sposób tobyście się przysłużyli, i Kościołowi, i społeczeństwu! A tak... to komedia poprostu“. I tak dalej, w tym sensie głupkowato złośliwym, aż w końcu: „Lecz ratunek jeszcze jest, przyznajcie się tylko do swych błędów, *Do Dziela* spalcie, za pieniądze zaś wydawnictwa zakupcie, choćby nawet u mnie, Mszę świętą, a otrzymacie przebaczenie—tylko śpieszcie się, bo nie wiecie dnia, ani godziny!“ Jest coś mefistofelicznego w tym urąganiu i natrząsaniu się, wychodzącym z serca młodzieży! I nie chce się uwierzyć, żeby to jej podyktowało natchnienie własne, i pomimowoli szuka się winowajcy kusiciela za kulisami szkoły, albo i w niej samej.

W ogóle cały ton pisemka w stosunku do przewodników jest stale zjadliwy, wykazujący nie tężyźnię ducha, jak młodzieży zapewne się zdaje, ale zepsucie serca, niesłychaną pychę i arogancję. Wieszczenie młodzieży takiej, że ona to dokoną odrodzenia narodu, zakrawa wobec tego na krwawą iro-

nję. Można wyrozumieć i uniewinnić „szumienie“ młodzieży, psie figle, krytycyzm pewien względem przełożonych i t. p. Ależ tu mamy do czynienia z jadem, który zatruł serca młodzieńcze!

Traktując sama siebie, w przeciwieństwie do profesorów, z ogromną powagą, młodzież, nie wiedząc o tym, bywa komiczna. Wysyłając „w świat“ pierwszy numer pisemka, redakcja pisze: „Idź więc, kochane *Do Dziela*, idź, głos, by koledy (czyż? pisemka?) zarzucili swe dawne dziecinne poglądy, idź i powiedz, że tylko niezależny krytyczny umysł godzien jest wysokiego stanowiska człowieka...“ Wolność noszenia lalek, pierścionków, długich włosów, brody (czyż by i brodacze byli między młodzieżą?) i t. p., młodzież ogłasza jako „bardzo poważną zdobycz“ szkoły polskiej: młodzież, która aspiruje do ruszenia z posad bryły świata, cieszy się wolnością noszenia pierścionków i uważa to za rzecz bardzo poważną! Na innym miejscu „organ związku plockiej młodzieży postępowej“ skarży się na prefekta, że odmawia on młodzieży „własnych poglądów, *pod pozorem* niedojrzałości ducha“. Ależ, moi mili, to zgoła nie „pozór“, jeno racja, której słuszności sami w swoim pisemku aż nadto dokumentnie dowodzicie! I powiadam wam, że nie trzeba być prorokiem, aby wam wywróżyć, iż kiedyś sami śmiać się będziecie z dzisiejszych „własnych poglądów“, tak, jak już dziś coraz to wyrzucacie sobie młodzieńczą i naiwną wiarę w pedagogów swoich, że oni pójdą za waszemi poglądami i według waszej woli szkołę w duchu „postępowym“ zreformują.

Młodzież postępową, ani mniej, ani więcej, jeno chce zająć miejsce wychowawców i sama rządy szkolne sprawować! Względem swoich kierowników zajmuje ona stanowisko mentorów, wytykających im z całą powagą ich zacofanie i ciasnotę umysłową! Na tym tle młodzież prowadzi ze swoją zwierzchnością „politykę“ szkolną i odgraża się, że nie odstąpi od swoich żądań, polityki nie zaniecha, dopóki według jej woli się nie stanie. No, moi mili, wszak to anarchja oczywista, wszak to jest anarchiczne wywrócenie porządku przyrodzonego do góry nogami, wszak to moralne chodzenie na głowie!

W takich warunkach niemożliwe się staje prowadzenie szkoły. Skoro uczniowie uczą swoich nauczycieli, to i po co im szkoła? Oni sami sobie wydali już patent dojrzałości, tedy raczej im samym szkołę założyć by przystało i posadzić w niej na ławach—dotychczasowych pedagogów!

Zgodził bym ci się na anarchję, ale pod jednym, kapitalnym warunkiem. „Ama Deum et fac quod vis“: *Kochaj Boga i czyn, co ci się podoba*—powiada św. Augustyn, pewny, że kto warunek miłości Boga spełni, ten tylko dobrze czynić będzie: więc, jeśli jest uczniem, będzie na pewno posłuszny, karny, pilny, pracowity i t. d. Władza szkolna, jużci, i wtedy by istniała, lecz była by, jakoby jej nie było. Nie miała by ona smutnej potrzeby uciekania się do „stanu wojennego“; nawet z nadzoru normalnego mogła by była skwitować, gdyż Nadzorcą byłby sam Bóg bezpośrednio, jako umiłowany nade wszystko Pan i Władca serc młodzieńczych... Młodzieży postępowa! Ufam, że nie rzucam tej perły myśli św. Augustyna przed „wieprze“, że jej na sponiewieranie nie narażam!...

Jak dotąd, młodzież postępową uznaje wprowadzie władzę szkolną, ale tylko w teorii, bo i niedorzecznością zbyt jawną byłoby jej nie uznać; całym swoim postępowaniem jednak, całą swoją „półityką“, zaprzecza jej kategorycznie. Uznaje ją ona w tym samym sensie, w którym junkrzy i hakatyści w Prusach oraz „prawdziwi rosjanie“ w Rosji uznają władzę absolutną:

„Und der König absolut,
Wenn er unsern Willen thut“ *).

Wszakże „nie jest uczeń nad mistrza swego“—rzekł Chrystus. Mistrza—Chrystusa, absolutnie żaden z Jego uczniów nie prześcignął i żaden nigdy prześcignąć nie może. Nie tak, gdy chodzi o samych ludzi. Uczeń, oczywiście, może zakasować mistrza; ale, w zwyczajnym porządku rzeczy, nigdy, póki uczeń—ucniem. Chyba by był t. zw. dzieckiem cudownym; choć i wtedy nie dorówna żadną miarą mistrzowi pod względem doświadczenia życiowego, które wymaga nie

*) „I król absolutny, gdy wolę naszą pełni“.

tylko zdolności, ile czasu, i które zdobywa się przez całe życie. Życie—to szkoła, której, ani gienjusz, ani biblioteki przeczytanych książek, nie zastąpią; jak myśz nie stanie się uczoną, choćby zjadła najuczeńszą książkę... Z tym faktem, młodzień, jeśli chce nie tylko w oczach własnych uchodzić za poważną, powinna się rachować. W warunkach normalnych, lubo ekscentryczne w formie, nie jest bez słuszności zdanie jednego z profesorów gimnazjalnych, z moich czasów szkolnych: „Na piątkę—mawiał on—tylko profesor może umieć lekcję“—i, zgodnie z tym przeświadczeniem, niesłusznym tylko co do formy, gdyż stopnie szkolne nie są wszak dla nauczyciela, —nigdy żadnemu uczniowi piątki nie postawił*). Cóż dopiero mówić o doświadczeniu życiowym, bez którego człowiek byłby zawsze, jak dziecko, naiwny?

Młodzież postępową gniewa się w organiku swoim okrutnie zwłaszcza na przymus religijny i upatruje w tymże środku, znieprawiający jej dusze. Zastanówmy się nad tą sprawą z tacytowskim „sine ira et studio“—*bez gniewu i tendencyjności*.

Na sprawę tę rzuca snop światła to, cośmy powiedzieli o „anarchji“ w myśl św. Augustyna. (Ostateczności stykają się. Anarchja, tak rozumiana, styka się z teokracją. Próbę jej podjął był swego czasu Savonarola we Florencji).

Przedewszystkiem stwierdźmy zasadę, że władza, jeśli ma

*) Nie od rzeczy tu będzie rzucić okiem krytycznie na zakwestjonowaną w ostatnich czasach sprawę stawiania stopni. Tu i owdzie odrzucono je, jako środek niepedagogiczny. Jak zwyczajnie bywa, kola „postępowe“, lub flirtujące z postępowością, przyjęły nowość bezkrytycznie, dlatego tylko, że nowość. Powtórzyła się i tu stara historia: zamiast usunąć nadużycie rzeczy dobrej, albo choćby tylko obojętnej, usuwa się rzecz samą. Za winę ślusarza wiesz się kowala. Moim zdaniem, stopnie szkolne—to termometr postępów ucznia w nauce. Należało by sposób używania ich zreformować, ale same je zatrzymać, jako rzecz, nie tylko samę w sobie niewinną, ale i pożyteczną. Potrzebne one są dla nauczyciela, żeby mógł orjentować się w postępach uczniów. Potrzebne i dla tych ostatnich, żeby świadomi byli, jak ich nauczyciel ocenia. Gdyby nauczyciel czynił z nich tajemnicę stanu, nie ustrzegłby notesu przed ciekawością pupilów...

być władzą, nie malowaną, ale rzeczywistą, musi być uposażona w pewne prawa, które z kolei muszą być uzbrojone w sankcję prawną. Zasadniczym prawem władzy jest prawo nadzoru, aby podwładni spełniali swoje obowiązki; i, w razie uchybienia tymże, prawo przymusu. Inna rzecz, jakiego rodzaju ma być ten przymus. Według skali uporu w nieposłuszeństwie, musi być ustanowiona i skala równej długości — represji.

Wiem, wyraz „represja“, zdyskredytowany przez biurokrację, jest u nas bardzo niepopularny. Ale nie dramatyzujmy! Represji używają i państwa najkulturalniejsze. Rzec w tym, aby używano ich sprawiedliwie. Przez to, że są nadużywane, nie tracą one zgoła racji bytu. „Abusus rei non tollit rectum usum rei“: *nadużycie nie znosi słusznego użycia rzeczy*. I nie wina władzy jakiegokolwiek, że represji używa, o ile posługuje się niemi słuszenie; jeno wina własna tych, którzy na represję zasługują.

Usunawszy przeszkodę pod postacią przesadnego uprzedzenia do wyrazu *represja*, idę dalej.

Jeżeli gdzie, to w szkole charakter represji powinien być raczej moralny, aniżeli fizyczny.

Pomimo podjętych w Warszawie przez angielskiego pedagoga, p. Cecila Reddie, zakusów „wskrzeszenia“ batoga polskiego, „zmartwychwstania“ jego u nas obawiać się nie trzeba, i zgoła zbyteczne alarmy z tej okazji ze strony kół „postępowych“ podniesiono. Był czas, że batog oddawał usługi istotne, skoro go tak wysławił Bohomolec:

„O! z wieków cudotworny synu byczej skóry,
Złych duchów egzorcysto, poprawco natury,
Stróżu durnej młodości, proszku doskonały
Na upór, muchy w nosie, miłosne zapaly!“

Nie należy też mniemać, aby słowa Jachowicza (?) o Duchu św., który „różdżką dziateczki bić każe“, stanowiły określenie... dogmatyczne, jakkolwiek są one na Piśmie św., ale Starego Zakonu, oparte. Był czas, kiedy tęga, nieokiełznana fizycznie, a twarda duchowo natura ludzka wymagała działania na duszę przez cięgi cielesne. Dziś czasy inne: przecz-

lenie duchowe, zdenerwowanie fizyczne dzisiejszego młodego pokolenia — reagowałoby na batog raczej ze szkodą: fizyczną i moralną. Możemy więc nad tą sprawą przejść ze spokojem do „porządku dziennego“.

Czy jednak szkoła może się wyrzec takiego środka represji, jak groźba wydalenia? Mogła by, ale pod warunkiem, sformułowanym przez św. Augustyna... Niestety, ani my, dorośli, ani młodzież nie składa się z kandydatów do kanonizacji... W praktyce tedy — ów miecz Damoklesa, stanowczo nieunikniony. Coby to było, gdyby szkoła zmuszoną była tolerować wśród grona uczniów — „owcę parszywą“? Banieja, śmierć moralna ucznia, jako takiego, bywa, niestety, smutną koniecznością — *malum necessarium*.

Represje inne, pomniejszych, jak: nagana, koza, obniżenie stopnia ze sprawowania, wydalenie czasowe i t. p., tym więcej są dopuszczalne. Jeno „kozę“ należałoby umleczyć...

Zastosujmy te zasady do przymusu religijnego.

Przymus taki opiera się zasadniczo na przypuszczeniu, że uczeń posiada wiarę, jest wierzącym chrześcijaninem katolikiem; podobnie, jak przymus szkolny w ogóle — na przypuszczeniu, że uczeń chce się uczyć. Jeżeli więc uczeń zaniedba się w spełnianiu jakiegokolwiek bądź obowiązku religijnego, to, to zaniedbanie przypisuje się jego lenistwu, o ile go słuszną przyczyną nie usprawiedliwia. Lenistwo zaś musi być ukarane; w razie przeciwnym — brak kary byłby sankcją lenistwa, gdy chodzi właśnie o sankcję dla obowiązku religijnego. I prefekt, który by zaniedbywanie się uczniów w pełnieniu obowiązkowych dla każdego wiernego praktyk religijnych tolerował, patrzył na nie przez palce, przენiewierzył by się własnemu obowiązkowi i posłannictwu. Skąd znowu wynika, że, aby mógł ten swój obowiązek wykonywać, musi rozciągnąć nad uczniami nadzór. Bo, kto chce osiągnąć jaki cel, musi i środków odpowiednich używać. W tym świetle przymus religijny przedstawia się, jako podparcie prawne słabości ludzkiej.

To, zdaje się, jasne chyba, jak słońce. Czemu przeto pewna garść młodzieży protestuje przeciw przymusowi reli-

gijnemu? Czemu ma ona wrażenie, jak gdyby ten przymus znieprawiał ją moralnie? Nie omyłę się, niestety, gdy odpowiem, że ona wyobraziła sobie, iż nie ma już wiary. Wskazują na to „poglądy“, głoszone przez *Do Dziela*. Juźci, kto wiarę stracił, nie może nie buntować się przeciw przymusowi szkolno-religijnemu, nie może nie doświadczać w duszy zgrzytu niezgodności pomiędzy własnym mniemaniem z jednej strony, a rzeczywistością z drugiej. Ta rzeczywistość obraża jego „ja“ i wydaje mu się „brutalną“.

Młodzież „postępowa“ nie jest szczerą, gdy swoje niedowiarstwo, jawne w *Do Dziela*, osłania w tej sprawie pobudkami etycznymi. Nie jest szczerą, gdy daje do zrozumienia, jakoby nie odrzekała się pełnienia praktyk religijnych, jeno chciała je pełnić bez nacisku, swobodnie, jak wolny obywatel kraju (!).

Wobec tego musimy orzec ze smutkiem, że słuszność oczywistą miał dyrektor gimnazjum polskiego w Płocku (wbrew potępieniu go za to przez p. Ig. Gr.), gdy wyraził się:— „Głoszony przez pewną część młodzieży postęp—to raczej podstęp“.

Jedynym wyjściem z takiego położenia, na razie bez wyjścia, była by chyba szkoła bezwyznaniowa, której właśnie młodzież pragnie, o którą się dobija, o którą walczy podjazdowo w *Do Dziela*. Ten jest niewątpliwie, ukrywany na razie, cel „polityki“ szkolnej, którą młodzież „postępowa“, poruszana z za kulis, prowadzi. Szkoła bezwyznaniowa, którą młodzież ta sama uważa za szczyt postępu!

Takie dążenia „postępowe“ młodzieży znakomicie oświecił jeden z ojców na wiecu szkolnym w gimnazjum polskim w Płocku, wiecu, odbytym w okresie świąt Bożego Narodzenia. Powiedział on, między innymi, w tym sensie: Chcecie szkoły postępowej? Ależ bardzo pięknie! We Francji, klasycznym kraju postępu, są dwa typy szkół: bezwyznaniowy i katolicki. Otóż ojcowie bezwyznaniowcy wołają posyłać synów do szkół katolickich, prowadzonych przez zakonników. Dyrektor szkoły postępowej w Anglii (w Abbotsholmie), p. Cecil Reddie, znakomity pedagog, na mocy doświadczenia przyszedł

do wniosku o pożyteczności kary cielesnej. Jakiegoż wam więc postępu potrzeba?—Na takowe *dictum* zacofane—wielu wici postępowi, mówiąc starym makaronem: „obstupuerunt rozzdziawiaweruntque gembas!“ (Na własne oczy tegom nie widział, ale przypuszczam, że inaczej być nie mogło).

W ogólności wiec płocki, olbrzymią większością głosów, wypowiedział się za szkołą religijną, katolicką. Postępowa młodzież wyszydziła za to swych ojców, w swoim organiku,—zbyt udatnym, jak na młodzież, wierszem... Pisał go niewątpliwie humorysta wytrawny, może „od“ *Kolców*...

Co w *Do Dziela* pisał który z młodzieży, poznać nie trudno, prócz naiwności, jeszcze po błędach: gramatycznych (zwłaszcza rusycyzmach) i stylowych. Oto ich pęczek, zebrany głównie z numeru pierwszego, który wyjątkowo przejrzałem dość starannie. Więc: „nadzieja na poparcie“ (szkaradny rusycyzm); „cień powątpienia“ — zamiast: *powątpiewania*, bo z prefiksem *po*, wyraz ten nabywa znaczenia częstotliwego; „płytkowość“ (!); „mówią te twarze, że nic nowego nie usłyszą“—(Jako? to twarze spodziewały się coś nowego usłyszeć?—Rzecz dziwna, powinny były słyszeć choć same siebie, skoro „mówiły“...); „nie łudzili się w szlachetności p. mecenasa“ (znowu okropny rusycyzm!); „młodzież nie powinny obchodzić“ (i to rusycyzm, bo polszczyzna wymaga zawsze po przeczeniu biernika); ten sam błąd gdzieindziej: „nie sposób było już napowrót skrępować tak brutalnie nasze dusze młodzieńcze“ — zamiast: *naszych dusz młodzieńczych*; podobnie w zdaniu: „instynkt rozkazuje nienawidzieć tyranję“—zamiast: *tyranji*; „które już z lat dziewięciu“ — rusycyzm, podobny do dwóch poprzednich; „starając się dowieść tę niby odwieczną prawdę“—dowodzi się *czegoś*, nie *coś*; „wyzwolić społeczeństwo z krępujących go więzów“—społeczeństwo jest rodzaju nijakiego, zatym *je*; „najochoydniejszemi“; „Campo di flora“—zam.: *flora* (wszak zdarzyło się wam może, młodzi postępowcy, czytać lub słyszeć o „florajach“, jak reporterzy gazet warszawskich lubią nazywać kwiaćciarki uliczne? Dobrze wiedzieć i to, że włoszczyzna, w pewnej kategorii wypadków, zamienia łacińskie *l* na *i*: *bianco*=biały; *flamma*, *flamiferi*=pło-

mień, zapalki, i t. p.); „pan mecenas mówił głosem *niemądrym*“ —to już pewno najnowszy wynalazek postępowy: fizjo-psychologiczny! Jeszcze poprawka historyczna: Giordano Bruno spalony był nie przed 400 laty, bo w r. 1600; i pomnik jego rzymski stoi nie od lat stu, gdyż wystawiony został dopiero w r. 1889. No, i jeszcze poprawka przyrodnicza: „miliardy gwiazd błyszcza, rozświetlając ciemność nocy“; otóż astronomowie naliczyli gwiazd, widzialnych gołym okiem, tylko około sześciu tysięcy... Natomiast z uznaniem podnieść należy pro-rocze odkrycie *Do Dziela*, że mickiewiczowskim „44“ jest lud roboczy, o czym wiadomo młodzieży z objawienia socjal-demokracji...

Przejdźmy do zbadania erudycji teologicznej naszej młodzieży postępowej. Pomijam tego rodzaju bagatelki, jak np. twierdzenie, że: „Kościół zżył się już ze *świętym porządkiem społecznym*“, —z tak piramidalnym przytoczeniem źródła, jak: „Encyklika Leona XIII“ —i tyle! Nie sposób szukać wyrażenia o *świętym porządku*, w lesie encyklik Leonowych, żeby sprawdzić autentyczność cytaty, wziętej z ręki dziesiątej. Można by tylko na domysł poszukiwania te ograniczyć do encyklik, dotyczących sprawy robotniczej. Ale i to zdyteczne, gdy się zna ich ducha. Otóż, na podstawie tej znajomości, upewniam autora, który *popelnil* tę i taką cytate, że jeśli wyrażenie za-cytowane jest autentyczne, co zupełnie prawdopodobne i nawet moralnie pewne, to myśl jego jest, iż do urzeczywistnienia reform jakich bądź dążyć należy drogami, wskazanymi przez etykę ewangeliczną, zatym —nie drogą rewolucyjnego burzenia ładu i porządku, gdyż te rzeczy są święte; albo, że *podstawy* ustroju społecznego, na które godzi anarchja, są święte i nie-tykalne, bo zgodne z naturą i przez chrystjanizm uświęcone. Zgodny także z naturą, ale z pierwiastkiem jest złym, był ustrój społeczny przed Chrystusem, więc go chrystjanizm zwolna usunął. Mam na myśli niewolnictwo. Dziś ono wprawdzie również istnieje pod formą kapitalistyczną, ale nie ma sankcji, jest raczej moralne, i do usunięcia go nie ma potrzeby burzenia podstaw społecznych; a i nie chrystjanizm, jeno odrodzony pod formą liberalizmu poganizm niewolnictwo był wskrze-

sił, gdy dziś socjal-demokracja zmierza do niewolnictwa pań-stwowego.. Twierdzić, jakoby Leon XIII, zaszczycony przy-domkiem „papieża robotników“, był przeciwny demokratyzacji społecznej —to dzieciństwo.

Teraz zakasuję rękawy po łokcie i biorę się do rozpra-wy ze stepowym wołem, wyrosłym na stepach australskich analfabetyzmu religijnego, pod postacią elukubracji o zmar-twychwstaniu ciała (*Do Dziela* № 3). Naprzód jeno zazna-czę, że odegrywająca poważnie swoją rolę redakcja nadmienia w odsyłaczu, jako zamieszcza ten artykuł „jedynie jako wyraz osobistych poglądów autora“. Tolerancja ta byłaby chwalebna, gdyby nie była grubo podejrzana, wobec faktu, że to samo pismo odmówiło prawa głosu jednemu z profesorów gimna-zjum Macierzy *). Przytym tolerancja, która toleruje brednie wierutne, nie może być chyba uważana za rozumną, i... go-dną tolerancji. Nie tylko ze stanowiska katolickiego, ale i każdego innego, chociaż by ono było nad-postępowe, toleran-cja przekonań, o ile są one *in subiecto*, musi mieć granice, określone przez logikę i znajomość przedmiotu, o którym się sądy wygłasza.

„Pogromca“ dogmatu o ciała zmartwychwstaniu zaczyna od wstępnych uwag nad Kościołem i, między innemi, pisze: „Pierwotne chrześcijaństwo, które polegało jedynie na niesie-niu pomocy maluczkim,... utraciło z czasem swój pierwotny charakter i organizacja jego przemieniła się w olbrzymią po-lityczną machinę z całym arsenałem starannie obmyślanych dogmatów i dogmacików“.

Jakże żałuję, że nie wszyscy moi czytelnicy są teologa-mi, gdyż mogli by się setnie uśmieć z ignorancji, wyzierają-cej z każdego słowa, tego poważnie brzmiącego zdania. Mó-

*) W odpowiedziach redakcji, w N-rze 2-im, wypisano z powagą: „Krytyki Sz. Pana nie umieszczamy z powodu błędnego oświecenia fa-któw; co zaś do postępu wszystkiej młodzieży szkolnej, to radzilibyśmy patrzeć przez mniej różowe szkiełka. Co do formy samej krytyki, nie jest ona wyczerpująca, a mimo to za obszerna na nasze szczupłe szpalty“. Widzimy stąd, że i pan profesor ma się ku postępowi, a jednak dostał od uczniów odprawę!

wię: ignorancji, bo źle woli w autorze, a raczej kompilatorze młodocianym przypuszczać tu nie można, taką wiarą szczerą we własną mądrość nacechowane jest całe wypracowanie. Można by tomy całe pisać, chcąc wykazać fałsze, zawarte w jednym krótkim zdanku. Bo, wiadomo: „plus negare potest asinus quam probare philosophus”—*więcej może zaprzeczyć*—(za przeproszeniem)—*osiel, aniżeli dowieść filozof*, jak orzekli jędrnie a mądrze starzy scholastycy. Zamiast też zapępniać bezden ujawnionej w owym zdaniu ignorancji historycznej, poprzestajemy na zastosowaniu do autora wyroku Cycerona: „Nescire quid ante te fuerit, id est semper puerum esse”—*Nie wiedzieć, co się działo przed tobą, to znaczy być zawsze dzieckiem*.

Nie tracąc czasu, maszerujmy dalej wślad za myślą naszego „dziecka”.

„... rozmaici pasterze... kategorycznie twierdzą, że formy wierzeń religijnych nawet w szczegółach objawione zostały, naturalnie już w sposób nadprzyrodzony...” Pyszne tu jest to „naturalnie!” Jak zaś pogodzić „staranne obmyślanie dogmatów i dogmacików” z objawieniem „form wierzeń religijnych nawet w szczegółach”—to już tajemnica logiki autora, której należy się dyskrecja...

Nieco dalej czytamy: „Z biegiem czasu, kiedy stare pojęcia ustępują miejsca nowym, kiedy nauka otwiera i rozjaśnia coraz to nowe zagadki bytu, koniecznym staje się dopełnienie starych religijnych dogmatów, tak, aby trudno było dopatrzeć się sprzeczności między wiarą a nauką”. Twierdzenie to ogólne nasz nieoceniony „puer” ilustruje przykładami z dziejów rozwoju dogmatyki katolickiej. Kiedy nauka przyparła teologów do muru, tedy *podstępnie* zmienili „dni” możeszowego stworzenia świata—na epoki, i to pomimo, że Kościół twierdzi, iż dogmaty zostały objawione, więc są nieomyślne i zmianom podlegać nie mogą. Kiedy znowu Kopernik (jak że by go pominąć i nie użyć jako taranu przeciw Kościołowi!), pogładowi geocentrycznemu przeciwstawił teorię heliocentryczną, Kościół z początku wystąpił przeciw niemu wrogo i dzieło jego pomiescił... gdzie?—a no, „w interdykcje”!!

Proszę się jednak nie śmiać z naszego pocziwego chłopca, bo choć on pocziwy szczerak i dowodzi, jak umie, ale jest ambitny na punkcie honoru naukowego i mogło by być źle!

.....gdy teoria wielkiego astronoma (znanego autorowi z widzenia na Krakowskim Przedmieściu) została udowodniona szeregiem faktów niezbitych, Kościół pogodził się z tym i teraz zapewne obmyśla, jakby poprawić sprzeczność w Biblii w myśl postępów nowoczesnej astronomji“. Moi szanowni czytelnicy, nie parsknijcie-ż aby śmiechem, bo!... Dobra wiara naszego umysłowego paupra zasługuje na to, aby go z możliwą powagą traktować!

Tymczasem idźmy dalej!

Autor usiłuje być bezstronnym i obiektywnym: „Ale te wszystkie sprzeczności, jak twierdzi duchowieństwo (oczywiście podstępnie), nie są zasadnicze. Otóż chciałem tu wyjaśnić w świetle nauki teraźniejszej jeden z takich podstawowych już dogmatów wiary chrześcijańskiej, a mianowicie—zmartwychwstanie ciał”. Tu nasz „australczyk”, powołując się na katechizm ks. Oldakowskiego, z całą powagą *dowodzi*, że dogmat rzeczony rzeczywiście uznany jest przez Kościół za podstawowy, a następnie zapowiada, że skoro uda mu się podważyć go dźwignią rozumowania, opartą o dane naukowe, to cały gmach dogmatyczny katolicki runie... I nasz nad-Archimedes (dodaję *na*, bo Archimedes rzeczywisty a pospolity nie widział punktu oparcia dla ruszenia Ziemi z jej posad), w przekonaniu, że dane naukowe z dziedziny przyrody mogą służyć jako punkt oparcia dla podważania prawd zaświatowych, nadprzyrodzonych, z tajemniczo zwycięskim uśmiechem zabiera się do roboty, do przyparcia „duchowieństwa” do *muru* nauki i zapędzenia go w kozi róg nieuctwa, a może i obłudy, iż wzięło w arendę Boga i Jego obietnice, aby naiwny lud tułmanić...

No, i wygrzebuje mamutowy zarzut przeciw zmartwychwstaniu i okazuje go światu staremu z tryumfującą miną odkrywcę świata nowego. Każdy teolog z góry domysli się, że chodzi tu o nieustanną przemianę i obieg materji, o czym pojęcie zapewne miał już Mojżesz, gdy, na mocy figury antro-

pomorficznej, włożył w usta Boga słowa wyroku: „Boś jest proch i w proch się obrócisz”. Trudno jednak oprzeć się pokusie przytoczenia argumentacji autora, rozbrajającej a ucieusznej swoim żakowskim tupetem.

„Lecz oto—czytamy—może się trafić, że osobnik, który przepędził życie zupełnie cnotliwie, wypełniał wszystkie przykazania: boskie i kościelne, słowem, żył po bożemu, że ten osobnik przy końcu swej pielgrzymki ziemskiej wpada w ciężkie grzechy, przestaje np. słuchać biskupa, księdza, lub coś w tym rodzaju. Ponieważ zaś zmartwychwstanie ciało ostatecznie, to pójdzie ono naturalnie do piekła—i sprawiedliwie. Lecz cóż stanie się z ciałami cnotliwymi (które ten sam człowiek w ciągu życia, na mocy przemiany materji, z siebie jakoby zrzucił)? Otóż może je pochłonąć jaka grzeszna istota, zbudować sobie z nich własne pokrycie i zaprowadzić z sobą na męki wieczne. Biedne, mogą sobie protestować, mogą dowodzić, że żyły, jak przystało; nie to jednak nie pomoże: taki jest dogmat Kościoła katolickiego i szanowni djabli na tej zasadzie poczną nieszczęśliwe ciała prażyć i gotować. Lecz to jeszcze nic. Tu w każdym razie ciało może zmartwychwstać, ale idźmy dalej...” Dalej autor przedstawia proces, któremu ciało ludzkie ulega po śmierci, i kończy z humorem: „...naprawdę, może wyniknąć porządna kłótnia między duszami o swe przyodziewki ziemskie...”

Aż żal, doprawdy, że będziemy zmuszeni popsuć autorowi rozkoszny jego humor!

Autor, chcąc dobić wiarę w zmartwychwstanie, a przewidując nowy wykręt „polityczny” (a jakże!) „duchowieństwa”, zwalcza go również zwycięsko, z biegłością bakałarza, uczącego dzieci abecadła: „I gdyby Pan Bóg nie chciał skrzywdzić tych dusz, które zostaną się bez ciał (bo je zjedli inni ludzie, w postaci mięsa zwierząt, które żywiły się roślinami, wyrosłymi na mogiłach, albo bezpośrednio w postaci roślin), i zrobił im „z niczego” pokrycie, to przez to samo stanąby już w sprzeczności: i wobec ks. Putiatyckiego, i ks. Kozłowskiego, i wobec wszystkich innych.”

Następuje zwycięska konkluzja: „Ostatecznie więc do-

chodzimy do wniosku, że ciała nie zmartwychwstaną wcale, że dogmat ten jest bezpodstawowy” (niby naukowo). No, a ponieważ to jest dogmat podstawowy chrześcijaństwa, tedy, z usunięciem go, wali się, w mniemaniu autora, ku jego rozkoszy, cały... gmach?—nie!—cała lepianka dogmatów Kościoła.

Ale autor jest wyrozumiały: „To, że w ogóle mógł on (nie autor, jużci, jeno dogmat) kiedykolwiek powstać, objaśnić można jedynie najzupełniejszym brakiem początkowych nawet wiadomości o przyrodzie u tych szanownych Ojców, którzy na soborze Nicejsko-Konstantynopolitańskim układali swe słynne *Credo*. Lecz nie dziwię się im. Dziwię się tylko—pisze autor,—że dogmat taki do dzisiejszej doby mógł przetrwać. Ale na świecie różne się dziwy dzieją.” *Mutatis mutandis*.—można by te własne słowa autora do niego samego zastosować. „To, że w ogóle taki artykuł mógł kiedykolwiek powstać, można objaśnić jedynie najzupełniejszym brakiem fundamentalnych wiadomości o nauce chrześcijańskiej u tego sz. autora, który w *Do Dzieła* wyraził swoje *Non credo*. Dziwić się tylko trzeba, że takie nieuctwo może paradować pod firmą naukową. Ale na świecie piszą się rzeczy, o których się, ani filozofom, ani historykom, nie śniło.”

Doraźnie, jako rzecz uboczną, wytknę autorowi jeno jego erudycję historyczną: pisze on o soborze Nicejsko-Konstantynopolitańskim, którego nigdy a nigdy w dziejach nie było. Istnieje tylko symbol wiary, znany pod tą nazwą dwolistą, gdyż go sobór Nicejski, na podstawie symbolu Apostolskiego, ułożył, a Konstantynopolitański dopełnił: oba zaś te sobory dzieli przestrzeń czasu—lat 56-ciu (325—381). Autor wziął symbol za sobór, zwiedziony podwójną nazwą historyczną symbolu. I to dodać należy, że właściwie, zwalczając dogmat zmartwychwstania, trzeba było, zamiast na „szanownych Ojców”, uderzyć na „zacofanie” Apostołów, a nawet na samego Chrystusa...

Pewny swego tryumfu, nie powątpiewając ani na chwilę o swojej nieomyślności, autor w końcu wyciąga taki morał: „Kreślę te kilka słów ja do was, koledzy (oj, te *ja!*), by pobudzić was do tym głębszego rozmyślenia nad istotą bytu,

nad temi „nieomylnymi prawdami“, które już z lat dziewięciu (ładna polszczyzna, co?) gwaitem włączają nam do głowy. Pomyślcie trochę, a, ręczę, nie tę jedną podstawową sprzeczność między nauką a wiarą znajdziecie“. No, więc to świat do tej pory wcale, nie a nie, nie myślał, i dopiero młodzieńszkowie nasi zaczynają myśleć nad... odkryciem Ameryki! Chwałaż ci, młodzieży, która budzisz myśl ludzką z wiekowego uśpienia!

Autor przewiduje jeszcze ostatni rozpaczliwy wysilek obronny powalonego „duchowieństwa“: „nie wolno zwyktemu śmiertelnikowi podawać w wątpliwość *dogmatów Boskich*, bo przecież są „Boskie“.—„Lecz o to mniejsza!“—macha ręką autor, z wzniosłą rezygnacją pójsia choć by na stos za herezję, a może wzniosłym politowaniem dla ofiary, której nie chce dobijać. „Wolę ja wierzyć—pisze,—że słońce istnieje, mogąc w każdym czasie przekonać się o tym—wystarczy tylko podnieść oczy do góry (nawet w nocy...), aniżeli starać się szukać jakiejś planety między słońcem a księżycem, na co żadnych dowodów mieć nie można, chyba tylko to, że, z punktu widzenia nauki dzisiejszej (aż dopiero dzisiejszej!), i stnienie takiej planety jest najzupełniejszym absurdem!“ *Malenka* poprawka formalna: analiza pojęcia o wierzeniu wykazuje tkwiące w nim zastrzeżenie, że, w przeciwieństwie do wiedzy, wierzyć można w to tylko, czego nie można stwierdzić i sprawdzić empirycznie: zatym nie może być mowy o *wierze* w słońce: chyba w znaczeniu sabeistycznym, to jest w znaczeniu wiary w ciała niebieskie, jako bóstwa... *Tableau!* Zamiast Boga Ducha, bóg—Materja kosmiczna! Czy to nie *omen*?

A cały, streszczony tu artykuł o zmartwychwstaniu ciała, czy to nie dokument charakterystyczny umysłowości młodzieńczej, oraz jej nastroju społecznego? I jaki jeszcze! Stwierdza on, między innymi, także istnienie suflerów, którzy, ukryci pod muszlą, publicznej zresztą, tajemnicy, podpowiadają niedoświadczonej młodzieży wiarę w podstępny postęp. Młodzież, sama z siebie, niezdolna by była do tak przedwczesnego, bo ujawniającego notoryczną i zrozumiałą zresztą niedojrzałość umysłową, hiperkrytycyzmu. Co tu jest młodzieńczego,

to tylko ten wydęty gazem zarozumiałości młodzieńczej balon subiektywizmu, który wzbija się w świat zagadnień transcendentnych dla celów eksploracyjnych, ale, niezaopatrzonego w odpowiednie narzędzia, nic nie znalazłszy, orzeka, że nic niema. Nie jest to ów subiektywizm metafizyczny Fichtego, wyniesiony przezeń do godności teorii, a orzekający, że wszystek byt: po za osobistym, świadomym siebie *ja*, jest ludzłą igraszką zmysłów. To jest ów subiektywizm psychiczny, bodaj patologiczny w latach młodzieńczych, który każe twierdzić naiwnie, jakoby nie istniało to, czego się nie rozumie, o czym się nie wie: bo jakże by można czego bądź nie roznieć, nie wiedzieć? Zupełnie, jak ten książę indyjski, który wzbraniał się uwierzyć w istnienie lodu, bo go nigdy nie widział. — Natomiast nie jest produktem ducha młodzieńczego—owó naiwne w formie, ale wytrawnie złośliwe w treści naigrzanie się z wiary wierzących. Duch młodzieńczy, sam z siebie, raczej by bajronizował nad utratą wiary dziecięcej! Niestety, balonik jego umysłowy trzymany jest i wodzony przez rękę fałszywą — na sznurku... Więc lata płasko, z nizecznym chichotem ukrytego w nim Mefistofelesa...

Pora wykazać, że australski szafasik dowodzeń autora zbudowany jest z bezwartościowego chrustu nonsensów.

Ale, jak tu się zabrać do rzeczy? Zabierając się do niej, mam wrażenie, jakobym był „Człowiekiem — Górą“ — jak lillipuci nazwali zabłąkanego do nich Gulliwera — w stosunku do lillipuciego umysłu autora, z którym wypada mi się rozmówić. Gdy rzeczony Gulliver znalazł się w położeniu podobnym do obecnego mojego, gdy mianowicie wypadło mu porozumieć się z Reldresalem, sekretarzem stanu (jego cesarskiej mości, władcy Lilliputu) w departamencie spraw *prywatnych* — tedy chciał się położyć, żeby miał bliżej ucho swego lillipuciego rozmówcy. I mnie ten sam pomysł na razie przyszedł do głowy: trzeba się zniżyć do młodzieńczego umysłu... Wnet atoli przyszła refleksja, że autor, bądź co bądź, posiada inteligencję, no, i ambicję, łacnoby go przeto traktowaniem takim obraził. Tedy, że jednak trzeba, aby się głowy nasze znalazły na równi, biore, jak Gulliver Reldresala na jego ży-

czenie, biorę autora za ramiona, podnoszę go ku sobie: hoopl — i w ten sens mu prawię.

Widzisz, kochanie, dogmat powszechno-chrześcijański (więc nie wyłączna własność tych zacofanych wyjątkowo katolików) o zmartwychwstaniu ciała, bynajmniej nie orzeka, na czym polega tożsamość ciał, mających zmartwychwstać, z ciałami żyjącymi i podlegającymi przemianom na ziemi, a po tym składanemu do ziemi. Chcąc się przekonać o tym, że dogmat tego nie orzeka, trzeba tylko zajrzeć do dzieł katolickich obszerniejszych i poważniejszych, aniżeli katechizmy, przeznaczone dla dzieci, w których nie sposób wdawać się w szczegóły, zwłaszcza, gdy się nie przewiduje w nich potrzeb umysłowych wyższych. Jeżeli potrzeba twego umysłu, młodzianie, przerosła te, które katechizm przewiduje, należało ci tedy sięgnąć do owych dzieł źródłowych.

Otóż to, że dogmat nie przesądza kwestji tożsamości rzeczowej, oznacza, iż zostawia on rozumowi ludzkiemu zupełną pod tym względem swobodę. Rozum ludzki tedy, pouczony i przekonany przez naukę o nieustającej przemianie materji, orzekł, iż zasadą tożsamości ciała zmartwychwstałego z żywym czy umarłym nie jest tożsamość składających je kiedykolwiek za życia lub po śmierci molekuł, ale *indywidualność duchowa*. I teologia to orzeczenie rozumu naukowego przyjęła na długo przedtem, zanim ty, australczyku, na świat przyszedłeś. Twoja własna, czy zapożyczona skądś, myśl na prowadzała cię na takie rozwiązanie wyolbrzymionej przez ciebie trudności; aleś z tego na korzyść dogmatu nie skorzystał, gdyż cały umysł twój napięty był tendencyjnie w kierunku jego zwalczania.

Sam wszak tłumaczysz, dlaczego to ciało ludzkie *za życia*, pomimo, iż odnawia się co czas pewien, jednak zachowuje tożsamość: „Że człowiek — piszesz — posiada najzupełniejszą świadomość swego własnego *ja*, nawet z przed laty więcej, niż dziesięciu (tylko?), zachodzi to wskutek pewnych psychologicznych (chyba: psychicznych?) bodźców, które pozostawiają na umyśle osobnika niezatarte ślady swego działania. I, choć cała materja mózgu ulegnie zmianie, jednakże ślad

ten wiecznie (teraz już aż *wiecznie!*) pozostaje, przechodząc od starszych, ginących komórek neuroplazmy do młodszych, na nowo powstających“ *).

Otóż i sam podsunąłeś rozumowi swemu platformę ku przejściu do wiary w dogmat zmartwychwstania! Czemu nie było rzucić tego światełka na kwestję tożsamości ciał zmartwychwstałych, czy raczej mających zmartwychwstać? A tak ono się tego napraszało! No, i wtedy była by zasługa, że się odkryło Amerykę katolicką, zamiast bezwyznaniowej!

I patrz-no, chłopcze, w co się twój przedwczesny tryumf zamienił! Patrz, jak to niebezpiecznie: „ante victoriam encomium canere“ — *przed zwycięstwem śpiewać pochwałę*, i to samemu sobie, swojemu *ja*, swojej własnej myśli. Zaiste, zwycięstwo, gorzej niż pyrrusowe! Zakrakałeś nad „zwłokami“ Kościoła, a otoś samochcąc uwikłał się we własnej argumentacji, niby on kruk, co udawał orła, w welnie barana...

Może zechcesz i teraz powtórzyć: „Jak chcecie, tak politykujcie, ale swoją drogą i t. d.“ No, mój drogi, równym prawem mogę ci tę gołosłowną „politykę“ odrzucić: jak chcesz, tak się wykręcaj, ale sianem swojej „polityki“ nie wykręcisz się! Nie dopiero wprawdzie od ciebie „papugo i pawiu“ liberałów, ale od mistrzów twoich dowiedziałem się swego czasu o rzekomym politykowaniu Kościoła, nawet w sferze zagadnień bytu, więc od polityki właściwej oderwanych. I dziwowałem się, jak to może być, żebym ja, ksiądz, nie był wtajemniczony w arkana kościelne tak, jak wtajemniczeni są w nie libera-

*) Dokładniej, oczywiście, pisze o tym Duilhé de Saint Projet, w swojej „Apologie scientifique de la foi chrétienne“: „Oto trudność, rzekomo groźna, w istocie dziecinna. Im więcej starają się ją rozdać, im usilniej nalegają na nieustające krążenie atomów żyjących, tym lepiej uwydatniają prostotę rozwiązania, tym wyraźniej stwierdzają prawdę, że tożsamość ciała żywego nie zależy bynajmniej od tożsamości żywiołów jego materialnych. Zasadą tożsamości ciała ludzkiego jest osobowe złączenie jego z jedną i tą samą duszą; na tej zasadzie jedność jego jako ciała żyjącego, utrzymuje się pomimo nieustającej ewolucji cząstek, z których się składa.“ Tę „Apologję Naukową Wiary chrześcijańskiej“, w pięknym przekładzie polskim ś. p. biskupa Kossowskiego, radzę poznać naszym australczykom, starym i młodym.

rałowie, którzy, niby biblijny „lew ryczący“ a głodny, krążą dokoła murów zewnętrznych Kościoła, w poszukiwaniu żeru księzego. W końcu-m zrozumiał, że muszą oni mieć swój cel w narzucaniu, czy podrzucaniu nam „polityki“, o której nam się nie śniło. Wiadomy fortelik, praktykowany z powodzeniem na frycach przez rzezimieszków, no, i *sui generis* także polityków! Niewątpliwie zresztą, ci i owi politycy wolnomyślni z całą naiwnością sądzą sami po sobie*).

Co do nas, wiemy, i tajemnicy z tego nie czynimy, wiemy jedynie o metodach obrony wiary; aleć to chyba rzeczy niezakazane przez żadną etykę, nawet liberalną, tak dla nas, wierzących katolików, surową. Literatura też nasza stoi wszak otworem każdemu; ba, Leon XIII-ty otworzył był archiwa watykańskie dla badaczy przeszłości Kościoła! Czyżby nasi australczycy stronili od literatury katolickiej z tajemnej obawy, aby snąć nie byli zmuszeni przyodziać cynicznej nieraz nagości myśli naturalistycznej w szaty chrześcijańskie? Wiadomo, że misjonarze katolicy przedewszystkiem przyuczają nawróconych krajowców do używania przyodziewku... Co, zresz-

*) Jeżeli i politykowano kiedy w Kościele naprawdę w kwestiach dogmatycznych, to jawnie, przy drzwiach otwartych, oraz ze względów zewnętrznych, ubocznych. Np. w sprawie dogmatyzacji nauki o nieomylności, pewna część biskupów, z francuskim, gienjałym Dupanloup'em na czele, stanęła w opozycji, a i to zgola nie powodowana wątpliwością, ile, że nieomylność była przedmiotem wiary od początku chrześcijaństwa (sławna formuła: „Roma locuta est, causa finita“, wyszła z ust św. Augustyna, który żył w IV-ym wieku),—ale właśnie wiedzioną oportunistem politycznym, żeby nie wywołać napaści międzynarodowego niedowiarstwa na Kościół. Pius IX-ty atoli poszedł drogą prostą, na przebój, nie czekając na lepsze dla Kościoła czasy, ufny, że właśnie ten dogmat skupi i skonsoliduje wierzących. Nie chodziło tedy ostatecznie o to, czy uznać prawdę wiary, wierzoną od początku, czy jej nie uznać—ze względów politycznych; ale: czy ją zdogmatyzować, czy pora po temu stosowna. To politykowanie dyktowała biskupom opozycyjnym, prócz świadomości, że niedowiarstwo czycha tylko na sposobność do zatrącenia do ataku na Kościół,—także i obawa odszczepieństwa, która istotnie sprawdziła się na Doellingerze i jego stronnikach. Nie zawiodła wszakże i nadzieja Piusowa, lulo zwycięstwo jej okupione zostało stratami.—Czy z polityki takiej można się z dobrą wiarą gorszyć?!

ta, jest zupełnie zgodne: i z naturą, i z nauką: odzienie potrzebne i w klimacie podzwrotnikowym, gdyż chroni od tropikalnych promieni słońca, oraz od ukąszeń zjadliwych owadów... Rozumiesz, waść, alegorję?

I cóż ty na to, mój polityku? Oszukali cię, widzisz, fałszywi przyjaciele; a tyś za młody, za mało doświadczony, żebyś mógł się poznać na farbowanych lisach. Myślisz, że to nie lisy, a to lisy prawdziwe, które od czułych na pochlebstwa „wron“—politycznie ser wyłudząją... Wszak znasz wesołą bajeczkę o takowej przyrodzie wroniej, jeszcze pewno z czasów smutnej pamięci szkoły rządowej?

I co za morał, już nie z tej bajeczki, ale z faktu przedczesnego tryumfu nad dogmatem katolickim wypływa?

Naprzód ten, analogiczny z morałem twoim, młodociany neronku, jeno w kierunku przeciwnym,—że trzeba istotnie „głębszego rozmyślenia nad istotą bytu“, nad istotnie nieomylnymi prawdami wiary chrześcijańskiej, ażeby „podstawowe“ sprzeczności między nią a nauką, jak dym się rozwiały. „Leves gustus in philosophia—powiada Bakon Werulamski, twórca metody indukcyjnej—movere fortasse ad atheismum, sed pleniores haustus ad religionem adducere“—*Lekkie „liźnięcie“ filozofji prowadzi do ateizmu, lecz pełniejsze jej hausty prowadzą do religji.* Tenże filozof mówi: „Nemo Deum non esse credit, nisi cui Deum non esse expedit“—*Ten tylko nie wierzy w Boga, komu zależy na tym, aby Boga nie było.*

W myśl gienjałego Werulameczyka sięgnijmy głębiej w kwestje, które-ś, młodzieńcze, w związku z dogmatem zmartwychwstania poruszył.

Zbadajmy naprzód proces, w jaki formują się dogmaty religijne katolickie. Jak już uprzednio miałem być sposobność nadmienić, Kościół od dawien dawna uznawał rozwój postępowy nauki, zawartej w Objawieniu: mianowicie rozwój w świadomości ludzkiej, inaczej: subiektywny. Zupełnie analogicznie z rozwojem nauk przyrodzonych. Gdy tu przedmiotem poznania jest Natura, w której, niezależnie od wiedzy lub niewiedzy ludzkiej, tkwią prawa i prawdy; to tam—przedmiotem poznania jest Nadnatura, po części dostępna dla czystego re-

zumu, wspartego na potężnej przesłance większej w postaci przyrody,—po części dopełniona przez Objawienie, które nadto utwierdza rozum w tym, do czego on o własnych siłach dojść zdolen (istnienie Boga, duchowość i przeto nieśmiertelność duszy i t. p.) Objawienie więc, zawarte w Piśmie św. i w Tradycji, spisanej przez Ojców, obejmuje i prawdy transcendentne, zdobyte już przez filozofję starożytną—siłą rozumu naturalnego. Otóż pod działaniem pracowitej myśli na zawartość Objawienia, niby słońca na glebę, tkwiące tamże nasiona prawd kielkują, rosną i dojrzewają w świadomości Kościoła, co dokonywa się na warsztacie naukowym teologicznym. Gdy już dana prawda religijna zostanie dowiedziona za pomocą rozumu, operującego danymi teologicznymi, wtedy pada na nią z Góry promień światła nieomylnego i krystalizuje ją w dogmat. Bywało, zresztą, najczęściej, że prawdy religijne długo istniały w stanie niedogmatycznym, pomimo, iż wiara w nie była w Kościele dowiedziona, silna i powszechna, i dopiero napaść na nie dawała okazję do ich dogmatyzowania, do obwarowywania ich anatema.

Taki jest proces formowania się dogmatów, stanowiących ostateczny wyraz siły przekonania w Kościele o prawdziwości zawartych w nich twierdzeń. Formują się one przy spółdziałaniu czynników: przyrodzonego (rozum) i nadprzyrodzonego (nieomylność). Że i ten ostatni musi spółdziałać, wynika to z charakteru przedmiotu poznania religijnego. Naturalny brak probierza oczywistości ludzkiej: rozumowej czy doświadczałnej, musi tu być zastąpiony przez probierz z Wysoka. Rzecz inna—z *faktem* Objawienia, który, jak każdy inny wielki fakt historyczny, dowiedziony jest z oczywistą wiarygodnością ludzką.

Przejdźmy do kwestji stosunku wiary do nauki*).

*) O stosunku wiary do rozumu nie mówię, gdyż okres walk racjonalistycznych (inaczej: rozumowcowych) przeciwko wierze przeminał. Pobite na polu rozumu niedowiarstwo — przeniosło walkę na grunt naukowy. Co nie przeszkadza ani trochę, że w głowach australczyków naszych zarzuty przeciwko wierze, czerpane z rozumu, po dzień pokutują, dzieląc dole wszelakich zacofanych anachronizmów;

Należy ci tedy wiedzieć, młodzieńcze, że dogmaty nasze religijne mają kontakt z dogmatami naukowymi tylko zewnętrznym. Te ostatnie mogą wypierać tylko błędne ich rozumienie, o ile pod tym względem teologia zależna jest od każdego poziomu nauki; ale istoty ich tknąć nie mogą, gdyż one z natury swej wyższe ponad osiągalność „oka i szkiełka“ wiedzy ludzkiej. Rozum ludzki, uzbrojony w rynsztunek naukowy, może nie wierzyć, ale i wiary obalić nie może.

Weźmy dla przykładu dogmat stworzenia. Cóż nauka, na dobrą sprawę, może mu przeciwstawić? Jeśli chce być sumienna, musi oświadczyć, że nie może nic: ani *za*, ani *przeciw*. Parta tendencją zgola nienaukową, uczyniła ona próbę zwalczenia tego dogmatu, stawiając teorię samorodztwa. Haeckel po szarlatanśku poparł ją był nawet fantazyjnym a osławionym Bathybiusem, stworzonkiem, rzekomo drogą samorodztwa powstałym. Niedowiarstwo, osłonięte firmą naukową, głosiło już tryumf nad wiarą... Hipoteza ta jednak, wraz z modnym Bathybiusem Haeckla, wiadomo, padła pod ciosami uczonego *katolickiego**), Pasteura: uczonego, któremu niedawny plebiscyt dziennikarski we Francji przyznał palmę pierwszeństwa ponad znakomitościami tego kraju z wieku ubiegłego.

W końcu, litera dogmatu stworzenia (jak i każdego innego) nakreślona jest tak szerokimi, lubo i dokładnymi, rysami, że pozostawia całkiem swobodne pole dla badań naukowych co do ewolucji raz powstałego życia. Kościół przyznaje sobie nieomylność i waruje nietykalność—wyłącznie i ściśle w rzeczach wiary i moralności. Jeśli chodzi o zagadnienia przyrodnicze, nie wyłącza tych, które wzmiankuje Biblia, to co do nich Kościół oddaje ostatnie słowo Nauce i wyrokom jej ulega. Jednak nie na ślepo i bezkrytycznie. Nie

gdy szanujący się naukowcy (nie koniecznie *uczeni*) ani chcą słyszeć o metafizyce, na gruncie której poprzednicy ich ponieśli porażkę,—odrzucający ją z lekceważącym honorem w krainę poezji. Co im samym znowu nie przeszkadza operować pojęciami metafizycznymi, wobec słusznego określenia człowieka przez Szopenhauera, jako „animal metaphysicum“.

*) T. j. takiego, który kojarzy harmonijnie w swym rozumie wiarę z uczonością.

pójdzie on za pierwszą lepszą nowinką naukową, nie uzna jej odrazu za pewnik, jak to się nadto często przytrafia uczonym niewierzącym. Przeciwnie, długo się opiera, zanim uzna jakąś teorię, przez co, wobec tendencyjności uczonych niewierzących, zmusza naukę do samokrytycyzmu, więc i przysługi ubocznie jej oddaje. Gdyby nie ta siła oporu, hej!—zajechalibyśmy dawno już na „postępie“ drogą okólną do pierwotnego barbarzyństwa, choć może kulturalnego w formie... Mniejsze lub większe ofiary tego oporu, płynącego już z pierwsiastka ludzkiego w Kościele, to złe, ale złe stokroć mniejsze od zła, które by wynikło dla kultury, gdyby nie było na świecie potęgi, hamującej rozpętaną swawolę myśli ludzkiej. A niemasz-że i ofiar „postępu“? Codzień na nie patrzymy, codzień o nich czytamy! Są zaś one dwójakiego rodzaju: te, które dały się uwieść przez błędne ogniki postępu, oraz te, które się temu postępowi w imię wiary opierają. O tych ostatnich mówią dużo dzieje prześladowań Kościoła, ciągnące się krwawą wstęgą przez całe dziewiętnaście wieków jego żywota.

Kościół tedy na gruncie naukowym oddał berło Nauce; jeśli i na tym terenie przez ciąg wieków średnich panował, to jeno za zasługę może mu być poczytane, pomimo błędów, które wynikły z postawienia filozofji i nauki w roli służebnie teologii. Kościół pielęgnował naukę, póki nie przygotował jej pracowników świeckich. Obecnie, z mocy swego powołania, pilnuje on tylko *moralności* w nauce: żąda od niej, aby była sumienna, to jest, aby zamiast ku poszukiwaniu prawdy w przyrodzie, nie zwracała złośliwego oka raczej ku dogmatom wiary objawionej, co stanowi najście nieuprawnione na obce jej terytorjum.

Właśnie skutek niedowiarczej tendencyjności wielu uczonych wrze walka z wiarą w imię nauki. Nauka społeczna, we większości swych przedstawicieli, wpadła w niewolę przeciwną tej, w której ona była w czasach scholastyizmu. Nauka stała się służebnicą niedowiarstwa, powziętego z góry, przesądnego, złowolnego. W jej walce z wiarą tkwi fałsz zasadniczy. Albowiem, żeby mieć prawo do orzeczenia, że wiara

w jakim bądź punkcie przeciwi się nauce, należy wykazać sprzeczność między dogmatem a dogmatem: dogmatem religijnym a dogmatem naukowym. Do tej pory nie dokazał tego nikt! Dogmaty religijne przeszły przez próbę ogniową krytyki wieków zwycięsko! To fakt! Fakt, który *sam jeden* daje do myślenia, iż w religji chrześcijańsko-katolickiej nie z produktem mózgu ludzkiego mamy do czynienia. Fakt, który daje gwarancję na przyszłość, że i krytyka wieków następnych religji tej obalić nie zdoła. Fakt, który istnieje i żyje w tysiącach mózgów rozwiniętych i naukowo wykształconych.

Więc raczej wrze bój pomiędzy wiarą a niewiarą, bój, w którym nauka jest tylko orężem; bój, w którym niewiara święci tryumfy tylko chwilowe, po których następują porażki tym haniebniejsze. Właściwie też ścierają się, nie dogmaty z dogmatami, ale opinie z opiniami: teologiczne*) z nauko-

*) Pomiedzy dwiema zasadniczymi częściami, na ktore społeczeństwo, zwane Kościołem, rozpada się, to jest, pomiedzy Kościołem nauczającym, który tworzy hierarchja (*Ecclesia docens*), a Kościołem słuchającym czyli nauczonym (*Eccl. docta*), składającym się z wiernych,—wyróbił się z biegiem czasu i zdobył prawa tak zwany Kościół uczący się (*Eccl. discens*), który tworzą teologowie, a do którego już wieki średnie dopuściły i świeckich, dając im prawo głosu. Ten to Kościół kształcący się wytwarza opinie teologiczne w sprawach wątpliwych i nieobjętych dogmatem. Wartość tych opinii mierzy się powagą osobistą uczonych teologów, których powaga z kolei mierzy się uczonością ich, oraz uznaniem Kościoła nauczającego. Skala tej powagi znowu jest tak długa, jak długa jest skala umysłowości ludzkiej w różnych osobnikach. Kończy się jednak tam, gdzie się zaczyna nieuctwo lub ograniczoność umysła, albo jedno i drugie razem. Stąd nie mogą mieć powagi żadnej mniemania osobiste nawet kapłanów, chociażby głoszone z ambon i katedr prefektowskich, o ile są one produktem niedoucstwa,—i przeto nie mogą być składane na odpowiedzialność Kościoła nauczającego. Lubo znów z drugiej strony, nie każdy, ba, rzadko który słuchacz ma prawo krytyki względem kapłanów. Prawo to zdobywa się przez okazanie znajomości nauki katolickiej, która u nas równa się na ogół analfabetyzmowi.

Znakomitą anegdotę, ilustrującą tę zasadę, opowiedział, na jednej z konferencji warszawskich, o. Berthier, uczony Dominikanin. Jakiś kaznodzieja dominikański usiłował wyszydzić Galileusza, opierając się na grze słów, wypływającej z podobieństwa jego nazwiska z Galilejczykiem. Galileusz poskarżył się na to listownie gienerałowi zakonu, który odpo-

wemi. Na tle tych starć rodzi się niewiara, upozorowana naukowo, mianowicie, gdy ona dogmatyzuje przedwcześnie hipotezę, poczętą z niej samej, aby ją przeciwstawić dogmatowi religijnemu, albo nawet poczytanej za dogmat opinii teologicznej. Gdy w dodatku na pole walki ideowej wtargną namiętności partyjne, życiowe, sprawa się zaostrza i wydaje w rezultacie: fanatyzm niedowiarczy pod egidą Nauki z jednej strony, a z drugiej—fanatyzm przeciwko niedowiarczej nauce w imię Wiary.

Tymczasem, ponad polem walki, na wyżynie niebotycznej, góruje Katedra św. Piotra—z majestatycznym Leonowym (Leon XIII): „*cunctandum interea de sententia*”—*zwlekać z wyrokiem!* I, dopóki nie rozegrzezi *ex Cathedra* głos nieomylny, dopóty opinii teologów, chociażby samego Papieża, występującego z roli uczonego, nie wolno składać na odpowiedzialność Kościoła, jako nauczającego nieomylnie.

Spojrzyj teraz, młodociany pogromco „dogmacików” Kościoła, w światło powyższym, na swoje sztabackie wywody!

Mówiąc absolutnie, wolno ci wierzyć lub nie. Nikt cię z powodu niedowiarstwa nie weźmie za czuprynę i tak do wiary prowadzić nie będzie. Ale nie wolno ci urągać Kościołowi, który żyje blisko dwa tysiące lat i naznaczył cię, nie-mówieniem, znamieniem owieczki Chrystusowej. Nie wolno ci naigrawać się, jak Cham, z Matki swojej duchownej!—A chociaż-bys i nigdy synem Jej nie był, należało by ci poważnie traktować tak poważną wiekiem i zasługami instytucję, jak Kościół, któremu równej nie znajdziesz w czasie i w przestrzeni. Tyś jednak potraktował Kościół, jak bandytę swoją ofiarę! Gorzej: bandyta daleki jest od ferowania wyroków, nie ośłania swego gwałtu ideją (chyba tylko jakim jej anarchicznym surogatem): morduje, grabi, bo chce pieniędzy. Ty, młodzieńcze, ledwoś w świat się wychylił, wydajesz w najpoważniejszych sprawach wyroki bez sądu, bez naukowego śledz-

wiedział: „Panie, mam pod swym zwierzchnictwem 20 tysięcy zakonników. Czyż to jest co dziwnego, że wśród nich znajdzie się kilku głupców?” (Według sprawozdania *Słowa*).

stwa, albo badasz na patałajkę, jak sądy polowe. Jeszcze gorzej! Sądy polowe wyrokuja o tych, których schwytano na gorącym uczynku i skazują tylko na śmierć fizyczną. Ty, bez należytego sądu, zabijasz Prawdę chrześcijańską! Jużci, zabić jej, samej w sobie, ani nawet jej życia w duszach wierzących, nie zdołasz. Ale zabijasz ją z lekkim sercem sam w sobie; wyrzucasz ją z duszy swojej, jak ta małpa z bajki, wyrzucająca dla zabawki skarby przez okno. A w duszach wierzących biczujesz tę Prawdę złośliwie, z jakąś operetkowo-piekielną radością; plwasz w te dusze na to, co jest ich świętością najdroższą, co one ukochały nad życie.

Mimowoli nasuwa się tu pytanie: czy ten twój czyn „pogromczy”, młodzieńcze, to nie jeden z objawów tego samego ducha bandyckiego, który twoim rówieśnikom, nieociosanym choć z grubsza przez kulturę wychowawczą, wkłada do ręki brauningi i sztylety? Tyś wypolerowany może powierzchownie, ale w głębi twej duszy siedzi także bandyta! Tyś rozum swój sponiewierał, zamieniając go w narzędzie bandyckie...

Mam jednak dla ciebie okoliczności, łagodzące twą winę. Z twojej przewiny wygląda ślepiem szkaradnym grzech cudzy, który spełnił rolę kusiciela. Rozgrzesza cię w znacznej mierze i twoja naiwność. Uniósłszy się dufnością młodzieńczą, kilkoletnią myśl swoją przeciwstawiłeś dziewiętnastowiekowej myśli katolickiej; „nieomylność” własną—nieomylności Kościoła. Poszybowałeś lotem ikarowym w górne sfery zagadnień najwyższych, ze złą wolą w sercu, i otoś spadł, postrzelony strzałą krytyki katolickiej. Postrzelonego i leżącego u nóg moich,—gdybym chciał przemówić do ciebie w stylu naturalistycznym, to jest takim, jaki podsuwa natura ludzka, tak apoteozowana przez hołdowników naturalizmu,—mógłbym cię za twój zamach na świętości milionów chrześcijan zwymyślać od chłystków, smarkaczów, gołowásów, żółtodziobków, i jeszcze gorzej. Ale mi cię żal, boś padł ofiarą bezbożnych zakusów, zamaskowanych wielkim hasłem postępu.

Tedy raczej nasyłam na ciebie Bronię, *) która swego

*) Z powieści Orzeszkowej p. n. „Australczyk”.—Przytoczone słowa Broni można by zastosować i do starszych wiekiem australczy-

kuzyna, Romana Darnowskiego, błyszczącego szychem kultury i postępowości, ale wewnątrz próżnego sceptyka, przezwala „Australczykiem“. Niech ta Bronia (a takich w życiu znalazło by się sporo) zawoła i do ciebie:

„Oj, Boże! co Romek wygaduje! Chyba w Australji ludzie nie umieją rozpoznawać na pewno, co jest górą, a co doliną. To już ja nawet wiem dobrze!“ (Str. 229).

Czas już cię puścić, mój australczyku! Zwłaszcza, żem się i sam, dźwigając cię, krzywą zmęczył, choć-eś lek koduch.

No, daj buzi, Braciszku, i nie gniewaj się! Choć gryzłem cię, wierząc, to sercem gryzłem. Bój się tego raczej, kto „gryzie a pieści“. Teraz puszcza cię wolno. Idź w pokój, a więcej banialuk nie pisz, żebyś po raz drugi różgą krytyki katolickiej ciągow nie dostał. Że myślisz, rozumiesz: to dobrze i chwalebnie; ale pamiętaj, że wprzód, zanim zaczniesz biegać myślą publicznie po przestworzach zagadnień najwyższych, trzeba ci nauczyć się chodzić po „ciasnym podwórku“ swoich pojęć, w ścisłej tajemnicy przed ludźmi...

...Z całym rozmysłem rozpisałem się tak szeroko o niefortunnym artykule o zmartwychwstaniu, ażeby na tym kapitalnym przykładzie okazać, jak dalece ów „oreź jedyny“ w ręku młodzieży może być niebezpieczny dla niej samej, skoro by jej przyznać pełne prawo do używania go czynnie, oraz wywierania za jego pomocą wpływu na opinię starszyny. Widać stąd naocznie i dokumentnie, co warte są t. zw. poglądy *własne* uczącej się młodzi. Argumenty atoli na dobro tychże nie są jeszcze wyczerpane: gwoli pełnemu oświeceniu

kół, o ile chodzi o znajomość chrystjanizmu. Swego czasu kursowała między księżmi dotycząca tej sprawy anegdota o jednym z posłów do pierwszej Dumy. Na przedstawiane mu trudności co do umiejętnej obrony w Dumie interesów Kościoła, ex-posel odparł: „Przejrzę jedną, drugą broszurkę, a będę wiedział, czego i jak bronić!“ Politowania godną zarozumiałość!—Pewna znów dama, gdym był jeszcze alumnem seminarjum, dziwowała mi się w oczy, ku srogiemu oczywiście oburzeniu z mojej strony, że jednak klerycy nie tylko się modlą, ale i uczą. Odpaliłem grzecznie, że gdym był jeszcze dzieckiem, tom myślał tak samo, gdyż widywałem kleryków tylko w kościele...

sprawy musimy wziąć pod uwagę inne jeszcze racje obronców młodzieży szkolnej.

Zupełnie słuszna jest uwaga pana „a“, autora artykułu: „W sprawie wychowania“ (*Płocczanin*, № 9), że i wielu oświeślonych nie miało nigdy zdania własnego*). Ależ, na miły Bóg!—stąd zgoła nie wypływa, jak chce autor, aby młodzież miała pełne prawo do tegoż. Przeciwnie: jeśli starzy nie zdobyli się przez życie całe na zdanie własne, tymbardziej nie mogą zdobyć się na nie młodzieńcy szkolni, mianowicie, gdy chodzi o zagadnienia, o które i głowy cyklopowe rozbijały się beznadziejnie. Argument, że „właśnie to zdanie winno się wyrabiać już w dziecku“, tezy autora bynajmniej nie dowodzi. Wyrabianie się, to dopiero zmierzanie ku wyrobieniu.

Cóż by powiedziano o gosposi, która by niewyrobione ciasto upiekła, albo też wyrobionego niedopiekła, i takie na stół podała? Któż by je chciał pożywać? A gdyby je kto spożył, któżby nie uczuł niedyspozycji, zwłaszcza przy słabej sile trawienia? Podobnie umysł młodociany, chociażby najtęższy, z reguły za mało posiada paliwa nauki i doświadczenia, ażeby na ogniu myśli zdolen był upiec czy ugotować strawę duchową, zdrową i posilną, zwłaszcza, gdy to ma być strawa więcej złożona i subtelna. Tym bardziej, gdy i sama siła

*) Na podobny argument autora, że i dorośli grzeszą zarozumiałością, można odpowiedzieć, że to właśnie ci, którzy w latach młodzieńczych zarozumiałości swej nie okiełznali. Tak samo ci dorośli, którzy wiarę stracili, utracili ją najczęściej już w szkole, wskutek nie dość gruntownego jej poznania. Bo czemuż są inni ludzie dorośli, którzy wierzą, wierzą z przekonania?—Odsadzać ich od rozumu ryczałtem, przez charakterystyczne a głośne zaopatrywanie wyrazów *rozum*, *rozsądek* i t. p., w cudzysłowy, gdy mowa o katolikach,—to tylko fortel sofistyczny, w który sami jego wynalazcy nie wierzą, o ile nie są bici w ciemię.

W ogóle, złe wszelkie razi nas w młodzieży więcej, aniżeli w starszych, właśnie wskutek naturalnego oczekiwania od niej oraz przypisywania jej bezinteresownego idealizmu. Młodzież, zbyt szybko ściągająca starszych w grzech, musi budzić niepokojące pytanie: Co to będzie później, gdy życie odsłoni przed nią całą swoją ohydę?! W tym świetle dopiero rozumiemy słowa św. Augustyna, które on sam o sobie wyrzekł w swoich „Wyznaniach“: „Takusie pacholę, a taki grzesznik!“

umysłowa, w stosunku do wieku młodzieńczego, duża, w stosunku do wieku dojrzałego jest mała i słaba. I któż z ludzi dojrzałych zechciałby żywić swój umysł wytwórczością młodzieńczą? Może ona interesować ich jedynie, jako *curiosum*, nawet pouczające psychologicznie, o ile pochodzi ono rzeczywiście z własnej fabryki myśli młodzieży. Gdy atoli kto inny, a ktoś podejrzany co do swoich tendencji, podkłada drewno pod kociołek „umu“ młodzieńczego, wówczas wytwórczość tego ostatniego musi zaniepokoić społeczeństwo. Z takim, niestety, wypadkiem mamy do czynienia i to jest oś, około której sprawa młodzieży obecnie się obraca.

Trudno przypuścić, aby duch młodzieńczy, nieskażony jeszcze ujemnymi wpływami życia, nastrojony na nutę właściwego mu idealizmu, zdobywać się mógł sam z siebie na taką sekciarską partyjność, osłoniętą najszczytniejszymi hasłami, jaką obserwowaliśmy na próbkach pióra uczniowskiego z *Do Dziela*. Idealizm oraz dobra wiara młodzieńcza miesza się tam z pierwiastkami trującymi, które można dokładnie wyróżnić za pomocą nie tylko analizy krytycznej, ale samej intuicji duszoznawczej. Dusza młodzieńcza pierwiastków onych wytworzyć sama z siebie nie mogła! W imię honoru młodzieży, w imię idealizmu jej, oraz czystości intencji, należy z całą siłą zaprotestować przeciw składaniu na jej odpowiedzialność wyłączną jej wyskoków etycznych i myślowych!

„Et ego olim fui!“—*I ja nigdy byłem* młodzieńcem, byłem w Arkadii młodości! I wiem, i pamiętam, co znaczy święta niewinność i szczerłość ideałów młodzieńczych! Dusza młodzieńcza—to kryształowej czystości czule zwierciadło, w którym odbija się świat i życie, z wyrazistością, nieznana wiekowi starszemu. To *tabula rasa*, na której wszystko, co chcesz, wypisać możesz, byle nie podłość i przewrotność! To księżyc, płynący po czystym lazurze niebios: technij nań (w ziemie) parą ust swoich, a wnet otoczy go nimbus tęczy. Tak i duszę młodzieńczą, bujającą pod niebiosami ideałów nadziemskich, otęczywa idealizmem dech synów Ziemi, „realnych cieślów“ (Słowacki) życia, otęczywa, nawet gdy ów dech zatruty jest życiowym pijaństwem!

I szczęśliwa ta dusza młoda, która sideł zdradzieckich, zastawianych na jej wiarę w ideały, na czystość jej intencji, uniknie. Szczęśliwa po stokroć, gdy brutalne życie nie zedrze przedwcześnie z jej oczu świetlanej ułudy tęczy, nie zetrze z niej puchu świeżości uczuć, nie wedrze się w świętą krainę jej marzeń i myśli! Szczęśliwa po stokroć! Albowiem dobrze jej i trzeba jej, aby miała dość czasu na zebranie tyle zapasu idealizmu i tak go w sobie utrwałała, żeby go jej nie zbrakło w życiu późniejszym, gdy wejdzie w szranki walk życiowych, pełnych egoizmu i namiętności,—żeby do końca nie straciła wiary w ideały, w możliwość ich urzeczywistnienia, i, jak przedwcześnie weszła była w życie, tak przedwcześnie i sił duchowych nie wyczerpała i nie upadła tak płasko w męty moralne, jak po farysowsku niegdyś unosiła się była na skrzydłach młodości.. I gdyby taki miał być koniec jej wzlotów, lepiej by jej pono było runąć od razu tragicznie w zapasach z mocami ciemnymi!

Tys, Młodzieży, trafiła na czasy—nie powiem: złe, ale niebezpieczne dla siebie; niebezpieczne dla tego, co jest twoim skarbem najdroższym, twoim przywilejem, którego ci dorosli zazdroszczą: dla *niezależności*... od życia!*). Nie mówię: złe, bo są one twórcze, ale też i dlatego, że twórcze, są one dla ciebie niebezpieczne. W charakterze ich rewolucyjno-twórczym tkwi dla ciebie pokusa ogromna i silna, boć tobie w to ino graj, żeby żyć pełnią życia i cały w nie zapalić swój oraz siły żywotne władować! Czasy niebezpieczne dla twej młodości tym bardziej, że, w walce Arymana z Ormuzdem, Ciemności z Jasnością, tak się oba te żywioły ze sobą zawarły i zmieszały, iż ducha dojrzałego silnego trzeba, żeby mieczem krytycyzmu rozdzielić je i stanąć po stronie czystej, nie-

*) Od życia, jużci, czynnego. Nie dążę do zalecenia, aby młodzież poznawała życie... z balonu. Co dobre, lub moralnie obojętne, poznać ona powinna z książki i, o ile możliwości, doświadczalnie; co złe lub niebezpieczne—tylko z książki naukowej. Ale życie aktualne, czynne, wdzierać się do uczelni nie powinno. Uczelnia—to świątynia nauki, świątynia, do której zgłębienie życia docierać nie powinien. Uznaje to pedagogika najnowsza, marząca o szkołach po za miastami, zwłaszcza wielkimi.

zmaconej żadnym mroku atomem—Jasności. Trudno to nawet dla katolików, ba!—nawet i dla kapłanów, posiadających wszak drogowskaz Boży w Światłości, którą jest Chrystus. Ludzie rozszarpali Prawdę na kawały; każda ich grupa jeden taki kawał, mniejszy lub większy, pochwyciła i, jako hasło, na sztandarze swoim obnosi, podając go za Prawdę całkowitą i werbując stronników. A w środkach zdobycia ich partje nie przebierają! Kłamstwo i podstęp, pochlebstwo i kalumnja, w końcu nawet brauning i sztylet skrytobójczy—w orgji walk partyjnych idą o lepsze w zawody. Dur idzie od tego taki, że i tęgie głowy dostają zawrotu, nieczym od pocisków z gazami trującymi.

I ciebie, Młodzieży, dur ten owionął. Nie—upojona, ale *spożona* podstępnie hasłami wolności bez hamulca ni granic, zahipnotyzowana podsunietą ci przedwcześnie myślą samodzielności i niezależności, rwiesz pęta obowiązkowej karność szkolnej (nie bacząc, że i po za szkołą obowiązuje karność, mianowicie—społeczna), żądasz zrównania swych praw z prawami ludzi dojrzałych, aż do „mieszkań kawalerskich“ (autentyczne!);—nie wiedząc o tym, czepiasz się karkołomnie, jak lunatyk, gzemsów budowy społecznej...

Równouprawienie z dorosłymi? Ależ równość praw oparta być musi na zasadzie równości duchowej, a także i fizycznej, o ile narządy cielesne, zwłaszcza mózg, są narzędziem ducha. Przyznaj, Młodzieży, że o równości takiej nie może być mowy, gdyż ona nie istnieje faktycznie.

Ale ty masz na to w odwodzie swoje racje, z którymi rozprawić się trzeba poważnie: racje uludne, które rozwiewają się, jak mgła, pod działaniem snopka promieni krytycznych.

Główna i źródłowa racja twoja—to wiara bezgraniczna we własną młodość z jednej strony, a z drugiej—przekonanie o bankructwie „starych“.

Wiara w młodość! Rzecz piękna i wzniosła! Wiary takiej potrzeba; utrata jej—to bankructwo młodości, to dekadentyzm duchowy, który rodzi młodych starców, apatycznych na wszelkie ideały. Ale ty, Młodzieży, wyolbrzymiłaś tę wiarę, do samoubóstwienia! Nie już ludzi starszych, ale Boga sa-

mego kusisz się zdetronizować! Dowód w artykule *Do Dzieła* (№ 2), p. n. „Człowiek we wszechświecie“. W zakończeniu jego czytamy:

„I stanie człowiek z młodzieńczym zapałem, z wiarą w moc i potęgę swego ducha, z wolną od wszelkich przesądów myślą—stanie oko w oko z Przyrodą całą. Wtedy dopiero pozna on, że przed nim nieskończoność, że on sam—niczym w porównaniu z nią.

„—Niczym?... I czarne zwąpienie, zawód, rozczerowanie gorzkie owioną go. Leczyć tylko na mgnienie jedno. Tak, nieczym on materialnie, lecz duchowo—wszystkim!... Jego myśl będzie nieskończoną, bo granic swego rozwoju nie znajdzie; będzie wszechpotężną, bo ogarnie wszechświat cały, bo podbije swej władzy cały ogrom zjawisk kosmicznych; będzie wszechwiedzącą, bo postara się poznać i zbadać wszystko, tym bardziej, że nikt przeszkód stawiać jej nie będzie; jego myśl stanie się dlań... Bogiem (przez B wielkie!), bo okrom tego i kolan przed nikim nie ugnie, bo zależną będzie jedynie od siebie samej!!!!“ (Czytaj: *od swego niedołęstwa*).

I gdzież tu miejsce dla zacofaństwa i przesądności starych, którzy wierzą w Boga indywidualnego i jedyne po za wszechświatem, i przed Bogiem tym uginają kolana? Jedynie dla „nielicznej garstki postępowej“, lewicowej cząstki społeczeństwa wśród starego pokolenia, młodzież postępową czyni wyjątek i do samo-apoteozy ją przypuszcza. Jest to grubo podejrzanym ekskluzywizm: ale o tym—potym.

Mamy więc nową*) religję, religję „Myśli“, zwłaszcza

*) Ubóstwienie myśli ludzkiej, samo w sobie, nie nowe, wyszło już dawno z mody. Znali je już panteiści starożytni; gdy panteiści nowożytni, z Heglem na czele, ujęli je w doskonały systemat monistyczny. Boga osobowego i pozaświatowego—zastępuje: u Hegla—*Ideja*, u Fichtego—*Jedność*, u Schellinga—*Absolut*, u Schopenhauera—*Wola*, u Hartmana—*Nieświadomy*. To wszystko są prawie jednoznaczne produkty czyścącego rozumu, wywiedzione zeń zainicjowaną przez Kanta metodą subiektywną i nie od dziś już zbankrutowane na rzecz kantowskiego fenomenu, którym zajmują się nauki ścisłe.—Nie dziw, że umysł młodzieńczy, nieświadomy tego, co przed nim ludzkość przemyślała, wchodzi na porzucone już dawno manowce myśli, oraz w skrócie przeżywa to, co już

młodzieńczej. Ciekawa rzecz tylko, jak się jej kult rozwinie, jak to człowiek będzie przed *Myślą* własną zginał kolana i modlił się do niej? Albo jakie to ofiary będzie jej składał? Żali starym nie grozi to, co zdaje się przewidywać p. M. Czerminska, że w kulturalnej Europie wskrześnie obyczaj, panujący u niektórych starożytnych plemion arabskich, a polegający na wyprowadzaniu starych za obozowisko i zabijaniu ich, jako do niczego niezdatnych, a jednak potrzebujących opieki młodych? Ofiarowywanie starych bóstwu *Myśli* młodo-postępowej było by zapewne ubrane w piękne obrzędy natury lukullusowo-gastronomicznej, jak to się po dziś dzień dzieje, gdzieś na dalekiej Północy, bodaj wśród eskimosów grenlandzkich, nie pomnę... Bo jakże-by tę sprawę traktować zwyczajnie po chłopsku, zameczając starych powoli, z przesadnej obawy przed odpowiedzialnością kryminalną za uśmiercenie doraźne?! Trzeba by tedy ubrać akt ofiarniczy w formy kulturalne, przeprowadziwszy naturalnie wprzód postępową reformę dotyczącego prawodawstwa... *All right!*

Cóż na to my, *Starzy*?

Wśród nocnej walki na ulicach Troi, Eneasze zebrał gromadkę obrońców, z którą postanowił bronić cytadeli do ostatniego tchu. Wtym spotyka znajomego i na zapytanie swoje, czy zamek jeszcze się trzyma, otrzymuje odpowiedź:

„Przyszłedł czas ostateczny dla Dardańskiej ziemi

I czas niepokonany siłami żadnemi.

Był niegdyś gród Iljon, byliśmy Trojanie.

Kwitnęło z wielką chwałą Teukrów panowanie.

Wszystko przeniósł do Argów srogi Jowisz wreszcie,

Dziś Danajcy panują w podpalonym mieście“).*

Nadejście podobnego czasu dla pokoleń starszych obwieszcza groźne, zda się, surmy bojowe młodzieży, idącej pod wodzą gromowładnego Jowisza-Postępu...

praojcowie poważnie i wyczerpująco przeżyli,—wyobrażając sobie przytym, jakoby nowe światy myśli odkrywała. Co w art. „Człowiek we wszechświecie“ jest *naiwnie* nowego, to pomysł klękania przed abstrakcją taką, jak myśl, w dodatku—myśl własna, młodzieńcza!

*) „Eneida“, księga II. Przekład Jacka Przybylskiego.

Ale my, *Starzy*, ani myślimy kapitulować! My nie mówimy i nie prędko jeszcze powiemy: *fuius Troës!* Nie ustąpimy panowania młodzieńczym Danajcom, póki nam sił żywotnych stanie, póki nie zabezpieczymy Iljonu kultury krajowej, jej dorobku i tradycji, od zamachów ze strony najeźdźczych podpalaczy rewolucyjnych, posługujących się rękoma niedoświadczonej młodzieży! Reformy?—bezwarunkowo, i głębokie! Burzenie od podstaw?—przenigdy!*)

„*Starzy*“ zbankrutowali? Tak, są między nimi bankruci ducha, nawet wśród młodszych szeregów, jak tego taki np. bał szlachecki na Macierz płocką dowiódł smutnie jaskrawie. Ale to są ci przeważnie, którzy są katolikami jeno od święta, od parady, wreszcie—od polityki... Tych też w rachubę nie biorę. Po za temi są ludzie z gorącym ukołchaniem ideału, który im w duszy nakształt słońca świeci; jeno ten ideał jest inny, niżli „postępowy“, choć—w lepszym znaczeniu słowa—

*) Nie mogę oprzeć się pokusie, żeby nie przytoczyć tu na pochwili czytelników, nie czytujących *Płocczanina*, dowodu, jaki tam, na poparcie postulatu postępowego, że „cały stan obecny“ trzeba „odrzuć precz“, czyli zreformować ustrój społeczny radykalnie, na podstawie zapoznanych jakoby i tylko gołych praw natury (zapewne tych, którym stoi na przeszkodzie moralność bodaj naturalna), podnosi p. Prawdzic: *teoria Kopernika zniszczyła doszczętnie system Ptolomeusza!* Nawet redakcja musiała przyczepić tu odsyłacz protestujący, że „żadna z teorii społecznych nie odznacza się taką niewzruszoną pewnością, jak teoria Kopernika“. Chociaż ta sama redakcja, usuwając ten argument p. Prawdzica z pod wątlej budowy jego rozumowań, zabezpiecza tę budowę od zawalenia przyjacielską uwagą, że to tylko „przykład niewłaściwy“. Oho, ale są przykłady inne! Jeno—nie wiadomo: jakie? Sz. redakcja pozostawia tedy w całości postulat autora, że „zupełnie doszczętnie zniszczenie przeszłości“ stanowi—co?—a no—postęp prawdziwy, jak nie przymierzając..., prawdziwi są prawdziwi rosjanie... Należyta odprawę zapędzonemu reformatorowi, ujawniającemu tak niszczycielskie instynkty, dał p. Azet (dr. Al. Zaleski) na łamach *Płocczanina* (który czasami przysiadł się na stołku zachowawczym, byle nie pomalowanym na kolor jezuicko-szlachecki),—co jednak nie przeszkadza p. Prawdzicowi, chowającemu się, jak w ciuciubabce, pod coraz to nowymi pseudonimami, kwilić nad postępem i dziwować się obskurantyzmowi ludzi krytycznych i nie zarażonych sekciarstwem, że *takiego* postępu nie chcą uznać. Żalostny *Obywatelu z Przasnyskiego!*...

postępowy także. Analiza krytyczna wykazuje w nim najczystsze barwy tęczowe, na które rozkłada się w pryzmacie myśli analitycznej Światłość ewangeliczna. Ci—zachowali młodość ducha; o ile zaś byli podstarzeli, to odmłodnieli od wionu nowych czasów i w słońcu wolności odżyli i zawiedli i wypływały w lochu niewoli kwiat idealizmu młodzieńczego.—Żaliby i tę młodość postępowcy opatentowali?

Prawda: wy młodzi, a właściwiej—młodzieńcy, uważani jako pokolenie najświeższe rodzaju ludzkiego, czy narodu polskiego, absolutnie mówiąc, jesteście starszą już od nas ludzkością, innemi słowy: w was ludzkość jest starsza. Ale nie zapominajcie, że tymczasem wszystkie, żyjące obecnie pokolenia, żyją w jednym i tym samym roku 1907-ym! Nie zapominajcie i o tym, że myśmy jeszcze nie zeszli z areny działalności publicznej, a wy, na dobrą sprawę, jeszczeście na nią nie wkroczyli, jeno przez gwałt rwiecie się do niej. Nie zapominajcie i o tym nareszcie, że, luboście w znaczeniu powyższym starsi, jednak, wobec faktu, że żyjemy i my, a żyjemy od was dłużej, jesteście młodszy wiekiem osobistym i, co za tym idzie: inteligencją i doświadczeniem.

— Ba, inteligencją!—powiadacie.—Ta inteligencja starych już zużyta, wyczerpana, niewrażliwa, stetryczała, zaplesniała przesądami i t. d., i t. d.

— Hola, Mości sztubacy! Pomimo najradzykalniejszych reform postępowych, jaje nigdy mędrsze od kury nie będzie! Wołacie mi z Mickiewiczem:

*„Młodości, orla twych lotów potęga
I orle skrzydeł twych wzloty!”*

— Ależ wyście dopiero młodzieńcy! Podlotki! Jesteście jeszcze w pełnej wiosnie życia *) i możecie nam sproduktować za ledwo nowalijki inspektowe wypracowań szkolnych, no,

*) Prawo rzymskie określało pełnoletność wiekiem 25-ciu lat życia. Prawa wyborcze czynne państw parlamentarnych wymagają mniej więcej tego samego wieku, a bierne — jeszcze wyższego. Piszę to ze względu na uczniów, którzy, zacofani w nauce wskutek bojkotu szkoły rządowej, walczyli o prawo do noszenia zarostu i z tryumfem obwieścili zwycięstwo,

i udatnego wierszyka, lub... wymyślania na starych; gdzie zaś wam myśleć o dojrzałych a poważnych płodach umysłu, potrzeby poważnej?!

— Wmówili w was dojrzałość i prawo do równouprawnienia z dorosłymi—nauczyciele poza-szkolni, a może i szkolni? A, to co innego! Z temi rozprawę się niebawem; tylko jeszcze poproszę was, żebyście choć na chwilę odwrócili się wstecz po za siebie (co pewno, niestety, przyjdzie wam uczynić z trudnością, gdyż wam chyba karki posztywiały od wyłączonego zapatrzenia w przyszłość postępową...):

— Widzicie swoich spychaczów? Oto oni, pouczeni przykładem waszym, gotowi jeszcze wcześniej ruszyć do ataku na was, jako już starych i zacofanych w ich oczach, i przelicytować waszą postępowość, odmawiając jej nawet wartości archeologicznej... Cóż, uśmiecha się wam perspektywa tak rychłego losu starych? Nie żal-że wam przedwczesnego zlikwidowania praw i przywilejów młodości? Tak wam pilno zostać staremi?

Jeżeli tak, jeżeli wam pilno zdobyć prawa starych, to jedynie chyba dlatego, że nie myślicie o obowiązkach, które idą w parze z prawami, nie myślicie o pchaniu katorżnej taczki życia! W takim zaś razie ujawniacie lekkomyślność młodzieńczą, a brak powagi, której przyznania i uznania tak usilnie się dobijacie. A jeżelibyście na swoje tłumaczenie powiedzieli mi, żeście widzieli wielu dorosłych, używających życia, to bym wam odpowiedział, żeście skończone burzuje i filistry, używające idei, niby kwiatka w butonjerce, gwoli zaimponowaniu pensjonarkom...

Winien-em czytelnikowi nareszcie uzasadnienie tych przytyków do działaczy zakulisowych względem szkoły, które kilkakrotnie w ciągu tej pracy czyniłem.

Postęp firmowy, to jest ten, który głosi partja pod zmonopolizowaną jego firmą, zmierza ku zniszczeniu całej przeszłości dlatego przedewszystkim, że ta przeszłość jest chrześcijańska i katolicka. Na ten główny cel postępu mało kto z katolików świeckich wierzących zwraca uwagę: wielu, bardzo wielu, nawet zgoła się tego nieświadomi, tak, iż odnoszą

się z niedowierzaniem do oskarżycieli postępu o tendencje, wrogie religii, gotowi uważać oskarżenie to, jako wyraz i dowód fanatyzmu, lub też za podstępne oszczerstwo zachowawcze, obrachowane na tendencyjne zdeskredytowanie samej idei postępu.

Niestety, prawda to rzeczywista i oczywista. Jeżeli dla kogo oczywista nie jest, to jedynie wskutek pozorów, którymi postęp wobec naiwnych robotę swoją osłania.

Owym to jedynie dążeniem postępu da się wytłumaczyć ta jego bezwzględna kampanja przeciw przeszłości, tradycji, przez podawanie jej w pogardę ludzką; już to za pomocą wypychania jej w nienawistne kategorie: obskurantyzmu, zaco-faństwa, klerykalizmu i tym podobnych straszaków na młode lub stare, a mimo tego niedoświadczone wróble katolickie; już to za pomocą wyszydzania konkurencyjnych dążeń postępowych na gruncie katolickim, np. przez charakterystyczne branie w cudzysłowy *) wyrazów, zmonopolizowanych przez postęp, o ile śmie *przywłaszczać* je sobie język katolicki; i t. p. Że przy tej okazji dostają się razy także idei narodowości, to nie tylko dlatego, że pojęcie narodu pokrywało całkowicie pojęcie szlachty; ale jeszcze i dlatego, że katolicyzm przez wieki zespolenia z narodem, duszę jego nawskroś przeniknął i wyrzył swe ślady niezatarte na jego kulturze i tradycji.

Dodajmy, że ten i taki postęp, o ile *charakterystycznie* krzykliwie głosi hasła wielkie, a pozytywne i twórcze, o tyle tajemniczo prowadzi krecią robotę negatywną i burzącą (czego zawsze gotów się wyprzeć publicznie): a będziemy go mieli w plenerze, takim, jakim jest rzeczywiście, obnażonym z uludnych pozorów, którymi okrywa się, zresztą, wobec naiwnych i tylko do czasu. W tym świetle okazuje się on właściwie, jako wsteczność istotna, zmierzająca do nawrotu ku staremu pogaństwu; z tą jeno różnicą, że gdy pogaństwo stare, grube

*) Odplacamy się postępowi, naturalnie, monetą taką samą, co wszakże nie jest jedynie oddawaniem wet za wet, ale przede wszystkim, jest wyrazem przekonania, opartego na dowodach.

i naiwne w formie, posiadało w istocie pierwiastki religijne, to pogaństwo nowożytne, przeciwnie, wysubtelnione idejowo, wręcz owe pierwiastki wyklucza i obnaża kult ciała z naiwnych osłon religijnych. Takie bowiem surogaty religii, jak comtowska religja Ludzkości, jak panteistyczne ubóstwienie przyrody w tej tworze najwyższym, człowieku, w którym ona przychodzi do świadomości — i t. p., nie mogą być brane, jako takie, poważnie. Są to jedynie wielkie aberracje i produkty rozumu, więc: nie systemy religijne, jeno filozoficzne.

Charakterystyczny w wysokim stopniu jest jeden argument, właściwie frazes, którym postęp wojuje. Wspomnij postępowcowi o prawdzie, a wnet zapyta sceptycznie z Piłatem: „Co jest prawda?“ *) Dowódź mu aksjomatu, że prawda może być i jest tylko jedna, a powie ci z tajemniczym uśmiechem mędrca: „Ignorabimus“ Du-Bois Reymond'a. Czemu? — Bo on prawdy boi się instynktownie, on zna tylko przeczenie. Gdy atoli chodzi o jego atuty, takie, jak: nauka, postęp, oświata etc., to znów przeciwnie, będzie ci zaręczał na wszelkie tony i sposoby, że nauka jest tylko jedna, postęp tylko jeden, oświata tylko jedna. Oto frazes, na który zwracam uwagę czytelnika, gdyż wielu się nań łapie.

Tendencja jego jest jasna. Postęp jest jeden, oświata jedna, nauka jedna; a ponieważ ja mam na ten towar *trade-mark*, zatym do mnie chodźcie wy wszyscy, którzyście spragnieni oświaty, nauki, postępu! Do mnie, tylko do mnie! — Albowiem naśladownictwo jest zabronione i ścigane... przez psy gończe kalumnji, szyderstwa, pogardy...

Taktyka, jak widzimy, prosta. O prawdzie nie można powiedzieć, jakoby była dwojaka: tedy nasz postępowiec woli tej sprawy nie zaczepiać, a zaczepiony o nią, zbywać ją sceptycznie. Przeciwnie, gdy chodzi o postęp, oświatę etc., wówczas na te kwestje przenosi argumentację, dowodzącą jedyności prawdy, i wyzyskując poczucie rozumowe człowieka, głosi... wiadomo już co.

Tymczasem istnieje *fakt*, że oświata, postęp, nauka, jak-

*) Mianowicie: prawda transcendentalna, nadzmysłowa.

kolwiek w ideale są jedne i jedyne, jednak w rzeczywistości są dwojakie: zbożne i bezbożne, katolickie i anti-katolickie *).

Analogiczne z powyższym jest operowanie przez postępowość hasłem wolności, we wszystkich dziedzinach życia. Przedstawia się ono jako podstępny zamach na wolność istotną, zamach, polegający na otwieraniu jaknajszerszym pętlicy praw przyrodzonych, ograniczających wolność, aby ją w chwili stosownej ściągnąć i zacisnąć na wyłączną korzyść partyjnego sekciarstwa. Na razie postępowcy atakują wszelkie zastrzeżenia, ograniczające wolność bezwzględna, sugierując naiwnym rzekomą swoją bezinteresowność, nieraz tak skutecznie, że trzeba by ich trzeźwić aż obuchem argumentu: Jeśli wolność bez zastrzeżeń, no, to i dla roboty czarnosotieńców!

To powiedziawszy, przejdźmy do szkoły. Oczywiście polityka (nie, nie postępową, ale) *postępowcowa* **) musi zmierzać przede wszystkim do opanowania prasy i szkoły, jako najdzielniejszych i najskuteczniejszych środków propagandy. Jak wszystko inne, musi ona zburzyć i szkołę wyznaniową, mianowicie katolicką, (hederów się nie tyka, bo to „tabu“ australczyków postępowych!), gdyż ona stoi na drodze do jej celu. Nie mogąc zaś inaczej, oddziaływa na szkołę z dołu, przez uczniów.

Na tym podłożu dopiero zrozumieć można wojnę w szkole polskiej: to wojna o religję! Ten jest zasadniczy jej cel, gdy element polityczny endecki, jak zobaczymy poniżej, odegrywa w niej rolę drugorzędną. Dlatego orzec należy, że p. Kunkłowa myli się, gdy utrzymuje, że „zapał i rozmach młodzieży, to właśnie siła żywotna, to właśnie długo więziona dusza narodu polskiego, co, blakając się, szuka nowego wcielenia, nowych dróg przyszłości“.

Nie! To nie dusza narodu, ale dusza podszytego żydostwem niedowiarstwa międzynarodowego, którego reprezentację główną na Królestwo posiada p. Andrzej Niemojewski,

*) Obszerniej pisałem o tym w „Dialektu o Tolerancji religijnej“. Str. 52—53.

**) Podobnie: od *narodowiec*—*narodowcowy*, inaczej: nacjonalistyczny, a zgola nie *narodowy*.

ze swoją *Myślą Niepodległą* *). Rozmach i zapał narodowy młodzieży—ręka partyjna skierowała na manowce negacji religijnej.

Tu punkt ciężkości, tu jądro ogniska palącej sprawy szkolnej!

W Warszawie, w prasie i na wiecach, sprawę ubezwiecznienia szkoły postawiono jawnie i głośno. Zwłaszcza na wiecach. Patrząc na to rozwieczowanie się Warszawy pod kątem humorystycznym, możnaby by powiedzieć, że dostała ona na tym punkcie bzika. Sprawa wszakże przedstawia się poważnie. To nawet nie plaga, jak sądzą niektóre organa prasy zachowawczej, — nie plaga, którą należałoby stłumić; — tam tkwi coś jeszcze poważniejszego i gorszego.

*) Pan Niemojewski, szef masonerii warszawskiej, stanowi doskonale w swoim rodzaju okaz, na którym studjować by można fanatyzm. Jego *Myśl Niepodległa*—to pole dla doświadczeń w dziedzinie psychozy fanatyzmu. Lepsze jeszcze pole do tego przedstawiają wiece, z powodu większej na nich bezpośredniości wyładowań psychicznych. Wiadomo, że i na tym polu p. Andrzej zasłynął szeroko, lubo nie dość zaszczytnie. Jak dalece fanatyzm znieprawia wolę i oglupia rozum, tego nasz mistrz dowiódł zaraz na pierwszym w Warszawie wiecu matek (tak nazwanym podobno z racji, że uczestniczyły w nim aspirantki do macierzyństwa *niezależnego*). Między innemi, mistrz Andrzej, na dowód nietolerancji przekonań ze strony katolików, oraz niemniej na dowód, że i niedowiar-ków prowadzą wszystkie drogi do Rzymu,—przytoczył fakt ekskomuniki marjawitów. Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie karczmy babińskie?. Czy p. N. ścierpiał by w łonie masonerii członka, który by się nawrócił na katolicyzm? Wypadek zresztą chimeryczny, gdyż taki nawrócony nawet by na ekskomunikę masonską nie czekał, choć mimo tego ona by go ściagała. Rzecz oczywista, że o nietolerancji wówczas tylko można mówić, gdy ktoś komuś wzbrania przemocą wyznawstwa przekonań odmiennych. Kościół wyrzekł się tylko marjawitów, jako tych, którzy z nim pierwsi zerwali. Pan Andrzej chciałby, aby katolicyzm stał się workiem dla wszelkich odpadków: ten katolicyzm, który, jak żadna inna doktryna, strzeże swojej czystości! Właśnie atoli ta czystość drażni tolerancyjne uczucia p. N., tedy opluwa ją tolerancyjnie, aby katolicyzm był podobniejszy do niechlujnych moralnie i logicznie doktryn „niepodległych“. Podobnie, i w tym samym celu, p. N. postępuje i z przedstawicielami katolicyzmu, mając na względzie asymilację ich z wyznawcami *Myśli Niepodległej*.

Oto stara budowla społeczna w ogniu rewolucji! I, jak bywa przy pożarach, jedni biegną gmachowi na ratunek, inni aby się... obłowić... Bezwyznaniowcy wszelkiej broni i zawołania ruszyli doń, żeby, korzystając z zamętu, wynieść z płonącego budynku co tylko się da, dla siebie; albo, żeby wyzyskać pracę ratowników i samym, po ugaszeniu pożaru, w domu społecznym się osiedlić i potem po swojemu go przerobić. Tak, mniemam, należy patrzeć na epidemię wiecową w Warszawie. Dlatego uważam, że nie z naszej strony wypada trąbić do odwrotu z drogi wiecownictwa. Przeciwnie, katolicy powinni ławą na wiece uczęszczać, w celu obrony zagrożonych ideałów katolickich. Zostawić niedowiarków we własnym ich kółku, żeby wywalali drzwi postępu, dla nich już otwarte?—Któż nam jednak zaręczy, że na wiece nie będą biegali ci, co jeszcze mają coś do stracenia, a co dla nich uratować należy? Czyja dziś powaga skłoni ich do zaniechania niebezpiecznej zabawki? Więc wślad za nimi muszą iść ludzie wierzący, poważni i nieustraszeni.

Jeden z najpoważniejszych celów roboty wiecowej bezwyznaniowców—to porwanie w swoje ręce szkolnictwa, przez narzucenie opinii społecznej swoich o nim poglądów.

Niesłuchanie płytkomyślna, a chytra jest argumentacja apostołów szkoły bezwyznaniowej.

Np. p. Iza Moszczeńska, niezmordowana bojowniczką postępu, argumentowała w ten sposób sarkastyczny:

„Moje Panie wierzące, czemu się tak lękacie dla dzieci swoich zetknięcia z osobami innych przekonań? Czyż wy tak mało liczyście na siłę i moc swoich przekonań? Czyliż tym samym nie wyznajecie, że wiara wasza mniej jest silna, a więc i prawdziwa, od naszej niewiary?”

Odpowiedziała na to dobrym argumentem *ad hominem polonum* p. Zofja Wołowska:

„Jeżeli byśmy przyznali słuszność dowodzeniu p. M., to konsekwentnie zmuszeni byśmy byli przyznać rację kierownikowi dotychczasowej szkoły rosyjskiej, gdyby i oni do nas w podobnych przemówili słowach:

„Moi polacy, czyż wy tak mało ufacie sile swojej pol-

skości, mocy wpływów swoich polskich ognisk domowych i swojej rodzicielskiej miłości, że się tak bardzo boicie naszego wpływu antypolskiego? Co wam to szkodzi, że my w swoich szkołach rosyjskich nie rozwijamy polskości w dzieciach waszych; owszem, przytłumiamy ją? Co wam to szkodzi, że w tych szkołach odzieramy przeszłość waszą z wszelkiej aureoli, że ideały wasze depcemy, a na świętości wasze narodowe miotamy obelgi?”

Argument naturalny i trafny. Stawialiśmy wszak opór dążeniom rusyfikacyjnym szkoły rządowej, a mimo tego, czyśmy szkód nie ponieśli? Czy nie skarłał w nas duch narodowy, wskutek braku dopływu soków narodowych? Czy nie pograżył się on w półmroku, wskutek braku możności uświadamiania się narodowego? Czy niewola nie wynaturzyła i nie upodliła go w licznych osobnikach?

Te same, i jeszcze gorsze rezultaty niewątpliwie przyniosłaby i dla katolicyzmu szkoła bezwyznaniowa: i nie dlatego, że wiara nasza sama w sobie słaba i wątpliwa, ale, że ona w samopoczuciu naszym musiała by osłabnąć, jeśli nie zamrzeć.

Przyczyna tego prosta: Zło i fałsz łatwiej do człowieka przylegają, aniżeli dobro i prawda. Mniejsza z tym, że to skutek kłówny upadku pierwotnego: ale to fakt doświadczalny.

Czy teoria lesseferyzmu,—wolnej konkurencji, nie zbankrutowała w dziedzinie ekonomiczno-społecznej? Czy nie pograżyła w niewoli milionów na rzecz garstki potentatów finansowych, wojujących bez skrupułu sprytem gieszefeciarskim?

A w szkole bezwyznaniowej—Wiara nie miała by nawet możności wolnego konkurowania z Niewiarą. Niewiara mówi do Wiary, jak pocziwy Dziadunio do wnuczków:

„Twoje siodło, a mój koń:

Teraz-że się ze mną goń!”

„Moja szabla, a twój kij:

Teraz-że się ze mną bij!”

Powie na to uosobiona w kim bądź Niewiara: Wy, wierzący, chcecie nas, niewierzących, w tych samych warunkach postawić, broniąc wyznaniowości szkoły!

No tak... ale my stanowimy społeczeństwo *en masse* katolickie i mamy prawo do szkoły katolickiej! My jesteśmy *in possessione*: gdy rolę waszą—atakować nas i wypierać z twierdzy. Więc atakujecie, a my bronimy się w swojej twierdzy katolickiej i mamy do tego wszelkie prawo! Chcieliż byście, abyśmy ustąpili wam dobrowolnie, jak głupcy, zdurzeni waszym danajcowym konikiem postępu, w którym kryje się podstęp?

Religia—głosi inny argument wojującego postępu—to rzecz osobista; nie mamy prawa narzucać jej dziecku; niech ono samo wybiera, gdy dorośnie.

Odpowiedział na to — bawiący gościnnie w Warszawie profesor ks. Berthier, że przecież nie każemy dziecku czekać, aż dorośnie, aby mu wyłożyć pierwsze podstawy matematyki, albo też system Kopernika: bo uważamy, że to są fundamenty wiedzy, bez których niepodobna być człowiekiem kulturalnym. Dlaczegoż więc ma być zaniedbane to, co stanowi sam fundament etyczny i duchowy motor życiowy? Czy i matka miałaby się wyrzec przywileju zaszczepienia w duszę dziecka pierwszych zasad religii? (Według sprawozdania *Dziennika Powszechnego*).

Dodajmy do tego, że zasadą ogólną i prawem, powszechnie obowiązującym, jest: dawać dziecku to, co społeczeństwo uznaje samo dla siebie za dobre i prawdziwe, za co walczyło i cierpiało. Gdy dziecko dorośnie, wtedy dopiero może krytykować i zmieniać to, co otrzymało w puściźnie. Gdyby wreszcie nie otrzymało było nic, na jakiej-że podstawie mogło by wybierać, sądzić, odrzucać?

Otóż społeczeństwo katolickie chce i ma prawo dawać dzieciom wiarę katolicką, oraz naukę, z wiarą tą zgodną.

Wszakże sami bezwyznaniowcy o prawo w zasadzie to samo walczą, chcąc narzucić młodzieży niewiarę pod pozorem neutralności wyznaniowej. Niestety, są oni w mizernej mniejszości! Tym też tłumaczy się ten wrzask jerychoński, którym ta mniejszość terroryzuje większość, usiłując narzucić jej swoje postulaty. Tym tłumaczą się i te wybiegi sofistyczne, które mniejszość próbuje praw swoich do rządzenia większo-

ścią dowieść. Zastąpił niedawno w prasie naszej jeden taki sofizmat, ukuty przez Al. Świętochowskiego, streszczający się w twierdzeniu, że rząd nad umysłami, konsekwentnie i nad życiem, powinien by należeć do główaczów, na których patent posiada, *naturalnie*, Dem. postępową. Mistrz—dialektyk nie spostrzegł, że stanął w jaskrawej sprzeczności z pedecim benjaminkiem w postaci wytartego, jak trojak, cztero-przymiotnikowego głosowania... Oto jeden z niezliczonych figłów chochlika, grasującego w głowach wolnomyślnych!

Płytkim wybiegiem w sprawie walki o szkołę nie pogardził i dr. Zygmunt Kramsztyk. Na jednym z wieców wychowawczych równouprawnił on przesadne, krępujące do zbyt-ku swobodę dzieci, macierzyńskie: „nie wolno ci tego, nie wolno tamtego“,—żali uwierzysz, czytelniku?—z Dekalogiem, który podobnie, za wyjątkiem dwóch przykazań (3-ego i 4-tego) głosi swoje nakazy w formie negatywnej. „Równie zabójczą—twierdzi mówca wiecowy—jest religja, która wszystko (!) sprowadza do przykazań: *Nie będziesz miał... Nie będziesz brał*—nie rób tego, nie rób tamtego...“ Ideałem zaś wychowawczym jest właśnie rozbudzenie silnej woli, zwalczającej wszelkie przeszkody, stojące na drodze do dopięcia wielkich celów. (Według sprawozd. *Dziennika Powsz.*).

Nie mówiąc już o grubym i ordynarnym fałszu, zawartym w teorii p. Kramsztyka, jakoby moralność religijna polegała wyłącznie na zakazach, które zresztą muszą towarzyszyć wszelkim nakazom etycznym, jako ich strona odwrotna; nie mówiąc o tym, że wszelka etyka musi mieć jakieś nakazy, więc i zakazy; nie mówiąc, wreszcie, i o tym, że i etyka mojżeszowa uznaje Dekalog, że, owszem, etyka chrześcijańska od tamtej go przyjęła, przyczem go wysubtelniła i uduchowiała: nie mówiąc o tym wszystkim, na jedno zwracamy uwagę: pan doktor Kramsztyk wskrzesza nienawistną postępowcom zasadę „jezuicką“ o uświęcaniu celu przez środki! W dążeniu do wielkich celów pozwala on zwalczać takie przeszkody, jak: Nie kradnij, Nie zabijaj!

Panie doktorze! Pan hazardujesz się, pan igrasz z ogniem, pan stawiasz na kartę mienie i życie swoich spółwyznawców!

Bo nuż, jak to bywa, wiatr zmieni się i płomienie pożaru, który pańska idea wzniecić może, skieruje w stronę przeciwną tej, w którą pan dmuchasz?

Jakże by było pożądane, aby takich panów doktorów wyznania mojżeszowego interpelowano w oczy na wiecach: „Quid tibi, Judaeae, cum Verre?“ *) Co panowie macie wspólnego z Kościołem? Jedyne atawistyczną ku niemu nienawiść, maskowaną najszczytniejszymi hasłami! W zastosowaniu do t. zw. *Speckjuden* interpelacja ta nie tylko nie traci na wartości, ale, przeciwnie, zyskuje.

Podobnie, jak wiecie, urządzone przez postępowców, także i prasa postępowcowa warszawska gra już w otwarte karty. Ona to daje przytułek odezwom rozwydrzonej młodzieży szkolnej, ona akcję jej wszelkimi siłami popiera, owszem, nadaje jej kierunek, do boju podnieca i zagrzewa. Te i owe organa liczą się wszakże dotąd, do pewnego stopnia, z klientelą, niezwarzowaną jeszcze na punkcie przewartościowywania wartości dotychczasowych.

Taka np. *Ludzkość* potrafiła, obok protestu Polskiego Związku Naucz. przeciwko wciąganiu młodzieży do agitacji partyjnej politycznej, pomieścić następujący protest uczniowski:

„Sz. P. Red.! Jako uczeń postępowiec, wyrażam gorący protest przeciwko unieważnieniu głosów w VII-ym okręgu, danych na pp. Świętochowskiego i Krzywickiego. Wzywam kolegów do spełnienia tego obywatelskiego obowiązku i przyłączenia się do mego protestu.

Z szacunkiem

Marceli Poznański“.

Zapewne, protest nauczycielski można uważać, jako „nadesłany“, więc — pomieścić go, nie biorąc na siebie odpowiedzialności za niego; owszem, przez umieszczenie, otoczyć się w oczach czytelników aureolą bezstronności. Nie można tego samego powiedzieć o proteście uczniowskim. Wszak prawo kosza przysługuje redakcyjom w zakresie bardzo szerokim. Redakcja *Ludzkości* wołała jednak zaryzykować własną powagę, aniżeli z prawa tego w danym wypadku skorzystać, choć się

*) Ciceron. Ukryta gra słów; *Verres* — nazwisko; *verres* — wieprz.

tego pierwszy odruch rozsądku domagał. A gdybyśmy tak zbadali tajemnice kosza redakcyjnego tej gazety, niewątpliwie znaleźli byśmy w nim dowody znacznie mniejszej tolerancji w sprawach może ważniejszych, ale redakcji niesympatycznych...

Jako pewien kontrast wobec protestu p. Marcelego, warto tu przytoczyć list młodzieńca, ogłoszony przez p. Stefana Gorskiego w *Sztandarze* (№ 10-ty). Rzuca on wprost łunę na stosunki szkolne.

„Chcę — pisze młodzieniec — z Rodzicami listownie porozmawiać i prosić o wiele rzeczy, a mianowicie o to, że mnie tu w szkole jest bardzo niedobrze... a to dla tego, że ja się tu uczę zgorzelenia, robię się bezreligijnym, robię się prawdziwym wrogiem ojczyzny, a to przez złe towarzystwo kolegów szkolnych.

„Rodzice zapewne pomyślą, że niech się nie zadaje z takimi, którzy prowadzą do złego, lecz to jest trudno ominąć tych prowadzących do zguby młode dusze i czy nie mam racji?

„Więc ja bym chciał, póki czas, wyciągnąć nogi z błota, w które mi się coraz głębiej zapadają, i wyjechać zupełnie. Przecież mnie Mateczka uczyła o wierze katolickiej, wpajała we mnie wszystkie zasady wiary chrześcijańskiej i przykazywała o Bogu pamiętać, a tu mnie uczą koledzy, że Boga niema, że to herezja, więc później, słysząc te zasady przez wszystkich mi powtarzane, wpada się w tę bezbożność i przestaje mówić pacierz, chodzić do kościoła, a poczyną oddawać się lekkomyślności i z tego wynikają różne, bardzo smutne następstwa.

„Tymczasem ja nie chcę być bez wiary, nie chcę być bandytą, ani złodziejem, tylko pragnę być porządnym polakiem, więc jeszcze raz Mateczkę i Tatusia proszę, jeżeli nie chcecie mojej zguby, odbierzcie mnie stąd, a wtedy wpojone mi zasady przez Matkę i Ojca wrócą mi nazad.“

Pisał to uczeń klasy *drugiej*!

W tym liście słyszy się krzyk rozpaczony tonącego; słyszy się głos duszy szczerej, który z głębi jej wspomnień czystych wydiera się protestem przeciw zalewającemu ją błotom moralnemu; wyczuwa się w nim ostatni wysiłek duszy, broniącej swojej wiary i niewinności; widzi się w nim instyn-

ktowne, poparte przedwczesnym doświadczeniem odczucie wielkiej prawdy o związku nierozzerwalnym wiary z moralnością; widzi się stwierdzenie jej ze strony negatywnej, że upadek wiary pociąga za sobą upadek moralny. Ten okrzyk duszy młodocianej wstrząsa do głębi sumieniem społecznym i dobywa zeń odzew: Ratujmy młodzież! Przekleństwo postępowi takiemu, który prowadzi młodzież naszą na cuchnące bagniska, wabiąc ją błędnymi ognikami oświaty zdradziecko! Precz z *takim* postępem, precz z jego krzewicielami! To zamaskowani wrogowie społeczeństwa! To mątwy, które wypuszczają z siebie i otaczają się *postępową**) farbą drukarską, żeby nie dojrzano knowanej przez nie zdrady! To polip *złowrogi*, który mackami swemi obejmuje młodzież Narodu i wsysa w siebie jej siły żywotne, siły duszy i ciała! Przekleństwo *takiej* robocie postępowej! Przekleństwo i hańba po stokroć! Niechaj przekleństwo to, jak piorun, rozegrzmi po całym niebie polskim i stanie się sygnałem do walki społeczeństwa ze zdradzieckim ruchem, który się pod miano postępu podszywa!

Powie kto: Przesada! Drugoklasista, oskarżający postępowość szkolną o prowadzenie młodzieży do bandytyzmu i zwłaszcza do ordynarnie brzmiącego złodziejstwa, nie może być brany poważnie...

Posłuchajmy tedy, jak przedziwnie zgodnie ze zdaniem drugoklasisty brzmią słowa bezwyznaniowego, ale nie bezbożnego, b. ministra oświaty, Juliusza Simona: Szkoła bez Boga—woła on z oburzeniem—wydała nam łotrów i złoczyńców! Tak rzekł bezwyznaniowiec o szkolnictwie bezwyznaniowym we Francji...

W ten sam sens wyraża się w swojej „Chowannie“ Trentowski: „Bez religii wychowasz dobrze zwierzę, ale nie człowieka“.

A Rousseau, twórca fantazyjnego „Emila“, skazanego przez Wysoką Radę gienewską na spalenie przez kata, wyznał: „Nie pojmuję, jak można być cnotliwym bez religii. Trzyma-

*) Powiadacie, pp. postępowcy, że farba drukarska nie może być postępową ani wsteczniczą? Figura ratoryczna, panowie!

łem się długo tej opinii zwodniczej, alem ją, jako błędną, porzucił“.

Tymczasem... tymczasem są u nas naiwni hołdownicy postępowości bezwyznaniowej, którzy w zaślepieniu swym lekomyślnym nie widzą celu, do którego postępowość ta zmierza. W dobrej wierze godzą oni w swych umysłach postulaty chrześcijańskie z postulatami bezwyznaniowemi i nawet w obrobie tych ostatnich na tamte się powołują. Krom p. Ig. Grabowskiego, także i p. Miller, nauczyciel jednej ze szkół żeńskich prywatnych w Płocku, do takich hołdowników zdaje się należeć. Ogłosił on w *Przeglądzie Społecznym* (№ 1 z r. b.) „List otwarty do p. J. Szczepańskiego“, dyrektora gimnazjum Macierzy płockiej, w którym to *Liście* stawia tego ostatniego „pod pręgierz opinii nauczycieli postępowych oraz opinii publicznej“, z powodu wydalenia, notabene tylko na czas... świąt, trzech ostatnich klas za domaganie się zniesienia przymusu religijnego. O to jednak mniejsza. Chodzi o dalsze wywody p. Millera, które, zgodnie z modą, postawimy pod pręgierz, bardzo zresztą niewinny:—pod pręgierz logiki.

P. Miller utrzymuje, że uczniowie nie domagają się zniesienia nauki religii, ale tylko obowiązkowego spełniania praktyk religijnych, opierając to żądanie na „kardynalnej zasadzie etyki chrześcijańskiej, głoszącej, że stosunek religijny do Boga jest sprawą osobistą sumienia jednostki“. Pan dyrektor, który tego uznać nie chce, jest pedagogiem „tołstojowskiego typu“, traktującym religję, jako środek dyscyplinarny, więc obniżającym pojęcie tejże, rozumianej, jako miłość; jest despotą względem pedagogów i uczniów, a—uniżonym służką kamarylli klerykalnej“. Pan M. przytym wie i wyznaje, że p. Szczepański w postępowaniu swoim opiera się na żądaniu: społeczeństwa, biskupa (jako reprezentanta Kościoła), oraz § 1-ego ustawy gimnazjum płockiego. Nic to atoli, w postępowo-inkwizytorskich oczach p. M., p. dyrektorowi nie pomaga. Nie pomaga mu także jego pogląd na postęp uczniowski, ogłoszony w *Ludzkości*: „Niewłaściwym jest klasyfikowanie uczniów na postępowców i inne kategorie, w znaczeniu tych terminów, używanym w stosunkach społeczno-politycznych. W stosun-

kach pedagogicznych mogą istnieć uczniowie postępowcy, chyba w znaczeniu czyniących dobre *postępy w naukach*, lub wstecznicy, w znaczeniu cofających się wstecz w swym wykształceniu, z powodu niedbalstwa i lenistwa. Innego rozróżnienia my, pedagodzy, do uczniów nie stosujemy". Pan M. skazał nieodwołalnie p. Szczepańskiego na postawienie pod pręgierz opinii publicznej i, nie czekając potwierdzenia z jej strony swego wyroku, karę wykonywa...*)

Istna wieża Babel kłócących się pojęć: chrześcijańskich i postępowcowych. Aż lęk ogarnia, żeby one nie rozsadziły głowy, w której się mieszczą. Spróbujmy niebezpieczeństwo to usunąć.

Sz. autor wyobraził sobie, najniesłuszniej, jakoby nagłym obowiązkiem jego było—w imię chrystjanizmu stanąć w obronie tegoż przeciwko klerykalnej kamarylli, t. j.—przeciwko Kościołowi. Co sądzić należy o upiorze przymusu religijnego, tośmy już wyluszczyli, przyczym okazało się, że to halucynacja postępowcowa, sugiestjonowana słabym umysłem naiwnych. Pan M. dał ją sobie narzucić i, zahipnotyzowa-

*) Pan Miller napadł z pasją na p. Szczepańskiego i w „Nowych Torach“, organie Pol. Zw. Naucz. (w zeszycie marcowym). Roi się tam od fałszów, nieścisłości, przekręceń, przesadań, opuszczeń tendencyjnych i t. p. Powyżej zacytowane słowa dyrektora, p. M. przekręca tu w taki niedoleżny sposób: „Postępowcami uczniami są ci, co się uczą, a zacofańcami ci, co nie pracują. Postęp wasz, to podstęp!“ W innym zdaniu tegoż: „Dziecko należy do Boga, a zostało powierzone rodzicom, aby je przeprowadzili przez życie ku pożytkowi ludzkości i zbawieniu duszy swojej i jego“,—p. M. opuszcza słowa: *ku pożytkowi ludzkości*. *Notabene*, zdanie to wzięte jest z *Encyklopedji Wychow.*, z artykułu H. Okszy p. n. „Miłość, jako czynnik wychowawczy“ (tom VII, zesz. V, str. 375).—Podniosłe i liberalnie, ale w duchu chrześcijańskim, zredagowane „Zasady Karności i Porządku dla uczniów gimnaz. pol. w Płocku“,—p. M. zowie urągliwie „sławetnym paszportem“. To, co p. M. mówi na dowód panującego jakoby w gimnazjum polskim płockim—antisemityzmu, jest wierutną bajką, wysłaną z palca; podobnie, jak i fakty rzekome innych kategorii.—Wręcz zabawnie wygląda gołosłowne oskarżenie p. Szczepańskiego, tym razem w *Płocczaninie* (№ 10), o „uleganie presji duchowieństwa“,—jak gdyby człowiek poważny nie mógł być katolikiem samodzielnym z przekonania.

ny przez hasła postępowe, wyobraża sobie, jakoby to był produkt nauki chrześcijańskiej, gdy to jest wytwór jego własnych pojęć o chrystjanizmie. Przypadek, podobny do tego, któremu uległ p. Grab. ze swoim grzechem przeciwko Duchowi Świętemu.

Stosunek człowieka do Boga—to, jakoby według etyki chrześcijańskiej, sprawa osobista jednostki *wyłącznie*. Znamy ten frazes, zmierzający do usunięcia religji z życia społecznego, oraz izolowania jej od wpływu na wszelkie tego życia sprawy, aby z czasem i z sumień ludzkich szezeła.

Gotów on, ten frazes, uczynić z duszy ludzkiej nawet sanktuarjum, które powinno być przed okiem publicznym zamknięte hermetycznie, aby go ono, broń Boże, nie sprofanowało. Ilu więc ludzi religijnych, tyle mielibyśmy chodzących sanktuarjów, któreby wzajemnie się przed sobą zamykały, niby mimoza, no, i... wstydały się, jakby czegoś, co wymaga ukrycia...

Inni, jak widzieliśmy, wyprowadzają z tego frazesu wniosek o zupełnym usunięciu religji z programu szkolnego (wślad za tym, i z życia publicznego)—i są przynajmniej konsekwentni, lubo wychodzą z założenia, absolutnie fałszywego. Pan M., podnosząc z uznaniem okoliczność, że uczniowie nie chcą usunięcia religji, jako nauki, a tylko—skasowania przymusu, no, i wpływów na szkołę kamarylli, jest stanowczo niekonsekwentny. Postępowcy rzetelni uzasadniają swój postulat usunięcia religji, między innemi, argumentem, że duch szkoły powinien być jednolity, jednokierunkowy, ażeby ustrzedz umysły młodzieży od męki notorycznych jakoby antynomji pomiędzy nauką a wiarą. Tego samego, jeno w sensie wręcz odwrotnym, domaga się od szkoły i Kościół, czyli, tak zwana łaskawie przez p. M. kamarylla klerykalna. Pan M., natomiast, godzi się na zadawanie uczniom tej męczarni, godzi się na zwalczanie się wzajemne w jednych i tych samych murach szkolnych nauki i wiary, godzi się na dokonywanie tych eksperymentów na umysłach niewytrawnej młodzieży. Pan M. nie zdaje sobie zgoła sprawy, że bierze bezwiedny udział w walce na śmierć i życie pomiędzy postępem zbożnym a bezbożnym!

I, efekt osobliwy: p. M., który nienawidzi całym sercem Endecji, staje na dwustólkowym stanowisku jej własnym! Wiadomo bowiem, lubo nie wszystkim, że Endecja *programowa*, w niedostępnych dla masy swoich stronników i sympatyków, gabinetach i nawet kuluarach, z jednej strony kokietuje postępców, a z drugiej—klerykałów. Tamtym usiłuje ona dogadzać, byle nie uchodzić w ich oczach za wsteczników, lubo bez powodzenia; tym kadzi, do czasu, bo widzi w nich siłę. Można by do niej zastosować orzeczenie starych rzymian: „Senatores boni viri, Senatus autem mala bestia”. Nieszczerść swego stanowiska względem Kościoła zdradza Narodówka czasami w swojej prasie partyjnej: już to pod wpływem podrażnienia, jak to zdarzyło się z powodu upadku powtórnej kandydatury poselskiej Nakoniecznego, co przypisano agitacji księży; już to pod wpływem wzbierającego pychę poczucia siły.

Dotykam żrenicy oka Narodu—Macierzy. Jest to tajemnicą wróbli na dachach, że Macierz zostaje pod egidą Endecji. Otóż, jako taka, jest ona podejrzana poważnie o nieszczerść katolicką, *przynajmniej w swoim programie, oraz swoich tendencjach*, choć faktycznie jeszcze niedość wyraźnie.

Znany jest nacjonalizm, czyli egoizm narodowy Endecji. Egoizm ten wyklucza z natury rzeczy ingierencję wszelkich potęg i żywiołów zewnętrznych z po za narodu: czy to politycznych, czy to ogólnoludzkich, do których należy i katolicyzm.

Wobec narodowców, nawet religijnych, wprost niebezpiecznie jest postawić zasadę, że na pierwszym planie stoi miłość Boga, więc religja, na wtórym zaś—miłość Ojczyzny. Ojczyzna—to ich bożyszcze, ich fetysz. Powiadają, że każdy polak rodzi się polakiem, a dopiero potem zostaje chrześcijaninem. Biorąc rzecz pod kątem czasu, tak się to na pozór przedstawia; lubo w istocie jest to i pod kątem czasu nonsens wierutny, skoro każdy człowiek rodzi się tylko gołym człowiekiem i żadnej barwy narodowej z sobą na świat nie przynosi. Najlepszym dowodem: janczarowie, albo tacy np. *von Podbielscy, von Posadovsky e tutti quanti*. Ważniejsza rzecz: względ idejowy. Oczywiście, idea religijna, nieograniczona

szrankami plemiennymi, jest szersza i ważniejsza od idei narodowości. Skąd wniosek również oczywisty, że religja musi być na planie pierwszym, jak i wszelkie inne idee ogólnoludzkie. Co, zresztą, nie tylko idei narodowości nie podkopuje ani nie osłabia, lecz, przeciwnie, gruntuje ją na podstawie niewzruszonej i wzmacnia: ile, że w idei religijnej, mianowicie chrześcijańskiej, mieści się idea narodowości. Przeciwno temu prostemu i jasnemu przedstawieniu sprawy, narodowcy mają argument: w miejsce Boga, religji,—podstawiają Rzym, z akcentem nienawiści ku niemu.* Na to odpowiadamy: Wprawdzie Rzym—to serce i mózg Kościoła,—a Kościół—to organ Boży na ziemi; wszakże i tak rozumianego Rzymu, my, katolicy, nie ubóstwiamy, jak narodowcy—naród. Nawet postępcy, gdy chodzi o Rzym, chowają na chwilę swoje ideały internacjonalne do kieszeni jednej, a z drugiej wyjmują patryjotyzm i przeciwstawiają do Rzymowi, śpiewając bałwochwalezo (*w Płoczzaninie*):

„Ojczyzna—Matką naszą i Bogiem!”

Pytam atoli: Czy polak, włos, francuz etc. - nie są *ludźmi*? Czy narody: polski, włoski, francuski etc, nie stanowią różnobarwnych części składowych jednej i tej samej Ludzkości? Skoro tak, to podkładem i tłem narodowości każdej jest ludzkość, więc—idealów narodowych—ideały powszechno ludzkie: najszczytniejszym zaś oraz idealnie harmonijnym wyrazem

*) Określenie Papieża, jako „władcy cudzoziemskiego”, mającego rzekomo interesy egoistyczne państwowe na równi z istotnymi władcami świeckimi,—określenie to, którym obecnie wojują radykałowie francuscy, jako argumentem na rzecz rozdziału Kościoła od państwa,—to dla niezadowolonych wrogów katolicyzmu oczywista fikcja. Skonfiskowane przez rząd francuski papiery nuncjusza Montagnini'ego sam Watykan zamierza ogłosić, nie bacząc, że to pociągnie za sobą kompromitację—nie tegoż wobec rządu, ale katolików—*monarchistów*, jako nieposłusznych Watykańowi, nawołującemu do pogodzenia się z republiką. Nasi rodzimi antyklerykałowie, oczywiście, przemycają skwapliwie na nasz grunt pojęcie o „Papieżu, jako „władcy cudzoziemskim”. Pan Mutermilch pośpieszył nawet z przekładem polskim zacieklej broszury wytwornego Anatola France'a, p. t. „Kościół i Rzeczpospolita”. Broszura, o ile starannie wydana, o tyle lichy, ciężko przetłumaczona.

jednych i drugich jest Chrystjanizm. Pojęcie człowieka w jego ideale, pokrywa się przez pojęcie chrześcijanina. Wobec wybijania uczuć nacjonalistycznych, można uważać wprost jako karę leczniczą—propagandę międzynarodówki czerwonej, wykluczającej ideały narodowe. Są to dwie skrajności partyjne, które nauka chrześcijańska godzi precudnie-

Narodowa Demokracja tego wszystkiego nie uznaje. Ona pogodziła by się z Kościołem, ale—narodowym, ujętym ściśle w ramy i dopasowanym wyłącznie do celów i wymagań narodowych. Rada by, słowem, stworzyć stan Kościoła taki, jaki przedstawia Cerkiew prawosławna, t. j., żeby Kościół stał się narzędziem posłusznym polityki, nie narodowej, ale—narodowej. Że dążnością naszej Narodówki jest wycisnąć tę pieczęć nacjonalistyczną i na owładniętym przez nią szkolnictwie, to rzecz naturalna.

Z drugiej strony, o ile leaderowie Narodówki, jako nacjonalisci, są wsteczni i ciasni, o tyle pod względem religijnym—i oni chcą za postępowców uchodzić. Wierzyć po katolicku—to byłoby już zbyt kompromitujące zacofaństwo... Godząc zaś owe tendencje nacjonalistyczne z postępowcami na gruncie szkolnym, dają oni Kościołowi prawo do nauczania religii, ale odsuwają go od wpływu na kierunek szkoły. To ostatnie, zresztą, prócz względów postępowcowych, dyktują im i względy nacjonalistyczne, którym tenże Kościół stoi na zawadzie.

Że Macierz aspiruje do postępowości, której ofiarą pada zawsze i przede wszystkim katolicyzm, tego dowodzi projekt programu szkolnego, w zakresie elementarnym, opracowany dla Macierzy przez p. Brzezińskiego.*)

*) Projekt ten wyłącza także księdza z rady pedagogicznej.—Już podczas składania tej pracy mojej do druku, wyczytałem w tej sprawie dobry artykuł p. Stef. Godlewskiego, p. t. „Na pochyłości” (*Słowo*, № 84). Autor stwierdza również niebezpieczeństwo moralne, mogące wypłynąć dla ludu z programu p. Brz., i wyraża nadzieję, że go Macierz nie przyjmie i cofnie się z pochyłości. Między innemi autor pisze: „...już samo wyodrębnienie moralności od religii w programie szkolnym zrodzić może w umyśle dziecka przypuszczenie, że są to dwie rzeczy, od siebie cał-

Moralność traktowana tam jest niezależnie od wiary i powierzona nauczycielowi świeckiemu. Naturalnie, ani mowy niema tam o miłości Boga, tej enocie źródłowej, z której wszystkie miłości ziemskie wypływają, biorąc z niej moc i siłę: natomiast mówi się tam z rozezuleniem o przywiązaniu do... zwierząt.

Oczywiście, i przeciw tej enocie protestować nie myślimy; protestujemy raczej przeciwko twierdzeniu modnego dziś u nas autora, dra Antoniego Mengerę*), w jego „Nowej Nauce o Moralności”, jakoby: „tylko jedna jedyna w świecie religja włączała także i zwierzęta do sfery moralnej ochrony, a mianowicie—buddyzm” (str. 30). Katechizm chrześcijański pojmuję zakaz „Nie zabijaj” tak szeroko, że obejmuje nim i ochronę zwierząt, bodaj w ideale—nawet nietykalność ich od kuli myśliwego i noża rzeźnika. Jeżeli zaś buddyzm prześcignął pod tym względem naukę chrześcijańską, to, wiadomo (o czym jednak dr. Menger i podobni mu europejscy zwolennicy buddyzmu zdają się nie wiedzieć), jest to wynik doktryny dogmatycznej buddyjskiej o metempsychozie. Przesada etyczna buddyzmu na korzyść zwierząt pociąga jednak za sobą uszczer-

kiem niezależne, że można się uczyć moralności bez religii i obejść się bez wiary w Boga. Cóż dopiero mówić o samym wykonaniu owego programu? Z jednej strony ksiądz, wskazujący źródło moralności w Bogu i Jego przykazaniach, z drugiej—nauczyciel, uczący moralności abstrakcyjnej, od nakazów boskich całkiem niezależnej. Za którą z tych nauk pójdzie ciemne, płocze i pełne złych skłonności dziecko? Oczywiście za tą, która mu przedstawi mniej nakazów bezwzględnych, mniej odpowiedzialności, a więcej swobody w ocenianiu własnych czynów, częstszą bezkarnosć dla postępów złych i dla zaniedbań przy spełnianiu obowiązków*. Gwoli dokładniejszemu wyjaśnieniu stosunku religii do moralności, dodajmy, eo na-tępnie. Właściwym zadaniem religii jest dać moralności niewzruszoną i jedynie możliwą podstawę. Obowiązki człowieka względem Boga stanowią istotną część składową etyki. Rozciąga się ona wprawdzie dalej, niż religijność, czyli religja czynna, gdyż obejmuje nadto obowiązki względem stworzeń; atoli może je ona nakazywać skutecznie tylko w imieniu Boga. Religijność—to tylko jedna część moralności, jest ona wszakże tej wagi, co serce w organizmie żywym.

*) Zmarły niedawno profesor uniwersytetu wiedeńskiego, znany socjalista państwowiec, autor „Nowej Nauki o Państwie”.

bek miłości międzyludzkiej, jak to się dzieje i w chrześcijańskiej Europie wśród mizantropów i... starych panien.

Otóż zachodzi obawa, czy p. Brzeziński nie ma się ku podobnemu do buddyjskiego „postępowi“, żeby choć na punkcie przywiązania do zwierząt zdystansować chrystjanizm, na koszt „zacofanej“, bo starej jak świat, miłości Boga nade wszystko?! Moralność niezależna, zaszczerpiona wśród ludu, uwieńczyłaby rozpoczęte od góry dzieło postępu!

Cóż dopiero mówić o szkolnictwie wyższym, o t. zw. kursach wyższych i uniwersytetach różnego rodzaju? Tam już o religii ani mowy! Niechaj oświata religijna pozostanie jakby karłem wobec olbrzyma oświaty w rzeczach ludzkich, aby ten olbrzym tym łatwiej karła pobił na głowę...

Dość więc jasnym, zdaje się, jest, że Endecja, o ile daleka jest politycznie i społecznie od Pedecji, a jeszcze bardziej od—Esdecji,—to bliska jest „postępowości“ w ogóle na gruncie religijnym. Walkę o Macierz pomiędzy endekami a pedekami—humorystyka mogła by zilustrować w obrazku, przedstawiającym dwa psy, z których jeden ujada na drugiego, trzymającego kość w zębach... Dobro absolutne narodu całego jest w tej walce utożsamione i konsekwentnie podporządkowane dobru stronnictw. Dobro absolutne narodu wymaga przede wszystkim religijności, którą atoli stronnictwa, w mniejszym lub większym zakresie, składają w ofierze Molochowi swojej zachłannej polityki partyjnej. Żeby choć ładajako umotywować wobec opinii społeczeństwa swoje ataki na Kościół, obiedwie partje zasypują jej oczy piaskiem „klerykalizmu“: tym tylko różnią się one między sobą, że gdy lewica piasku tego nie żałuje, to prawica używa go z dyplomatycznym wyrachowaniem. Gdy jednak chodzi o walkę z ruchem katolickim, wówczas Postępowka z Narodówką umieją podawać sobie ręce*).

*) Dowód na to mam pod ręką w num. 11-tym *Płoczezanina*, w art. „Pierwsze kroki Demokracji Chrz. w Płocku“. Autor, przemawiając ze stanowiska pedeckiego (z zabarwieniem socjal-demokr.), lamentuje nad konkurencją, którą Dem. Chrz. czyni Dem. Narodowej. Woli on już robotę tej ostatniej, aniżeli tamtej; gdy bowiem Narodówka „patryjotyzuje

Dochodzimy do wniosku, że p. Miller niechcący znalazł się na dwustolkowym stanowisku endeckim. Ba, nawet i na stanowisku naczelnika zarządu głównego więziennego w państwie rosyjskim!... Autor, widzę, czyni wielkie oczy: postaramy się, żeby mu one wnet wróciły do normy.

Z powodu doniesień dziennikarskich, jakoby ministerjum spraw wewnętrznych rozpatrywało projekt naczelnika głównego zarządu więzień o karaniu więźniów za urządzenie głodówek, Tel. Ag. Pet. wyjaśniła, że zarząd główny więzień dawno już był przyszedł do przekonania, że jedzenie lub niejedzenie—to sprawa osobista więźnia.

Z punktu widzenia biurokratycznego—stanowisko słuszne: co bowiem biurokrację obchodzić może, czy więzień cierpi męki głodu, czy nie? Dobrowolni głodomorzy więzienni apelują głodemieniem się do uczucia ludzkiego w społeczeństwie, żeby opinia jego wywarła presję na biurokrację. Ale—*prestige* powagi biurokratycznej nie cierpi ingierencji opinii społecznej i nie może, dla jej istotnie pięknych w swym oburzeniu szlachetnym oczu, kapitulować wobec nędznych „kramolników“ więziennych.

masy jednostronnym szowinizmem“, to Dem. Chrz. „fanatyzuje te masy, garnąc je pod dyktando Rzymu“.

Można by przez pomyłkę pomyśleć, że Postępowka nie jest kosmopolityczna, nie czerpie dyktando i wzorów z zagranicy i nie podporządkowuje interesów narodowych interesom partji. No tak; ale oparta na wskazówkach Rzymu Dem. Chrz. wtrąca myśl do „bagna“, gdy Dem. Postępowka prowadzi ją do... Ziemi Obiecanej. Szkoda tylko, że ta niegdys „mlekiem i miodem płynąca“ kraina wyjałowiała, wskutek czego rozwinął się na niej bandytyzm... Autor jednak pociesza się: „Inne organizacje wcale nie ucierpią od obecności związku konserwatywnego, który częściej będzie nosił chorągwie podczas procesji, niż... pomoc biednym robotnikom kolegom“. Nawet grozi: „W czytelnikach olbrzymi ruch... W księgarniach popyt na rzeczy społeczne się zwiększa“. Czemu tedy było czynić tak srogi alarm i rzucać w Piusa X butelkami szlacheckiego szampana i łódzkim lokautem? (Sic!)—A to naigrawanie się z wiecowników z powodu braku w nich kultury, także i z księży, którzy ich poskramiali: jakież to nieetyczne i płytkie! Autor poczytuje za złe wiecownikom nawet ich szacunek dla „domu Bożego“ (cudzyślowy jego własne), w którym się wiec odbywał: jakież to znów charakterystyczne!—Oj, ci chorążowie od postępowego frazesu! *Vox, vox, practerea nihil!*

Inaczej postępuje matka. Głodówka—to wynalazek, na który zdobywają się instynktownie i dzieci. Czuja one, że sprawią sercu matczynemu żal, gdy odmówią przyjmowania pokarmów. I nie zawodzą się. Zagniewana przedtym matka łatwo daje się ulagodzić głodówką. Gdy nie jest zbyt słaba, w ostateczności zbureczy za nią dziecko, które jednak odczuje w gniewie matczynym troskę o swoje dobro.

Sz. autorze! Pan podobnie, jak ów naczelnik głównego zarządu więzień, utrzymujesz, że sprawa stosunku religijnego do Boga, to sprawa osobista sumienia. Pan pozostawiasz *nawet dzieciom* swobodę urządzania głodówek religijnych i, jakby jaki... Biedonoscew, na domiar złego, powołujesz się na miłość chrześcijańską!

Otóż kamarylla klerykalna lepiej, niż pan, swoje obowiązki matki duchownej pojmuje. Ona gotowa bodaj walczyć z uporem dzieci swoich, gdy one chcą głodzić swoje dusze. Ona, ta Matka, Kościół święty, nie może patrzeć obojętnie, jak dzieci jej odmawiają przyjmowania strawy religijnej, pod pozorem swobody sumienia. I ona, ta Matka, nie ustąpi, chyba dopiero, gdy ją przemoc brutalna ze szkoły i w ogóle z życia publicznego wyrzuci! To jej święte prawo i to zarazem jej święty obowiązek, z którego kiedyś, według swej wiary żywej, zda rachunek przed Sędzią Najwyższym—Chrystusem!

Jest wszakże coś słusznego w twierdzeniu p. M. o charakterze osobistym sumienia jednostki, z powołaniem się na etykę chrześcijańską. Autorowi zamajaczyło w głowie mętne wspomnienie*) o tym, że tajemnice sumienia są osobistą sprawą każdego człowieka i nikt, prócz powiernika w imieniu Boga, nie ma prawa do nich. Ależ, na miły Bóg!—religia—to nie grzech, nie przedmiot, kwalifikujący się do wstydlwego ukrywania! Religia—to, jużci, sprawa osobista jednostki każdej, ale nie tylko jej samej, lecz i całej ich gromady, powiązanej węzłami wspólności interesów, zwanej społeczeństwem. Społeczeństwo, składające się z jednostek religijnych, zorganizowane

*) Co warte wspomnienia szkolne religijne p. M., świadczą wynalazione przez niego treny *Izajaszowe!* (*Płocczanin* № 12).

zowane jako takie i, jako takie religijne, zwane Kościołem, musi mieć prerogatywy, umożliwiające mu życie społeczne, które znowu musi przejawiać się na zewnątrz, jawnie, publicznie: nie tylko w kościele, ale i poza jego murami, w całym życiu społecznym. Uznawać wyłącznie charakter osobisty sumienia pod względem religijnym—to znaczy wpędzać życie religijne do katakumb, z prawem swobody rządzenia się w podziemiach, ale bez prawa pokazywania się na powierzchni. To zaś równa się spoganieniu życia publicznego, co właśnie jest celem postępu bezwyznaniowego.

Gromada społeczna, złożona z ludzi religijnych, przynajmniej w większości olbrzymiej, ma prawo zabiegać o to, ażeby składające ją jednostki były religijne, zwłaszcza, gdy chodzi o pokolenie, w którym się ona odradza i na którym ciągłość swojej zabezpiecza. Kierunek tych zabiegów należy z natury rzeczy do zwierzchności, którą pan M. zbyt lekkomyślnie kamaryllą klerykalną nazywa. Kto wie, może i celowo, żeby znany manewrem prestidigitatorów osłonić przed opinią istnienie kamarylli postępowcowej... Za naszą atoli kamaryllą stoi Chrystus, a za waszą—kto?! Przegnici sekciarstwem partyjnym, wy, postępowcy, niezdolni jesteście wyobrazić sobie, aby ktobądź mógł wznieść się ponad cele partyjne. Niezdolniście przedewszystkiem uwierzyć w boską misję Kościoła i w jego w nią wiarę. Tym gorzej dla was! Wasza niewiara nie zniszczy faktu tej misji i tej wiary. Tym sroższe będzie dla was nieoczekiwane a nieuniknione wasze „Galilae vicisti!“ Jakże mi was żal,—źle bawiące się dzieci!

Religia—to dusza społeczeństwa. Zabij ją—a ciało społeczne ulegnie wnet rozkładowi anarchicznemu i stanie się łupem czerwia bandytyzmu pod wszelką postacią. Dni, które obecnie przeżywamy, dają na to dowody obfite, a ponure swą grozą. Patrzymy zaś tylko na skutki zabicia tej duszy w pewnej dopiero części społeczeństwa.

I dlatego *My*, Naród katolicki, żądamy szkoły katolickiej, z gwarancją praw mniejszości wyznaniowych. A szkoła katolicka nie jest ta, w której wykłada się religję katolicką, jeno w której prócz tego duch katolicki panuje: tak samo, jak

trafnie zauważył ks. Namiotko (Przegl. Kat. № 10), nie jest polską szkołą rządową, z racji, że w niej są lekcje języka polskiego.

Dlatego również *My*, Kościół katolicki, zgodnie z myślą przewodnią hymnu robotników chrześcijańskich, usiłujemy wnieść Boga we wszystkie sprawy ziemskie, co właśnie jest *Nam* poczytane, jako zakusy klerykalne. Radzi jednak z pola walki na gruncie spraw ziemskich ustąpimy, zostawiając je świeckim, skoro tylko pierwiastek boski ujrzymy w nich zabezpieczony...

...Jak widzimy już z rozprawy z p. Millerem, — o ile Warszawa postawiła sprawę szkoły otwarcie, na ostrzu noża, to prowincja błąka się jeszcze w labiryncie haseł i pojęć. Widzimy, że postęp prowincjonalny kryje się jeszcze wstydliwie za parawaniki, ubrane wzorzystą frazeologią. W uznaniu, że prowincja nie jest jeszcze dość przygotowana do przyjęcia „najnowszych wyników wiedzy,” postęp ten chwytą się danajcowych fortelów, aby one wyniki do umysłów zacofanych przemycić. Zdemaskować obłudnych Danajców postępu — to cel uwag dalszych.

Wszak cała wojna szkolna w gimnazjum plockim wybuchła o tak zwany przymus religijny, o którym już była mowa. Na to samo wskazuje i charakter moralny kwestji spornych między zwierzchnością szkolną a grupą młodzieży „postępowej”, — ile, że sprawy moralności stanowią nierozdzielny w dogmatem czynnik składowy religji. Przyznał to na jednym z wieców etycznych w Warszawie — nawet p. Leo Belmont (pseudonim p. Leopolda Blumenthala), utalentowany wolnomyslec. Na rzeczony charakter owych kwestji, rzuca światło wspomniany już fakt postawienia Radzie pedagogicznej przez delegatów uczniów — postulatu mieszkań kawalerskich. (W gimnazjum plockim; choć przypuszczać można, że nie w nim jednym wyjątkowo).

Jaskrawsze bez porównania światło na etykę postępową w szkole rzuca skandal, ujawniony w pewnym mieście na prowincji. Fama głosiła historie nieprawdopodobne o wręcz gorszących gromadnych rewizjach higienicznych, praktykowanych przez lekarzy w dwóch szkołach żeńskich. Z jednej z tych

szkół zaprzeczono tym wieściom w organie miejscowym. Mimo tego fama powtarza uporczywie swoje, że jednak coś nieładnego było. W drugiej ze szkół, niższej, zostającej pod egidą Macierzy, działy się rzeczy, jeszcze gorsze, ku zgorszeniu nieletnich dziewczątek, a oburzeniu ich matek. Higjena, do spółki z dzisiejszym prądem uświadamiania naukowego młodzieży w sprawie ciągłości rodzaju ludzkiego, — posłużyła za pozór ku osłonie tendencji, conajmniej dwuznacznych. Była też w tej szkole wojenka o obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, wówczas, gdy *inne* obrazki pokazywano i objaśniano dzieciom. W następstwie tych walk, niektóre matki odebrały swe córki ze szkoły polskiej, a oddały je do rządowej!

Mam przykre wrażenie, jak gdybym zbrudził broszurę rewelacją niniejszą, pomimo nadania jej formy, możliwie dyskretnej. Chciałbym ją z niej wymazać, ale wzgląd na dobro publiczne milczeć mi nie pozwala. Do podania faktów powyższych zostałem upoważniony przez osobę wiarogodną, mogącą dowieść prawdziwości ich przez świadków, — z czego też korzystam w imię moralności, oraz ku przestrodze społeczeństwa, tym skwapliwiej, że działacze postępowi puścili w ruch całą partyjną maszynę językową ku zaprzeczeniu faktów, z weale dobrym skutkiem. Poczciwi ludzie śmieją się z tych, co wierzą rzekomym baśniom plotkarskim. Istotnie, rzecz nie do uwierzenia, a jednak prawdziwa...

Ileż to już razy i w jak wielkich nawet sprawach posługiwano się z tej strony tą samą metodą, już to w celu rozpowszechnienia oszczerczej baśni o katolikach, już to w celu zatuszowania skandalu własnego! Szczególnie Jezuici dużo o tym powiedzieć mogą z dawnych swych dziejów, kiedy ich zakartaczowano gradem paszkwilów. A najpoczciwsi i najwykształceńsi katolicy dawali temu wiarę. Wszak to znana recepta wolterjańska, obowiązująca klątwie wrogów Kościoła: „Ca'omniez, calomniez, il en restera toujours quelque chose!”

Panowie postępowcy, którzy z takim upodobaniem moralizują nas, katolików, — hołdownicy naturalizmu, powinni by za stanowić się nad słowami Juwenalisa, poganina:

„Niechaj nigdy, ani czyn, ani słowo nieprzystojne, nie

razi oczu i uszu dziecka... Dziecko, o bogowie! czyż można dość szanować jego niewinność?" (Satyra V).

Ale prawda! Wszak postęp dzisiejszy niedarmo dzieli od czasów Juwenala przestrzeń dziewiętnastu wieków bez mała. Przytym, ponieważ satyryk rzymski żył w drugiej połowie pierwszego wieku ery chrześcijańskiej, mogła nań wpłynąć zacofana etyka chrześcijańska. Kto wie? Podsuwam wam, panowie postępowcy, argument ku waszej obronie. Nikt go nie będzie sprawdzał... I jeszcze drugi: śnać sami uznaliście sprawkę, jako brzydką etycznie, skoroście postarali się o jej zaprzeczenie. A może... może tylkoście się cofnęli dyplomatycznie, jak lis od zbyt wysoko wiszących winogron, w uznaniu, że grunt opinii społecznej nie dość pod wasz posiew etyczny przygotowany? Balon próbny skrewił, tedy cofnięto go do kuźni etyki niezależnej...*)

Więcej interesująco, a mniej drastycznie przedstawia się polityka *postępowcowa* w sprawie samodzielności oraz „własnych poglądów“ młodzieży. Warto przyjrzeć się jej bliżej,

*) W num. 15-ym „Sztandaru“, w korespondencji p. Miszewskiej z Sobowa (pow. lipnoski, gub. plocka), znalazłem znamienne potwierdzenie oskarżeń, omówionych powyżej. Sz. korespondentka pisze: „W dodatku istnieje pensja żeńska, stojąca na tym samym poziomie, co i tamta szkoła (t. j. gimnazjum Macierzy). Dość przytoczyć słowa, które pewna 14-letnia panienka pisała do swego brata: *O tym, co się tu dzieje, wstydziła bym się braciśzkowi donieść*“. Z przypiska redakcji do tego listu dowiadujemy się nadto, że ów list drugoklasisty, ogłoszony przez p. Gorskiego w *Sztandarze*, a tu powtórzony, *pochodził z Plocka* (podkr. red.). Redakcja dodaje: „O tym autorka listu nie wiedziała, nie wiedzieli i czytelnicy. Gdy zestawimy słowa tego listu z listem powyższym (pani M.), ujrzymy obraz, na którego widok ściska się serce“.—Wobec tych rewelacji niema już po co kryć pod korcem faktu, że owym miastem prowincjonalnym, w którym zajaśniały tak osobiście najnowsze wyniki praktyczne wiedzy postępowej, jest Płock; a owym organem, który pomieścił zaprzeczenie skandalicznych faktów, jest *Płoccczanin*.—O, safandulska opinio hreczkosiejów, której imponują togi pseudo-naukowe, bez względu na to, kogo one okrywają i co... ukrywają!... Której zdaje się, że gdy wierzy „powagom“, sama w powadze ich uczestniczy! Która uznaje powagę za jedyne kryterjum, a prawdę, jakoby plotkę, pozostawia gawiedzi!

aby ją zdemaskować. (W wynurzeniach p. Grabowskiego, o których już była mowa, *polityki* nie było).

Oczywiście, nasi postępowcy obstają gorąco za oną samodzielnością i własnością. Naprzód p. *Obywatel* kraju z *Przasnyskiego* rodem. To, co p. Kunkłowa potraktowała humorystycznie, *Obywatel* nasz twierdzi całkiem serjo.

Autorka pisała z werwą: „Przypuśćmy zatym, że ktoś, trafiając w myśl owych 46 ciu (podpisanych na wiadomej odezwie uczniów), daje taką mniej więcej odpowiedź: Tak jest! panowie macie zupełną słusność, dyrektor nie ma prawa krytykować uczni. Wszak nawet ojcom waszym, tym starym wstecznikom (endekom), nie wolno wtrącać nosa do waszego życia, a taki dyrektor będzie wam prawil morały?! To beczelne i oburzające!

„Młodzieniec ów bardzo słusznie odmówił mu tego prawa; i tak był jeszcze dość grzeczny, gdyż, korzystając z „czystości motywów“, mógł być mu równie dobrze dać w łeb kałamarzem. To już przestarzałe pojęcie, żeby dyrektor był kierownikiem, opiekunem i doradcą młodzieży, żeby nie tylko dbał o umysł, ale czuwał nad charakterem i czystością obyczajów—taki dyrektor, to ideał postępowych,—wy zaś, o młodzi! jesteście już nad postępowi... Dla was dyrektor powinien być wykonawcą waszej woli, a Rada pedagogiczna służyć ku spełnieniu postanowień waszych wieców...“ I t. d.

Pan *Obywatel* tymczasem utrzymuje z wszelką pewnością siebie, że: prawo dyrektora do rozkazywania jest „problematyczne“; że oburzenie starszych na list otwarty młodzieży świadczy o „zaniku zmysłu pedagogicznego“; że rodzice z powodu tego listu powinni byli zażądać tłumaczenia od dyrektora i Rady pedagogicznej; że, w końcu, dyrektor ośmiela się „drwić z postępu“.

Mamy tu więc, jak się patrzy, produkcję akrobaty, chodzącego na rękach. Co sędzę o oburzeniu, tom już był na początku broszury napisał. O ile oburzenie było bezwzględne, *Obywatel* ma nieco słusności, mówiąc o zaniku zmysłu pedagogicznego. O ile jednak oburzenie jego na oburzenie jest tak samo bezwzględne, o tyle sz. *Obywatel* przesadził

w gorliwości polechtania miłości własnej uczniów, co chyba raczej za dowód zmysłu agitatorskiego może być wzięte. Dalej, ponieważ odezwa młodzieży do społeczeństwa *całego* pominięła rodziców (jakkolwiek i na to pominięcie jest pewne tłumaczenie), oraz obraziła zwierzeznika, przeto moralnym nonsensem byłoby, gdyby rodzice, sami obrażeni, obrażonego dyrektora przed swój sąd pozywali. Było by to wszak uświęceniem krewkiego czynu młodzieży i stanowiło by wielce niebezpieczny prejudykat na przyszłość. Czyn ten można wybaczyć, ale nie można go aprobować; raczej go schować pod korcem, aniżeli stawiać na świeczniku. Ale, i chować go pod korcem nie można...

Co do „drwin z postępu”—to zgoła nieporozumienie, które wyjaśnia się tym, cośmy wyżej na temat „jedyności” postępu powiedzieli. Pan dyrektor mówił o *pewnego gatunku* postępie, no, i nawet z *takiego* nie drwił, jeno świętą prawdę o nim powiedział. Gra słów, samych w sobie poważnych, to jeszcze nie drwiny. Radzi byśmy byli, gdyby postępowcy takimi tylko „drwinami” nas częstowali.

Oryginalnie też p. *Obywatel* dowodzi prawa uczniów do wolności słowa. Dowodzenie jego przypomina ową p. Prawdzica z Kopernikiem przygodę dialektyczną. Uczniowie mają prawo do wolności słowa, i to bezwzględnej, ponieważ.. ponieważ „dzisiejsza prowincja polska nie uznaje wolności słowa”, gdyż „zatraciła kontakt z tradycjami naszej wolności“;*) i ponieważ... „prowincja i stolica kraju rozumie prawo wolności słowa z wielkimi zastrzeżeniami“.**) Cóż stąd za wniosek? O, niedomyślny czytelniku, a tajemniczy zamek otwiera się tak prosto! No, ponieważ starzy nie umieją z wolności słowa korzystać, *ergo*: gimnaziści powinni ich tego nauczyć!

*) Ależ wszak tradycja ma być zburzona od podstaw!... Aha, rozumiemy! Postępowcy chcą wskrzesić złotą wolność dla siebie.

**) Wolność bez zastrzeżeń—dla postępowców, więc trzeba, żebyśmy *tolerowali* ich własną względem nas *nietolerancję*. Wtedy dopiero stanimy u szczytu wolności, gdy mniejszość postępowcowa weźmie za łeb większość zachowawczą i wzbroni jej nawet prawa protestu...

Nie wierzysz, czytelniku szanowny? Tedy, proszę, posłuchaj p. *Obywatela z Przasnyskiego*:

„Słowo wolne druzgoce stare gmachy, grożące upadkiem; zapala nowe stosy myśli, budzi wieki z uspienia, wyprowadza nowe prawdy, uwięzione w lochach obskurantyzmu... Pochód jego jest witany przez młodzież, jak pochód boga—Apolina w obłokach Różano-palcej, sypiącej róże... Wyciągają się ręce po kwiaty... bo tych kwiatów nie oglądano w suterenach... starego ładu“.

Powinszować p. *Obywatelowi z Przasnyskiego* tak misternego owinięcia w bawełnę frazesów—myśli, której lękał się zbyt otwarcie wypowiedzieć, by snąć ostrym fałszywym tonem logicznym nie obraził uszu „dzisiejszej prowincji polskiej, nieuznającej wolności słowa“... Niech żyje wolność słowa dla każdego głupstwa! Z zastrzeżeniem—powiedzmy już po ciachu,—żeby było pięknie wypowiedziane, w myśl słów Kraszewskiego: „Mów im słowami ogromnemi i szumnemi, a odór, którego doznają, wezmą za działanie gienjusz“...

Teraz przeciwstawię p. Kunklową p. Millerowi.

Autorka pisze: „Z pozoru—jest to walka o wolność sumienia, wolność przekonań i postępowania; w rzeczywistości zaś młodzi szermierze nie wytworzyli sobie jeszcze własnych przekonań, własnych zasad postępowania, własnej etyki i własnej religii, o które to wartości chcą tak dzielnie walczyć.“

„Młodzież owa z *wieku i urzędu* należy obecnie do tych, co zdobywają i gromadzą dopiero materiał, z którego ma powstać ich przyszły człowiek wewnętrzny. Żyjąc zaś w chwili, kiedy naokół rozlegają się hasła, przystrajają się niemi i w dobrej wierze uważa je za własny wytwór“.

Pan Miller interpeluje p. K.: „Skąd p. K. wie, że młodzież nie jest szczerą w walce o wolność sumienia, że nie ma już własnej religii i etyki?“

Naprzód, p. K. nie zarzuciła młodzieży nieszczerości; stwierdza ona tylko fakt, że młodzież ludzi się pozorami własności przekonań, jak ten ptaszek, co to w pióra cudze się przybrał i sromotnie oskubany z nich został. Powtóre: druga część interpelacji, zawierająca przypuszczenie możliwości wy-

tworzenia własnej etyki i religii przez gimnazistów—kwalifikuje się do... *Zygzaków*.

Pan M. pyta dalej: „Zresztą, co to jest *własna* religia i etyka?” I odpowiada: „Gdybym był księdzem katolickim, spytałbym: czy ma prawo nawet człowiek dorosły mieć inną etykę, niż ta, którą zaleca sobór Trydencki? Pytanie pani trąci herezją!”

Jestem ksiądz katolicki, a takiej odpowiedzi bym nie dał! Naprzód, pierwsze słyszę o etyce trydenckiej (!) Potwóre, w języku teologicznym wyraz *herezja* oznacza wyłącznie błąd przeciwko nauce dogmatycznej, nie zaś etycznej. Po trzecie, i ze stanowiska katolickiego można śmiało mówić o religii *własnej*, w znaczeniu subiektywnym, iż się ją sobie przyswoiło. W tym znaczeniu oświadczam, iż moją własną religią jest katolicka, gdyż wytworzyłem w sobie do niej przekonanie. Jeżeli zaś chodzi o wysnucie religii z własnej jaźni, religii nowej, to kwestja wręcz chimeryczna. Konfucjusze, Buddowie, Machomeci, Lutrowie, a choć by i Comte'owie—rodzą się na kamieniu. A i oni nie wysnuli swoich systemów religijnych z jaźni własnej, gdyż, jak wszyscy ludzie, przyszli na świat z jaźnią próżną, uzbrojoną jeno we władzę umysłową do czerpania materiału myślowego z przyrody i tradycji, pośrednio z książek, który mogli dopiero przerabiać indywidualnie. Słynna jest formuła filozoficzna Arystotelesa: „Nihil est in intellectu, quod non fuerit prius in sensu”, z dodatkiem, zresztą pleonastycznym, Leibniza: „nisi intellectus ipse”:—*Nic niema w umyśle, co by nie było wprzód w zmyśle, prócz samego umysłu*.

Ze stanowiska katolickiego można i to również powiedzieć, że człowiek ma prawo wyznawać religję inną, niż katolicka. Prawo to, zresztą, względne, uwarunkowane dobrą wiarą. Słynne jest orzeczenie nawróconego z anglikanizmu kardynała Manninga, iż dobra wiara w błędzie jego rodaków koi jego troskę o ich zbawienie. Sam Kościół katolicki chce mieć wyznawców, wierzących szczerze i z przekonania, nie z przymusu lub interesu. Jest to stanowisko etyczne, w rozumieniu powszechno-ludzkim.

Widzę tu wizję p. Millera: płonące stosy inkwizycyjne, ponurą salę torturową madryckiej *Santa Madre* (Święta Matka), muzea tortur... Drogi panie! Zbyt łatwy tryumf nad średniowieczem z wyżyny wieku dwudziestego! My, katolicy, także żyjemy w wieku XX-tym i także dyzaprobowujemy barbarzyńską surowość średniowieczną. I, że dziś stosy nam nie grożą, w tym, zaprawdę, leży część zasługi Kościoła. Czy, gdyby Kościół średniowieczny składał się z dzisiejszych panów Millerów, zdołałby on od jednego zamachu okiełznać barbarzyństwo wchodzących na jego łono ludów? No, a Kościół polski zna jeden tylko stos heretycki: stos Łaszczyńskiego, osądzony i ze stanowiska katolickiego, nie tylko jako zbyt surowy, ale i jako problematycznie zasłużony.

Przypomina mi się tu frazes *Obywatela z Przasnyskiego* o „wyprowadzaniu przez wolne słowo nowych prawd, uwięzionych w lochach obskurantyzmu”. Choć szwankuje on nieco pod względem logicznym (osobliwy-ż obskurantyzm, który posiada nowe prawdy i więzi je zazdrośnie!), jednak myśl jego widoczna. Autor chciał wyrazić rzecz bardzo mądrą, gdyż odwiecznie w pewnych kołach modną, że obskurantyzm, naturalnie ten straszny katolicki, nie hederowy, jako wróg wolnego słowa, wzbrania mu czynić odkryć naukowych.

Jak widzimy, myśl, analogiczna z myślą p. Millera o zaprzeczaniu przez Kościół człowiekowi prawa do wyboru religii.

Moji panowie łaskawi! Czy Kościół przeszkadza wam głosić wasze nowe prawdy, czy stare głupstwa? Piszecie na ciepłym papierze, co się wam żywnie podoba, a jednocześnie skarżycie się na nietolerancję katolicką, na pętanie przez Kościół wolnego słowa! Jeśli zaś wam chodzi o katolików wierzących, jeśli wam tak ich żal, iż jęczą uwięzieni w lochach obskurantyzmu dogmatycznego, to troska wasza zgola zbyt cenna. My także moglibyśmy wyzwolić się z tych lochów na wolność, ale nam w nich dobrze. Świeci nam w nich cudownie piękne światło dogmatów, dla was niewidzialne. Nie sądzicie-ż po sobie! My nie zazdrościmy wam waszej swobody błakania się po kniejach i manowcach liberalizmu, żeby od czasu do czasu upolować—bardzo liberalnie dziką i drapieżną

zwierzyńę, przeznaczoną wspaniałomyślnie *na* katolików. Na szczęście, mamy moc poskramiania jej...

Zresztą, czy i wy, panowie, nie macie swoich dogmatów postępowych? Spróbujcie co napisać przeciw swojemu postępowi, lub swoim sprzymierzeńcom! Spróbujcie urządzić secesję, schizmę, w swoim obozie! Wiemy, jak Pedecja traktuje zdradziecką Polską Partję Postępową! Postęp bezwyznaniowy, tam, gdzie dojdzie do władzy, potrafi uderzać i po kieszeni. Dowodów na to dostarczają w obfitości stosunki wojskowe i urzędnicze we Francji. A jeśli dogmaty wasze, panowie, nie są strzeżone tak pilnie, jak nasze, to dowód, że gorsze, bo mniejszą snąc do nich wartość przywiązujecie. Chlubicie się swobodą odrzucania „prawd nowych“, gdy one zbankrutują? W takim razie, jakim prawem urządzaliście w ich imię naganki, ogłaszając je za prawdy nieomyłne? Widzicie, panowie, my wszyscy, katolicy i niekatolicy, jesteśmy ludzie i wszyscy błdzić możemy i błdzimy. Ale my, katolicy, mamy tę wyższość nad niewierzącymi po katolicku, że jesteśmy bez porównania mniej na błędzenie liberalne narażeni. Mamy trwałe i zwycięskie dogmaty, gdy dogmaty inne tyle już razy ogłaszały bankructwa, które likwidował Kościół*). Lepszą

*) Jeżeli my jesteśmy niewolnikami dogmatu katolickiego, to wyście niewolnikami przeczenia; jeżeli wasza myśl jest niezależna w stosunku do Kościoła, to nasza jest niezależna w stosunku do was. W tej dziedzinie *my* jesteśmy wolnomyślni! Bywamy nieraz i lekkomyślni, na podobieństwo wasze, i tej lekkomyślności opinia katolicka nieraz pobbża, że to niby na korzyść katolicyzmu się obraca. Przeciw temu jednak są u nas i protesty, liczne i silne. Osobiście też niejednokrotnie z protestem takim występowałem. Tej uczciwości względem przeciwnika zbyt mało spotykamy wśród patentowanych wolno- czy lekkomyślców, co tłumaczy tym, że gdy oni chcą w imię nauki za wszelką cenę zwalczyć wiarę, to my, broniąc wiary, naukę w zasadzie szanujemy i zwalczamy w niej tylko to, co się nam wydaje owocem tendencyjności niedowiarczej.—Na dowód bezstronności nie zaprzeczę i tego, że u nas nieraz więcej popłaca *robienie* gorliwe we Wierze, bez względu na pobudki podejrzane, aniżeli słuźenie jej idejowe, bezinteresowne, ale niezależne i opozycyjne w sprawach spornych. I gdy tam wyrozumiałość na błędy dochodzi do granic ostatecznych, to tu błąd najmniejszy bywa do ostateczności egzagerowany i nawet upatrywany tam, gdzie go zgola niema.

ma on świadomość samego siebie, aniżeli panowie sądzicie, i lepiej, aniżeli wy, wie, co sam o sobie ma trzymać. Ba, lepiej zna on was samych, aniżeli wy sami siebie! Przenika was na wskroś! Patrząc na was z wyżyny Wiary, osądza on was ze św. Pawłem: „Znikczemnieli w myślach swoich i zamknięte jest bezrozumne serce ich: albowiem, powiadając się być mądrymi, głupiejącymi się stali“.

Z dotychczasowego zestawienia krytycznego słów pani Kunklowej ze słowami p. Millera widać, że autorka, choć nie teolog, pisząc w prostocie ducha szczerze, co jej dyktowało poczucie prawdy, lepiej w prawdę utrafiła, aniżeli autor, który pisał, wiedziony złośliwą chętką dokuczenia katolicyzmowi, no, i autorce*), choć, o ile wiem, nie katolickiej chrześcijance.

Zobaczmy teraz, jak p. M. załatwia się z drugą, przytoczoną powyżej, częścią twierdzenia p. Kunklowej. Autorka stwierdza zasadę, że młodzież szkolna „zdobywa i gromadzi dopiero materiał“ do przyszłego tworzenia zeń własnych poglądów i przekonań, zatym, jak tuż dalej mówi:—„nie może nie tworzyć, nie budować, jeno korzystać ze zgromadzonych

A no, ludzie jesteśmy! Przychodzi jednak nieraz ochota zawołać pod adresem zastawiających Kościołem swoje opinie osobiste gorliwów: My *ai* ludzie jesteśmy, wyście *tylko* ludzie!—Każdą reakcję ultra-zachowawczą na gruncie katolickim, z towarzyszącym jej ciasnym ekskluzywizmem, zawsze zawdzięczamy furjackim szturmom postępowym. Postępowcy wszystkich czasów wylewali i wylewają nad reakcyjnością katolików *ty* krokodylowe. Pewien redaktor czasopisma literacko-naukowego, w którym przez lat kilka prowadziłem dział religijny, zmierzając do ograniczenia w nim mojej swobody, pisał do mnie: „Wyznam szczerze, że sam wolę ten pocziwy, nie wchodzący w żadne kompromisy z nauką i postępek katolicyzm—od wszelkich inowacji w tej dziedzinie“. Redaktor ten znany jest, jako zdeklarowany bezwyznaniowiec. Jednocześnie z powodu tegoż współpracownictwa—strona zachowawcza katolicka odsądzała mnie od wiary i nie oszczędziła mi najboleśniejszych razów. Zwalczałem obskurantyzm katolików,—powiedziano, że zwalczałem katolicyzm!

*) Pan Miller żartuje z poglądów p. Kunklowej, charakteryzując je, jako „echo z czasów pieśni o Filonie“. Pan M. wywołuje wilka z lasu... odpowiadając na żart żartem podobnym, można by bardzo łatwo znaleźć powinowactwo poglądów postępowych p. M. z kupletami operetkowemi. Wszak owe kuplety są także bardzo liberalne i postępowe...

materiałów". Autor chwyta p. K. za słówko i zapytuje z tryumfem: „A czyż owo *korzystanie* nie jest już twórczością? Czyż wybór lub odrzucanie pewnych materiałów—nie świadczy o krytycyzmie, jako darze przyrodzonym?" I kończy mimowoli humorystycznie: „W ogóle list p. K. robi na mnie wrażenie takie, że albo p. K. nie ma (...) dzieci, albo nie obserwowała w dziecku tworzenia się jego jaźni“.

Stąd, choć by kto i nie znał stosunków prywatnych p. Millera, można z wszelką pewnością wywnioskować, że on dzieci ma i tworzenie się ich jaźni obserwował... Bardzo to pięknie: któż nam atoli zaręczy nieomyślność wyników obserwacji pedagogiczno-ojcowskiej sz. autora? Bo, że autor jest swego pewny, to może wystarczyć dla niego samego. Żeby zaś zdobyło moc, zniewalającą innych ojców i matki, trzeba, żeby krytyka wartość jego odkryć pedagogicznych stwierdziła i do praktykowania zaleciła. Pokuśmy się o to, choć by na tej zasadzie, że się było samemu niegdyś dzieckiem, no, i posiada się obecnie władzę poznawczą, silniejszą już pono od dziecięcej... W tym wypadku te dane najzupełniej wystarczą, skoro chodzi o zasadnicze prawa psychiczne, rządzące na ogół wszystkimi dziećmi od początku świata...

Otóż mogę bez cienia zarozumiałości powiedzieć sam o sobie ze św. Pawłem, który, wiadomo, był gienjuszem: „Gdy był dziecięciem, mówiłem jako dziecko, rozumiałem jako dziecko, myślałem jako dziecko“. Dalej nie śmiem już za tymże Apostołem powtórzyć: „Lecz gdy się stał mężem, wyniszczyłem, co było dziecinne!“ Nie śmiem, bo, chociaż bym nie wiedział, kto był św. Paweł, chociaż bym nie zdawał sobie sprawy z jego wielkości, jako człowieka,—czuję, jaka od tych słów jego bije moc, energia, powaga! Już z tych tylko słów odczuwam mocarza ducha i schylam kornie czoło przed majestatem wielkości tego Męża, który „wyniszczył“ w sobie, „co było dziecinne“—doszczętnie. Męża, w pełni tego słowa. I, obok podziwu, doświadczam na jego widok uderzenia bodźca, żebym choć w części mu dorównał...

On i jako Szawel może być przedmiotem podziwu dla swoich naśladowców, wobec niego dziecinnych mizeraków! On nie

kwilił dziecięco melancholijnie, jak p. Miller, przemawiający do młodzieży: „Należy pamiętać, iż ta część społeczeństwa, która by się odezwała na wasze bóle, ma straszną pieczęć na ustach i śmiało wypowiedzieć wszystkiego nie może“. Mówiąc mimochodem, kwilenie to trafnie oceniła p. Kunkłowa: „aljanicy młodzieży nie dochowali jej wiary: w chwili, gdy zagrzana do boju, zatrąbiła do ataku, daremnie oczekiwała pomocy i zachęty, pozostała samotna i opuszczona, bo sprzymierzeńcy mają „straszną pieczęć milczenia na ustach“, czyli, mówiąc po prostu, zrejterowali“.*) Czemu nie było dosiąść rumaka, jak

*) Już po napisaniu tego, wyczytałem w *Płoczzaninie* (№ 10) duplikę p. Millera, a w niej wyjaśnienie zagadkowej „strasznej pieczęci milczenia“. Wyjaśnienie to potwierdza w zupełności oskarżenie aljantów młodzieży o rejteradę. Straszną pieczęć na ustach mają ci,—których serce rwie się do swoich, do czynu, atoli otacza ich wilgoć sklepienia, lub wicher tajgi. Gdyby oni tu byli—woła p. M. z gięstem tragicznym,—odezwali by się na żale młodzieży nieco inaczej! No, czy to nie jest przyznawanie się do rejterady, pod osłoną frazesu? „Gdyby oni tu byli!“ A więc wy, którzy tu jesteście, ogłaszacie swoje bankructwo! Ogłaszacie, żeście niezdolni narazić się na wilgoć sklepienia i wicher tajgi! Gdyby oni to słyszeli, pogardzili by wami!—Pewną rejteradę widać też i z innych w tymże artykule wyznań p. Millera. Autor ironizuje z p. Kunkłowej: „List pierwszy p. K. jest nieco endecki; list drugi—niby bezpartyjny; tuszę, że doczekam się wieści o socjalistycznej imprezie sympatycznej publicystki płockiej—w artykule trzecim“. Z większą słuszością można cofanie się zarzucić sympatycznemu „neoprowincjuszowi“ płockiemu. Przedtem dopatrzył on w wywodach p. K. patologii endeckiej,—obecnie—tylko „nieco“ pierwiastka endeckiego. Przedtem sarkał na ład, obecnie wyraża dlań szacunek. Wypiera się zarzuconego mu słusnie apoteozowania młodzieży, lubo i teraz głośno, gdyż faktycznie po staremu broni jej prawa do sądzenia z góry społeczeństwa. Przyznaje się sentymentalnie nawet do miłości względem „zadumanych świątyń i ich mroków tajemniczych“, ba, i względem praocjów, choć tylko tych, co stanęli za Orzechowskim! Ciekawa też jest impreza p. M. z „mityczną wieżą Babel“ w omawianym artykule. Pono przez omyłkę drukarską wyszła z pod prasy wieża mityczna zamiast mistycznej,—co wzbudziło w duszy autora obawę, żeby go snąc nie poczytano za zbyt wielkiego heretyka. Musimy stwierdzić, że, czy: *mityczna*, czy *mistyczna*—*ambo meliores*! Wieża Babel, to rzecz historyczna i całkiem realna, ubo w znaczeniu swym przenośnym—dotąd zagadkowa. O realności historycznej wielu zadziwiających opowiadań biblijnych można się przeko-

Szawel, i pędzić cholerycznie do *Damaszku*? Czy przypadkiem nie z obawy tajemnej, instynktownej, że droga do Damaszku w pewnym miejscu stanowczym rozwidła się nagle w kierunku do Kanossy, i można się... pomylić?!... Szawel był większy i, nadewszystko, szerszy: nie lękał się Damaszku, lecz pędził tam z furją prześladowczą; potym i przed Kanossą nie stehórzył, lecz pobiegł do niej ze skrucą, całe swe wrzące a mężne serce składając Kościołowi w ofierze...

Więc: „gdym był dziecięciem, mówiłem jako dziecię, rozumiałem jako dziecię, myślałem jako dziecię“. W duszy mojej panowało niepodzielnie uczucie podziwu: i dla przyrody, i dla dzieł rąk ludzkich. Wszystko, com widział, było już gotowe, w swoim rodzaju doskonałe, jakby z nieba spadło, albo jakby było dziełem bogów, nie ludzi. Był to okres umysłowy, który nazwać by można mitologicznym. Wszystko było dla mnie podziwu godną nowiną, com tylko po raz pierwszy w życiu zobaczył. Podziwiałem osobiście... wiedzę geograficzną woźnicy, który woził mnie na ferje, na wieś do dziadków. Jak on mógł nie zbłądzić wśród tylu krzyżujących się dróg! Orjentował się tak wspaniale i walił tak śmiało w nieznaną, tajemniczą świat! Powoził z taką zdumiewającą pewnością siebie, wywijał batem tak po majstersku! Jechał a jechał, nie obawiając się, żeby z rozmachem nie wpadł na jakieś deski, któremi świat zabity, czy na jakieś słupy Herkulesowe, na których świat się kończy...

Nie dziw, bom nie wiedział, co działo się przede mną, nie znałem przeszłości, nie zdawałem sobie sprawy z trudów i mokołów ludzkości w jej rozwoju kulturalnym. Jakże słusznie rzekł Ciceron: „Nie wiedzieć, co się działo przed tobą, jest to być zawsze dzieckiem“. Gdy nieznajomość przeszłości—a wszystko ma swoją historję—przedłuża się w lata, przedłuża się, pomimo lat, i dzieciństwo w sądach...

W miarę postępu w latach, podziw mój podnosił się wciąż wyżej, gdy ciekawość pogłębiała się. Pewnego razu, gdym w skupieniu modlił się z książeczki w kościele, uczu-

nać chociażby z „Historji Literatury Powszechnej“ Adolfa Święckiego (tom VII-y).

łem podziw dla autora tak pięknych modlitw, oraz pragnienie, żebym i ja kiedyś tak pięknie pisać potrafił.

Z biegiem też czasu zacząłem coraz to usilniej perswadować sobie, że przecież „nie święci garnki lepią“. Wzrastał też we mnie, idący wślad za podziwem, krytycyzm. Przejawiał się on naprzód w stosunku do rodziców i wychowawców. Ileż to razy w skrytości ducha polemizowałem z nimi, układając bajecznie dramatyczne sceny i dyalogi! Następnie krytycyzm mój sięgnął do spraw politycznych. W głowie nie mogła mi się pomieścić niesprawiedliwość niewoli. Nie pomnę wskutek czego, dość, że pewnego razu strzelił mi do głowy szalony pomysł rozlepiania na rogach ulic zredagowanej w tajemnicy proklamacji, wzywającej mieszkańców Płocka do... rewolucji. Serce waliło mi, jak młotem, w oczekiwaniu nocy. Nieprzewidziana jednak przeszkoda powstrzymała mnie w domu. Obiecywałem sobie spełnić zamiar w noc następną. Rano atoli wytrzeźwił mnie i, choć nie bez żalu, stłumiłem w duszy płomień rewolucyjny.—W końcu, krytycyzm mój targnął się i na wierzenia religijne.

Dość wcześnie pokusiłem się i o laury autorskie. Po dziś dzień przechowuję obszerny rękopis o szczęściu, który, pomimo uzyskanej dlań aprobaty literackiej jednego z nieżyjących już dziś powieściopisarzy, oraz zadatkowania nakładu, wycofałem z drukarni. A wróżyłem tam rozbrojenie powszechne, z czego naturalnie śmiali się ludzie poważni, którym tę myśl przedstawiałem.

Krytycyzmowi mojemu towarzyszyło stale uczucie podziwu; właściwie, jak tego natura jego wymaga, szło naprzód przed krytyką. Żądza podziwiania, inaczej—ciekawość, popchnęła mnie była do tajemnej ucieczki z domu rodziców, gwoli poznaniu szerokiego świata. Była to głównie zasługa Mayne Reid'a i Verne'a, w połączeniu z wagarami wiosennymi... (Ucieczkę tę opisałem w „Odrodzeniu“).

Choćby już z tych kilku wyznań czytelnik pomiarkować może, iż mam w swoich wspomnieniach pewne dane do zrozumienia, zatym i do pobłażliwego sądzenia młodzieży. Jednak one raczej upoważniają mnie i dają powód do przestrogi

pod jej adresem. Przechodziłem różne „odry“ i „zabkowania“ młodzieńcze i poznałem, że są to, bądź co bądź, objawy ujemne, lubo naturalne i niekiedy nawet niepozbawione piękna romantycznego.

Jednej wszakże odry, bodaj—ospy, nie przechodziłem, co uważam za szczęście: tej, która przejawia się wysypką partyjnego sekciarstwa, w połączeniu ze złośliwością krytyki negacyjnej. Zawdzięczam to pomyślniejszym warunkom wychowawczym i ręczyć nie mogę, czybym był nie uległ prądom rewolucyjnym, gdyby dziś wypadło mi przeżywać wiosnę swego życia. Za co jednak ręczyć mogę, to za charakter idealistyczny nawskroś domniemanych przejawów rewolucyjnych duszy swojej. Po dziś dzień nie zatraciłem zdolności do podziwu, która w przeciwieństwie do rozkładowej krytyki negacyjnej stanowi siłę twórczą. Gdy w młodzieży dzisiejszej widzę, nie tylko partyjny kierunek jej dążeń idealistycznych, ale i przewagę negacji krytycznej ponad pozytywną zdolnością do podziwu. Podziw swój kieruje ona raczej sama ku sobie. Nie umie słuchać, chce, aby ją już słuchano!

Co mię szczególnie uderza—to te miny wyzywające młodzieży szkolnej, przechadzającej się wśród tłumu po ulicach miasta, z pogwizdywaniem, jakby świat cały chciała wygwizdać, albo i ze śpiewką kupletową; natomiast bez rumieńców na twarzach i bez zapалу lub marzycielstwa w oczach. Zdaje się tej młodzieży, że imponuje bufonadą, a ona budzi niesmak i politowanie. W jej latach byłem cały pod urokiem przyrody i szukałem jej po za miastem. Porównyując siebie z tą młodzieżą, mam wrażenie, jak gdybym patrzył na przeżytych filistrów, starszych już duchowo ode mnie. Cóż u Pana Boga!—myślę sobie: czy to ma być postęp i czy ja, nawet wobec tej postępowej młodzieży, pozostałem daleko wstecz po za rozwojem?! Ależ młodość ducha—to talizman życia, to atut, którym każda młodzież przeciw „starym“ wojuje! Ja zaś mam wrażenie, jakobym, pomimo przedwczesnej siwizny, młodszy był duchowo od niejednego przedstawiciela młodzieży dzisiejszej. Dziecinna jeszcze rozumem, ujawnia ona podstarzałość moralną. Wręcz wbrew zasadzie św. Pawła: „Bądźcie

dziećmi złością, ale rozumem doskonałemi bądźcie“. Wypada zapytać z obawą: czy na młodzieży naszej nie sprawdza się prawo psychiczne, wyrażone w formule: „malitia supplet aetatem“ — *złość przyśpiesza dojrzałość*, dojrzałość robaczywego owocu?! Jeśli tak, to nie wątpię, że sekret tego zjawiska tkwi w odrzuceniu przez młodzież postępową religijnego „zacofaństwa“, któremu ja zawdzięczam poczucie młodości.

Wiara żywa w Boga—to ów eliksir młodości ducha, którego dla ciała próżno poszukiwali alchemicy średniowieczni. W obliczu Boga jestem i czuję się oraz, czuć będę zawsze, dzieckiem *bezwzględnie*. Jako takie dziecko, czerpię z Jaźni absolutnej żywotność, zapal i energję dla serca, a mądrość—dla umysłu. W tym znaczeniu pojmuję wielkie i głębokie słowa Mistrza z Nazaretu: „Ktokolwiek tedy uniży się, jako to dziecko, ten jest większy w Królestwie niebieskim“—to znaczy: w obliczu, wobec sądu Boga samego. O duszę ludzką, przesiąkniętą poziomym tchem Ziemi, słowa te odbijają się, jak paradoks, który odwraca głową na dół pojęcia ludzkie o wielkości. Doświadczam i tego, więc i to rozumiem. Gdy atoli nawiedzi mię wyższy nastrój ducha (ze stanowiska ludzko-naturalistycznego: *niższy*), wówczas narzucają mi się samouchcąc, dziecięce, nie dziecinne, słowa Jeremjasza, w chwili powołania go na proroka: „A, a, a, Panie Boże, oto nie umiem mówić, bom ja jest dziecina!“*)

I wtedy czuję, jak z tego samo uniżenia duch mój podnosi się wzgórze, dźwigany niewidzialną mistyczną Ręką. I miewam wtedy jasnowidzenie prawd Bożych, nad którymi w stanie duszy powszednim mogę jeno rozumować po ludzku, a i wątpliwości nawet doświadczać. Wtedy w duszy mojej świetlana uroczystość! I otucha w serce mi wstępuje, jak Jeremjaszowi, gdy Pan rzekł do niego: „Nie mów: Jestem dziecina, bo na wszystko, na co cię poszlę, pójdiesz, i wszystko, cokolwiek ci rozkażę, mówić będziesz“. I drogocenne te chwi-

*) Podobnie rzekł Salomon: „A teraz, Panie Boże, tyś uczynił królem sługę Swego, miasto Dawida, ojca mego, a jam jest pacholę małe, a nieznające wyjścia, ani wejścia mego“—to jest: jak sprawować rządy nad ludem.

le zbieram, niby drogi rzeźwiący olejek, we flakon duszy, żeby go w potrzebie otwierać...

Cóż powiem o stosunku swoim subiektywnym do Przyrody? Oto czuję się wobec niej, jak owo dziecko legendowe św. Augustyna, które, siedząc nad brzegiem morza, przelewało je drobną piastką w wygrzebany dołek... Zawrotu głowy doznaję, na widok ciemno-lazurowego sita, przez które przesiewa się na Ziemię światło Wszechświata,—tej kopuły cudnej, która nakrywa Ziemię, tworząc z nią razem jakby świątynię Bożą. I wątki tkanki mózgowej nie wytrzymały by naporu myśli i uczuć, uderzających w duszę falą całą od tych Niebios gwiazdzistych, gdybym nie oparł duszy o tę Inteli-giencję Najwyższą, o ten Absolut Prawdy, który mi sfinksową zagadkę bytu w jego Przyczynie ostatecznej wyjaśnia. Odczuwając całą względność i nikłość swego bytu, znajduję w Bycie absolutnym ostoję i ratunek od szczytnięcia w jakąś widmową, fichtowską istotę, dla której odbicie w jaźni jej światła zewnętrznego jest tylko niepojętą halucynacją zmysłów. Nie uratowałbym—czuję to—swego *ja* od zatopienia i roztopienia w nirwanie panteistycznej przez samo tylko kartezjuszowskie stuknięcie się w głowę: „Myślę, więc jestem!”—gdybym wnet z obudzonego poczucia samoświadomości nie wyprowadził z Kartezjuszem faktu wtórego, faktu istnienia Boga: gdybym swojego *jestem* nie oparł o Tego, który rzekł sam o sobie: „Jam Jest, Którym Jest”—więc na *Jestem* absolutnym.

I bynajmniej, uspokojony co do Przyczyny ostatecznej, nie kładę się na sennych falach kwijetyzmu. Przeciwnie, wtedy dopiero znajduję pobudkę i otuchę do rozmyślania nad światem widowym, bo w idei Boga mam Przewodnika. W niej wszak, w tej idei, Kopernik wyczytał intuicyjnie swój system heliocentryczny pierwej, zanim go naukowo uzasadnił. To fakt typowy dla całej Myśli średniowiecznej.

Tymczasem pogrążona w materji Ludzkość, radując się jak dziecko tryumfami nad Przyrodą, nie tylko wieszczy sobie zupełny jej podbój, ale, uniesiona pychą naiwną, detronizuje Boga i sama stolicę Jego zajmuje. Przez imaginację jechał i t. d. Rzadki dziś mędrzec między uczonemi. Jednookie cy-

klopy nauki widzą cały świat płasko, nie przenikają ukrytej w rzeczach rozumności, stracając ją w otchłań negacji. Boją się wyczytać w Przyrodzie—Boga! Powiedział Szopenhauer, że uczeni nowożytni przypominają mu owych robotników fabrycznych, których podział pracy skazał na wieczne wyrabianie jednej tylko części składowej danego fabrykatu, uniemożliwiając im poznanie syntetycznej całości; albo też—domatorów, którzy nigdy nie wychodzą na ulicę i przeto nie znają życia...

Człowiek niewątpliwie ujarzmi Przyrodę. Jej podbój ogłosiło Pismo już w zaraniu dziejów: „Rośnijcie i napełniajcie ziemię, a *czyńcie ją sobie poddaną*“.

Czy jednak rozum człowieczy dotrze kiedykolwiek do *istoty* bytu? Może on rozpoznawać własności materji, prawa, które nią rządzą, przyczyny i skutki: ale na pytanie, na czym istota materji, tymbardziej duchowa, polega, ma w odpowiedzi tylko: hipotezy, hipotezy, hipotezy! Labirynt hipotez, stworzony jakby na udręczenie myśli ludzkiej. Tu beznadziejne „Ignorabimus“ Du-Bois Reymond'a znajduje słuszne zastosowanie.

Pismo św. i to przewidywało. „Wszystko uczynił (Bóg) dobre czasu swego, a świat podał rozbieraniu ich (ludzi), aby nie znalazł człowiek sprawy, którą uczynił Bóg, od początku aż do końca“. Jak dotąd, jedno i drugie słowa Pisma sprawdzają się. Rękojmia na przyszłość, wobec doświadczenia wieków, nie problematyczna. Coraz to szybszym postępom utilitarnego podboju Przyrody odpowiadają w stosunku odwrotnym coraz to większe postępy w kierunku uświadamiania sobie przez ludzi niemocy rozumu: tak, że przyznanie się do niewiedomości stanowi dowód rozumu i nauki.

Od zwątpienia zupełnego ratuje człowieka idea Boga, która zlewa potoki światła na to, co najważniejsze dla zaspokojenia nieśmiertelnej żądzy poznania: na metafizyczną rację wszechbytu. Ostatnie pokolenie metafizyków zeszło było na bezdroża panteizmu, sprowadzając bankructwo myśli metafizycznej. Dzisiejsze pokolenie naukowców, hołdujące kantowskiej „Krytyce czystego rozumu“, metafizykę odrzuca, przestając na

badaniu kantowskiego *fenomenu*. Tak, czy owak, między przyczyną a skutkiem pozostaje niezbadana, tajemnicza istota rzeczy stworzonych, nie mówiąc o istocie ich Stwórcy!

Faraday, gdy go zapytano o istotę elektryczności, odrzekł ze szczerością mędrca: „Trzeba mi było zapytać o to przed czterdziestu laty“.

W przeciwieństwie do wyznania Faraday'a, przypomina mi się anegdota o pewnym studencie uniwersytetu. Zapytany na egzaminie o przyczynę zjawiska zorzy północnej, odrzekł on po namyśle: Wiedziałem, panie profesorze, ale jakoś ulotniło mi się z głowy! Na to profesor: Jakaż to szkoda i strata nieodżałowana dla nauki, która dotąd nie o tym nie wie!—Ten profesor był dobrym psychologiem, znał duszę młodzieńczą!

Przypomnijmy tu sobie młodocianego autora, który w *Do Dzieła* myśl ludzką ubóstwił i przytym podpisał się znamienym pseudonimem: „Ja“!! Wielkie *Ja* młodzieńcze, wobec prawdziwych wielkości ludzkich, które poczytały same siebie za atom Ludzkości, a Ziemię—za atom Wszechświata, jedynie podległy ujarzmieniu przez człowieka, a i ten—w istocie swej niezbadany, urągający mądrości ludzkiej spojrzeniem Sfinksa...

Jeszcze słówko o psychologii dziecka i młodzieńca pod względem moralnym.

Dusza ludzka, jak medal, ma dwie strony: białą i czarną, idealistyczną i materialistyczną, anielską i zwierzęcą. Obie te właściwości ciągną ją, każda w swoją stronę, a każda w przeciwną. Przechylenie się jej, to na jedną, to na drugą stronę, przejawia się i w gromadach społecznych w ciągu dziejów, nieledwie z rytmicznością odpływów i przypływów morskich. Tym rozszczepieniem duszy zbiorowej „na czucie Mickiewicza i rozum Darwina“—(Artur Górski) tłumaczą się akcje i reakcje prądów idejowych, idących zwykle w parze z odpowiadającymi im prądami etycznymi.

Nie będę się wdawał w wykazywanie, że rozdwojenie duszy ludzkiej ma swoje źródło w pierwotnym upadku człowieka. Za daleko by mię to sprowadziło z drogi. Stwierdzam fakt, który bije w oczy na każdym niemal kroku i osobście przez każdego człowieka jest doświadczany.

I dusza dziecięca czy młodzieńcza nie jest wolna od klątwy rozdwojenia. Z jednej strony ujawnia ona czystość i niewinność; z drugiej—lada zły przykład budzi drżące w niej instynkty złe, przejawiające się w pierwotnej formie barbarzyńskiej. Rzeczą kultury wychowawczej—jest instynkty te tępić, karczować; ową zaś niewinność podtrzymywać i przez ogień prób życiowych, w miarę postępów koniecznego uświadomienia w złym istniejącym na świecie, zwycięsko przeprawać i rozwijać.

„Tantillus puer, et tantus peccator“—*Takusie pachole, a taki grzesznik!*—może każdy sam o sobie ze św. Augustynem powiedzieć. Ale i o każdym, niezsputym przedwcześnie dziecku i młodzieńcu możnaby z podziwem powiedzieć odwrotnie: *takusie pachole, a taki idealista*, tak prawdziwie a tak boleśnie odczuwa wszelką niesprawiedliwość i krzywdę ludzką. Bo w duszy, nieskażonej przez wpływy ujemne życia, odbijają się stosunki ludzkie, niby w zwierciadle, a pierwotna, dziewicza wrażliwość reaguje na nie oburzeniem, o ile one złe: zrazu oburzeniem instynktownym, następnie i uświadomionym, skoro tylko myśl zacznie działać.

....W świetle uwag powyższych stawiam teraz argument p. Millera przeciwko p. Kunklowej, a za młodzieżą, za jej prawem do krytycyzmu względem społeczeństwa. Młodzież niewątpliwie ma prawo do krytycyzmu takiego, boć skoro posiada rozum, nie może go nie używać, nie może nie wydawać sądów, owszem, wydawać je musi i powinna. Ale, wielkie i grube **Ale!**

Naprzód, ponieważ poglądy młodzieży szkolnej dopiero się kształtują, przeto nie mogą one być miarodajne i obowiązujące dla dorosłych, pod grozą wpadnięcia w niebezpieczeństwa pajdokratyzmu. Sama też ona nie powinna poglądom własnym dowierzać, lecz powinna kierować się cyceeroniskim „cupio refelli“: pragnieniem być przekonaną o błąd, chociażby największym kosztem miłości własnej, byle prawdę zdobyć. Niech więc młodzież rozumuje, niech tworzy, niech poglądy sobie wyrabia; ale niech je traktuje jako etapy w rozwoju swojej myśli, niech je więc zachowuje sama dla siebie

i umie wątpić raczej o rozumie własnym, aniżeli o rozumie starszych: aby, gdy przyjdzie na nią kolej działać, wystąpiła do boju o ideały z całym przygotowaniem, całym zapalem i całą żywotnością młodości. *)

Następnie, ponieważ młodzież ma to do siebie, że w niczym nie umie zachować miary, powodując się raczej uczuciem, aniżeli niedosć wyrobionym rozumem, ponieważ zarozumiale zwykła przesadzać zwłaszcza na punkcie wiary w siebie, właśnie z powodu, że jest nieświadoma tego, co działo się przed nią. —przeto tym więcej—raczej kielznać jej zapędy, niż folgować im należy: aby snąć napór sił młodych nie przerwał tam społecznych i powodzi niszczącej nie sprawił; a sama młodzież, żeby nie strawiła się w ogniu czynu przedwcześnie.

Wreszcie, co bodaj najważniejsze, trzeba, żeby poglądy młodzieży wyrabiały się możliwie samodzielnie, a zatem wolne były od wpływów postronnych, obcych szkole, doktrynerskich partyjnych.

Czy młodzież nasza społeczna od wpływów takich jest wolna? Czy dziewiczość jej uczuć nie została przez te wpły-

*) Prawo samokrytycyzmu obowiązuje i dorosłych. Myśl ich również, jeśli nie chcą „w uwiedłych laurów liść z uporem stroić głowę“, a także—jeśli nie chcą mieć na sumieniu ofiar despotyzmu przekonaniowego, musi podlegać prawu rozwoju i przystosowania, więc: od sądów prostych o zjawiskach nowych przechodzić do sądów coraz to bardziej złożonych, poglądy wzmacniać nowymi dowodami, a nawet poddawać je rewizji, zmieniać, reformować. „Il n'y a que les imbéciles qui ne changent pas d'avis“—*Tylko głupcy nie zmieniają zdania*—powiedział słusznie Wolter: naturalnie w sprawach, podlegających omylnym sądom ludzkim. Palić, co się czciło i kochało, a uczyć i ukochać, co się ogniem nienawiści paliło,—to bywa zwycięstwem pożądanym nad miłością własną i bohaterstwem ducha. Przeciwnie: przystosowywać sądy proste do zjawisk i zagadnień złożonych—to prostactwo; wprowadzać w sferę szczerze przekonaniową czynnik władzy i przemocy—to szkodliwa niekulturalna despotja; przeciwstawiać nowym prądom myśli starcze *idées fixes*, dotknięte sklerozą, to partactwo, tworzące nowe źródła walk i nieporozumień.—Ci zaś, do których stosują się słowa Pisma: „Głupi zmieniają się, jako księżyc“—właściwie wcale zdania własnego nie mają. O tych wreszcie, którzy je mają, ale kierują chorągiewkowo według *wiatru*, nie ma co nawet mówić.

wy zgwałcona i skażona? Czy młodzieńcza prometejskość jej myśli nie została przez nie skierowana ku ogniom wątpliwej wartości etycznej? Czy idealizm jej, za ich sprawą, nie stał się poniekąd osłoną życiowego materializmu i zmysłowości? Czy wolność, której ona żąda, nie jest, jak mówi św. Piotr, *zasłoną złości*? Rewelacje, dotyczące naukowego uświadamiania młodzieży w sprawie tajemnicy „bocianowej“, upoważniają nas do powtórzenia tu dosadnego zdania, które ktoś kiedyś wypowiedział w *Ateneum*: „I wieprze podnoszą czasem ryje do góry: ale to jeszcze nie jest idealizm!“ *)

Tak podejrzaną, pod takim zarzutem postawioną młodzieży, tym więcej nie można przyznać prawa do przedwczesnego apostołstwa idei nowych.

Pan Miller jeno, sztuką sofistyczną wyzyskał wyrażenie p. Kunklowej o „korzystaniu przez młodzież ze zgromadzonych materiałów“. Woła on: „A czyż to korzystanie nie jest już twórczością?“ (Ob. str. 107).

Ależ jest; młodzież także tworzy, lecz podobnie, jak dziewczęta, uczące się robótek szydełkowych: co urobą, to wnet psują metodycznie, ażeby *da capo* manipulować tym samym materiałem włóczkowym i coraz to większej wprawy nabywać. Inaczej: młodzież przez tworzenie próbne uczy się tworzyć poprawnie i poważnie. Czy p. M. chciałby, ażeby młodzież doświadczała siły swej twórczości, nie na tablicach albo na papierze *szkolnym*, ale na żywym społeczeństwie i na własnych duszach? Wyprowadzenie przezeń ze słów p. K. takiego wniosku warto tyleż, co i jego małostkowa przyczep-

*) W tym miejscu zastrzedz się muszę przeciwko domniemanemu posadzeniu, jakobym wszystką w czambuł młodzież chciał zwrotem powyższym napiętnować, oraz w ogóle, jakobym do niej całej wszystkie, zawarte w tej broszurze oskarżenia i zarzuty, adresował. Wiem o tym i z żywym zadowoleniem to stwierdzam, że nie jest u nas tak rozpaczliwie źle z młodzieżą szkolną, jakby z broszury tej można było wnosić. Robota publicystyczna—to nie dzieło sztuki, wymagające obok cieniów i światła. Celem moim jest—same jeno cienie, same minusy zgromadzić. Niechaj *Znicz* warszawski czystym światłem swoim dopełni tego obrazu młodzieży. Niechaj robotą swoją dodatnią owe minusy przekreśli, a powstana—plusy...

ka do użytego przez autorkę, w zastosowaniu do młodzieży, wyrażenia z „Pana Tadeusza”: *z wieku i urzędu*. Pan M. podkreślił je i uzbroił w pytajnikową serpentynę!

Tak niby pobiwszy na głowę poglądy swojej oponentki, własnymi jej słowami, p. Miller stawia na ich miejsce pogląd swój własny: „Zrozumiało ono (dzisiejsze pokolenie, to jest młodzież: jak byśmy my, nie wyłączając pana M., byli już wczorajsi...) właśnie owym *twórczym* instynktem, że starzy prowadzili je na manowce moralne i polityczne, że pod pręgierzem (aż tak?!) posłuszeństwa i karności dla „ładu” (więc pan M. ładu nie uznaje, choć to rzecz *ładna*), — dawali potomstwu swemu wyjałowione ideały szlacheckie i ultraklerykalne, tamujące pochód w zaraniu pracy... To też, gdy przyszła chwila odpowiednia, zerwali te pęta i otrzymali nową szkołę. Raz zbudzona do twórczości myśl, musi szukać *czy- nu*; może się mylić w wyborze, może źle obrać drogi (bagatel!), ale (ale!) potrzeba czynu w życiu staje się jej *impe- ratywem*...”

Po tym wszystkim, co tu powiedziano, mogę z czystym sumieniem przejść nad tym objawem patologii liberalnej do... zapomnianego tu już p. Ig. Grabowskiego.

W całej polemice o młodzież p. Gr. zajmuje stanowisko odrębne i luźne, chociaż do stanowiska pedeków zbliżone.

Krótko już tylko z p. Gr. się rozmówię.

Przemawia on do uczniów: „Jeżeli wychowawcy chodzą wam *po głowach*, mniejsza: idźcie o to, aby nikt, kogo nie znacie, nie chodził wam w głowie.”

A do nauczycieli: „Sądzę, że zadaniem szkoły jest podawać młodzieży wiedzę, to jest: albo oczywistości matematyczne (nie wiele dalej, co prawda, one idą, po za $2+2=4$), albo wyniki niezbite doświadczenia, albo w ogóle fakty niewątpliwe, byłe czy istniejące; poglądy zaś mogą być przedstawiane, jako propozycje, nie, jako wiedza, albowiem podawanie rzeczy niedowiedzionych za dowiedzione jest właśnie fałszem.” I dalej:

„Nikt nie dowiedzie, kto ma rację: konserwatysta czy postępowiec, narodowy demokratą czy socjalista; ale każdy

kto podaje własne poglądy za prawdy matematyczne, nie ma racji.”

Interpeluję sz. autora: Gdzie pan widział choćby jednego nauczyciela, któryby, wchodząc do szkoły, zostawiał przekonania swoje za drzwiami? Wiem o praktyce ludzi świątobliwych, którzy, wchodząc do świątyni, starają się zostawić przed jej progiem myśli o sprawach ziemskich, ażeby im one nie brudziły w modlitwie. To może się udawać; podobnie i nauczyciel powinien zostawiać po za szkołą myśli o sprawach, nie mających nic wspólnego ze szkołą. Do takich spraw, zgodnie z głośnym *Protestem* Polskiego Związku Nauczycielskiego, wywołanym przez fakt wciągnięcia młodzieży szkolnej w Warszawę do agitacji wyborczej, zaliczam przedewszystkim namiętności polityczne i socjalne. „Ulica” powinna szanować uroczysty spokój Szkoły, przybytku Nauki. *)

*) Podnosząc z uznaniem, co na podniesienie takie zasługuje, musimy jednocześnie zaprotestować przeciw zawartej w „Proteście” Pol. Zw. Naucz. nagance na fikcyjne *zakusy klerykalne*, które tam podciągnięto także pod kategorię polityki. Jak już raz zaznaczyliśmy, o zakusach może być mowa tylko w zastosowaniu do bezwyznaniowców, gdyż Kościół jest u nas *in possessione* — w posiadaniu praw, na które oni właśnie dybia. Te *zakusy klerykalne* od razu w oczach duchowieństwa podały w podejrzenie tendencje Pol. Zw. Nauczycielskiego; gdy społeczeństwo świeckie, ujęte treścią główną *Protestu*, nie zwróciło na nie uwagi, a może widziało w nich tylko chęć ujęcia młodzieży, przez złożenie na ołtarzyku popularności u niej — kozła ofiarnego w postaci klerykalizmu. Dopiero gdy ks. Szkopowski, prefekt warszawski, zdemaskował dążenia Pol. Zw. Naucz., odezwały się głosy poważne publicystów świeckich z wyrażeniem uczucia zawodu i z protestem przeciw oskarżonej wycieczce *Protestu*. Zwłaszcza Wiktor Gomulicki podniósł głos z ogromną siłą przekonania. W art.: „Bezpartyjność partyjna” oskarżył on stanowczo Pol. Zw. Naucz. o przemycanie pod hasłem walki anti-klerykalnej — walki z religią. W samej odpowiedzi na rękawicę, rzuconą Związkowi przez ks. Szk., odpowiedzi, którą imieniem tegoż Związku dał p. Jezierski, — p. Gomulicki widzi między wierszami przytaknięcie oskarżeniu. Dalej pisze: „Zresztą, nie od dziś dochodzą nas niepokojące pod tym względem wieści, zarówno przez dzieci nasze, jak przez organa t. zw. postępowe. Gdyby to było prawdą, jednym tylko przyjąć by ją trzeba życzeniem: niech taka szkoła w ziemię się zapadnie!” I przewiduje, że gdyby jeszcze wzmocnić dawkę trucizny bezwyznaniowej, to „pękną ostatnie spoidła społeczne, anar-

Ale inna rzecz z przekonaniem: naukowym lub religijnym. Jest ono nieodłączne od ludzkiego *ja*, o ile ktoś nie jest zdeklarowanym sceptykiem. Podług mnie, to właśnie fałszem subiektywnym było by podawać przekonanie, jako obojętną propozycję: chcesz, przyjmij ją, nie chcesz—odrzuć!—Było by to wręcz sprzeczne z naturą ludzką: zadawać gwałt przekonaniu własnemu, które całą duszą człowieka porusza i życiem jego kieruje. I w imię czego taka ofiara? W imię wolności przekonań uczniów? Otóż *contradictio in adiecto*: nauczycielowi odmawia się prawa, które się przyznaje uczniom!

Stara historia! Gdy ludzie znużą się walką o poglądy, gdy walka dojdzie do najwyższego napięcia, gdy doprowadzi walczących do absurdu wzajemnych prześladowań: wtedy w roli rozjemcy przychodzi sceptycyzm...

Ten rozjemca atoli bywa stronny, jak się i w tym wypadku zdarzyło: Ty, profesorze,—powiada on—dla świętej zgody zrzeknij się przekonań i pozwól, żeby uczniowie raczej chodzili ci po głowie, a jeśli trzeba, i w głowie; a wy, uczniaki, hajda profesorom kołki na głowie ciosać!

„In hoc signo vincetis!“—kończy p. Gr. swój *List otwarty*. Sztydło z worka: więc jednak chodzi o czyjeś zwycięstwo! Pojęcie zwycięstwa każe się domyślać uprzedniej walki. Żeby je uczniom ułatwić, p. Gr. radzi nauczycielom, żeby się im nawet bez oporu poddali, a święta zgoda nastanie i, co ważniejsza, szkoła polska, ku podziwowi świata, urzeczywistni ideał pedagogiczny postępowy...

chja wszechwładnie zapanuje—i ci, co dążą do zagłady cywilizacji chrześcijańskiej, zawyją na jej gruzach: *Te Sathanam laudamus!*—„I zgola niepotrzebnie—pisze jeszcze autor pod adresem p. Jez—rozwijasz pan sztandar *Postępu*. Stara to, pełna dziur, przez pozytywistów już znoszona, szmata!... Postęp bez Boga i religji, jest jak ów ewangeliczny *cymbał brzmący*, którego puste dźwięki nikogo nie uzdrowią, nie nakarmią, nie oświecą, nie uszczęśliwią...“ (*Kurjer Warsz.* № 73). W podobnym sensie przemawia w tymże dzienniku (№ 76) p. Edm. Bogdanowicz, wykazując, że u nas tak zw. klerykalizm zgola nie istnieje, że raczej można by go upatrywać w epoce laicyzacji szkoły polskiej przez Komisję Edukacyjną, epoce, do której zwracają się teraz badawcze oczy poważnych nowatorów.

Pan Gr. udziela młodzieży i prawa wyboru pomiędzy profesorami, *na zasadzie jej upodobania*. Przypominamy mu, oraz komu należy, że pewnej młodej myszce podobał się bar-dzo... kot, gdy kogut ją przeraził..

W związku z tym powiada słusznie p. Kunkłowa: „Taki stan rzeczy wytwarza dla naszej młodzieży szkolnej położenie niebezpieczne: wolno jej wybierać pomiędzy groźną pięścią (kruszyna przesady, którą składamy na rachunek efektu, wynikającego z kontrastu), a bezkrytyczną adoracją; oczywiście, zgadnąć łatwo, w którą pójdzie stronę.“

Podobnie p. M. Czermińska: „Gdy... ktoś usiłuje młodym wpoić przekonanie, że mogą się obejść bez kierownictwa, o, wtedy strzeżcie się, tak starsi, jak młodszy! Ten ktoś chce was (młodych) usunąć z pod wpływu ludzi doświadczonych, a zasłoniwszy wasz umysł dymem kadzidla, owdadnąć waszemi siłami twórczymi, skierować je na manowce i uczynić niszczącymi.“

W istocie, nie ulega wątpliwości, że istnieje ktoś trzeci, kto pomiędzy zwierzchnością szkolną a uczniami sieje niezgodę i pod szkołą polską wyznaniową prowadzi rękoma uczniów roboty minerskie. Tym trzecim—to właśnie zagorzali obrońcy młodzieży.*) Zdradzają się oni sami dość wyraźnie przez

*) Nie wyłącza to faktów innych, w których sami nauczyciele podjęli się owej roboty i jawnie ją prowadzą, o czym była już mowa powyżej. Tu demaskuję specjalnie działaczy zakulisowych, którzy nie mieli dość śmiałości, żeby karty odsłonić, a może jeszcze sami nie zdolali wyciągnąć konsekwencji logicznych, wypływających z ich stanowiska. Np. płockie *Do Dzieła* zastrzega się przeciwko posądzeniu młodzieży o dążenie do wyrzucenia ze szkoły religji, w czym basuje młodzieży p. Miller. Przeciwnie, np. siedlecki *Głos uczniowski* otwarcie protestuje przeciw „zabarwieniu szkoły sosem katolickim“ i woła: „Bliża ta chwila, kiedy sutanna zajmie miejsce na kazalnicy i w konfesjonale, a w świątyni wiedzy rozlegać się będą słowa nauki“. *Głos uczniów* siedleckich wpada przytym w charakterystyczną sprzeczność sam ze sobą, gdy na innym miejscu, w artykule „Rekolekcje a szkoła“, wymyśla ks. prefektowi za urządzenie rekolekcji, jako zabierających uczniom czas nieprodukcyjnie: bo spowiedź, do której one przygotowują, to przesąd i gwałt sumienia! Jeżeli tak, to sutanna niepotrzebna, i na kazalnicy, i w konfesjonale, dokąd ją *Głos* jednak wysłał... Co prawda, żadna to dla nas

tendencyjność obrony rzekomych jej praw do samodzielności przekonaniowej. Czemu oni tak smakują we „własnych“ poglądach młodzieży postępowej? Rzecz jasna: bo to raczej poglądy ich własne, bo to rodzone bękarty ich mózgów postępowców, prostytuujących mózgi młodzieńcze! Bronią młodzieży, bronią oni samych siebie, bronią własnej roboty! O ile zaś „straszna pieczęć na ustach“ nie pozwoliła im wypowiedzieć się zbyt szczerze i jasno, no, tośmy tu ich wyręczyli, stawiając nad ich ślepym *i*—kropkę. Takie kropkowe oświeślenie sprawy tej zapewne nie przypadnie im tak do smaku, jak niedojrzałe poglądy młodzieży postępowej: trudno jednak, *amici Platones!*...

Kości rzucone! Po utarczkach podjazdowych—walka regularna o przekonania, mające panować w szkole polskiej, rozpoczęta, karty odsłonięte! Rzecz w tym, które zwyciężą, które zwyciężyć powinny?!

Rzecz w tym, czy w szkole polskiej mają być czynione na duszach młodzieży, niby *in anima vili*, eksperymenty z problematycznymi, często podejrzanymi „najnowszymi wynikami wiedzy“, eksperymenty, połączone z burzeniem podstaw tradycyjnych i dogmatycznych (nie tylko o charakterze religijnym); czy też mają w niej panować ideały narodowe i powszechno-ludzkie w duchu Chrystusowym?

Z wielkim kapłanem, Laokoonem, wołamy:

„Ach, nie wiercie, o Teukrzy! nie wiercie koniowi.

Cóżkolwiek bądź, nie mogę obludnie dać wiary:

Ja się boję Danajców, choć niosą ofiary!“

niespodzianka. Wykazaliśmy tu już byli, że przyznanie przez bezwyznaniowców charakteru prywatnego religii, zapędzanie jej do zakrytych, to tylko nędzny fortel. Czy jednak takie stanowisko *Głosu uczniowskiego* świadczy samo przez się przeciwko kierownikowi ośmioklasowej szkoły sędleckiej, jak chce *Rola*, z której wzięliśmy cytaty powyższe (№ 15), o tym wątpić można i należy, dopóki nie będzie dowodów na to bezpośrednich. Uczniowie gimnazjum polskiego w Płocku wydają wrogie Kościołowi *Do Dzieła*, a dyrektor tejże uczelni jest człowiekiem wierzącym. Niemniej nie ulega wątpliwości, że tu i owdzie sami nauczyciele dążeniem do ubezwyznaniowienia szkoły kierują. Świadczą o tym *Nowe Tory*, organ Pol. Zw. Nauczycielskiego.

Bo te „najnowsze wyniki wiedzy“ tak tendencyjnie obracają się około negacji religijnej, a z taką osobliwą predylekcją ciążą ku VI-temu przykazaniu Dekalogu! Nie dziw, że danajcowe podarki wiedzy postępowej traktujemy podejrzliwie, że wołamy o poddawanie ich rewizji krytycznej.

Co do przewodniej dążności naukowców do zastąpienia podstaw religijnych moralności przez podstawy przyrodnicze, to wiemy już, co sądzić. W imię przyrody, z tym celem, wystąpił był już przed laty Ludwik Büchner, stary ewangelista materializmu nowożytnego. I był on przynajmniej szczerzy i konsekwentny, gdy z pewników przyrodniczych wyprowadził osławioną etykę stadową, epikurejską i samolubną, stanowiącą zaprzeczenie wszelkiego idealizmu etycznego, wszelkiej w ogóle moralności, godnej człowieka. Natomiast spółcześni apostołowie moralności niezależnej (niezależnej od wiary w Boga, lecz zależnej od *wiary* w siły i cuda przyrody) usiłują diabła tego wybielić i wypromienić, zgodnie z wymaganiem idealistycznego nastroju ducha czasu.

Wobec tego groźnego wroga niedowiarstwa, a naturalnego sprzymierzeńca religii, materializm ratuje się przez kompromis z idealizmem: podobnie jak stary liberalizm mieszczańsko-kapitalistyczny, zagrożony przez proletariański socjalizm, zwąchał się z tym ostatnim i poprowadził go do walki z religią, za cenę przypuszczenia go do udziału we władzy. Dla walki z Kościołem, socjaliści przeniewierzają się swoim ideałom, poczętym w zasadzie z ducha chrześcijańskiego. *) Socjaliści francuscy są wszak u steru rządu, a Francja jest pod względem reform socjalnych zacofana i zaniedbana, jak prawie żaden inny kraj kulturalny.

Tak samo naciągany i nienaturalny jest sojusz materializmu naukowego z idealistycznym dążeniem ducha ludzkiego *ad astra*.

*) Słynne jest określenie socjalizmu przez biskupa Kettelera, jako „skwaszonej Ewangelii“. Również, zresztą, i liberalizm, o ile staje w obronie wolności indywidualnej, jest dzieckiem chrześcijaństwa, choć dzieckiem także spoganionym. Obadwa te kierunki, odrzucając to, co czyni je skrajnymi i pogańskimi, godzi nauka chrześcijańska.

Niedawno dr. Henryk Nusbaum, w broszurce pod nagł. „Nienawiść“, wystąpił z apostołstwem idei miłości bliźniego—w imię biologji. „Koniecznością biologiczną—pisze autor—jest rozwój mózgu i jego władz, potężnienie coraz to powszechniejsze uczuć, słowem—rozwój umysłowości i etyki“ (str. 31). Wystarczy, aby Historia jednym palcem dotknęła tej doktryny, a padnie ona, jak domek karciany. Wszak pierwsi męczennicy chrześcijańscy, przeważnie plebeje, okazali się o całe niebo wyżsi etycznie od swoich prześladowców, rozwiniętych umysłowo i wydelikacowanych kulturalnie patrycjuszów. Jak zjawisko to wytłumaczyć? Biologja przecie cudów nie czyni, a ewolucja wstecz nie działa.. Prawem biologicznym elementarnym jest walka i, jeśli może być mowa o rozwoju jej form na mocy ewolucji biologicznej, to chyba tylko w kierunku, w którym zasłużyli się ludzkości Kruppy, Noble, Bertheloty i t. d. Bojowcy socjalistyczni, zaprawdę, okazali się bardzo konsekwentni i postępowi biologicznie, gdy do walki socjalnej, zamiast zacofanych buldogów, wprowadzili brauningi i mauzery. Jesteśmy też przekonani, że motywy biologiczne, w imię których p. Nusbaum przemówił do terrorystów, żadnego z nich nie wzruszyły. *)

Ta sama odpowiedź należy się i *Nowym Torom*, które tej samej teorii torują drogę do szkoły. Po krótkich lecz ciężkich... trudach umysłowych w pracy nad oparciem etyki o pewniki przyrodnicze, przyczem rolę główną odegrała demonstracja z żabą, **) autor woła z tryumfem: „Oto moral-

*) O „Nienawiści“, zadeklarowanej przez autora Elizie Orzeszkowej, pisałem obszerniej w *Przeglądzie Kat.*, w № 40-tym z r. p. 1906

**) „Żaba, nawet po wyjęciu mózgu, kłóta w grzbiet igłą, podnosi łapę dla samoobrony. Reakcja taka—to prosty odruch, wykonywany przez zwierzę bez udziału mózgu. Człowiek, przy spółdziale wyższych ośrodków hamujących swego mózgu, może zapanować nad takimi pierwotnymi odruchami. Na tej drodze może powstrzymać akt samoobrony, jako ślepą czynność instynktową. Może nadać mu charakter subtelniejszego i bardziej do celu przystosowanego czynu, który lepiej zabezpiecza napastowanego, niż pospolite, prawie odruchowe akty zemsty.“ Tu oczekiwaliśmy że autor będzie mówił dalej o aktach zemsty niepospolitych, subtelnych. Gdzie tam! Ni stąd, ni zowąd, wyskakuje wniosek:

ność odpłacania dobrem za złe, umotywowana przyrodniczo! Żaden katechizm nie obudzi tylu myśli, takiego zastanowienia i życiowego pogłębienia etycznego“ (w zesz. za marzec r. b.).

Co za ubóstwo umysłowe—religijno-etyczne, co za australczykostwo! I, co za pycha! To, co *Nowe Tory* ogłasza—jako rezultat nauki, znane jest chrześcijanom już od dziewiętnastu wieków. Gdyby więc nauka doszła teraz do tego samego, to można by w tym widzieć jedynie potwierdzenie z jej strony—idei ewangelicznej, oraz przydanie nowego bodźca do jej praktykowania. Wniosek, że już Ewangelja (względnie: katechizm, będący poniekąd jej streszczeniem) zbyt, jest conajmniej... zbyt, jest zbyt.

Ale nauka nie mogła żadnym cudem zrodzić idei miłości bliźniego! Gdyby nie było na świecie chrystjanizmu, ona ani by pomyślała o czymś podobnym. Po prostu względy konkurencyjne skusiły tendencyjnych rzeczników nauki na próbę przystrojenia jej piórkami, obcemi jej absolutnie.

Nie łudzimy się, oczywiście, aby rzecznicy moralności niezależnej przyznali się do tego humbugu.

Pozostaje tedy w całej sile życiowej kwestja: czy w głowach młodzieży szkolnej polskiej mają chodzić kupą bezładną, odgrzane w polskim sosie rewolucyjnym: Büchnery, Woltery, *) Rénany, Marxy, Engelsy, importowane z nad Wołgi—Horkije, Aładiny, Plechanowy, wreszcie nasi swojsey Daszynscy, Niemojewscy, a choć by i Dmowscy; czy też—w tych głowach

„Oto moralność odpłacania dobrem za złe, przyrodniczo umotywowana! I ta blaga występuje pod firmą nauki!

*) I ten atoli Satyr chrystjanizmu wyznał w chwili trzeźwości: „Je redoute l'avènement d'une force brutale, depourvue de croyances idéales“. *Lękam się rozpełtania siły zwierzęcej, wyzwolonej z wierzeń idealnych.* W swoim „Mahomecie“ pisał nie bez świadomej siebie refleksji: — „J'ai trompé les mortels, et n'ai pu me tromper“. *Oszukiwałem śmiertelnych, nie mogłem oszukać samego siebie.* Jeden z apologetów wziął stąd pomysł do napisania rozprawy p. n. „Voltaire apologiste de la religion chrétienne“. *Wolter — apologetą wiary chrześcijańskiej.* — Znowu Rénan, drwił ze swoich wielbicieli: „Si le public avait la tête assez forte, il se contenterait de la vérité. Je me moque de tout“. *Gdyby publiczność miała głowę dość mocną, zadowolala by się prawdą. Kpię ze wszystkiego.*

i duszach, ponad wszelkimi wielkościami świata, panować ma Chrystus?!

Oto pytanie, które rozstrzygnąć musi walka.

Zwycięży,—zwyciężyć musi Chrystus!

W tym jednym, największym na ziemi Imieniu, które sprawiło przełom w dziejach świata, które przecięło je na dwie wielkie, dyjаметralnie różne połowy, zawierają się wszystkie najwyższe ideały Ludzkości.

„Bądźcie doskonałymi, jako i Ojciec wasz w niebiesiech doskonały jest!“ Tak rzekł Chrystus.

Słowa te otwarły przed rodzajem ludzkim nieskończone widnokręgi postępu, postępu we wszystkim: w etyczności: indywidualnej, zawodowej i socjalnej, narodowej i międzynarodowej,—w nauce, sztuce, podboju przyrody, nawet w przemyśle i handlu. Przedewszystkiem w etyczności, która jest warunkiem koniecznym postępu we wszystkim innym, postępu prawidłowego, wolnego od burz i katastrof życiowych. Doskonałość etyczna uświęca i opromienia poezją nawet to, co w życiu najpospolitsze, w myśl słów św. Pawła: „Czy jecie, czy pijecie, czy cokolwiek bądź innego czynicie: wszystko czynicie na chwałę Bożą.“

Oto, krótko streszczony, ideał postępu, postępu w duchu chrześcijańskim!

Młodzieży postępowa! Złudzona niezależnością, otoś zmieniła tylko „matkę“, powtarzając za inną „panią matką“ jakieś podejrzanе, nie polskie i nie chrześcijańskie pacierze. Zmieniłaś ją na gorsze: bo, zamiast za przewodem idei Boga, poszłaś na pasku ludzkim, partyjnym. Odurzona zarozumiałością młodzieńczą, pod hasłem walki z urojonym klerykalizmem, kusisz się wyrzucić ze szkoły, z życia, z duszy Narodu, to, co stanowi siłę i piękno idealne człowieka. W imię zwodniczych efemeryd postępu, wypowiedziałaś wojnę wiekiestemu Kościołowi, dziełu Chrystusa, przejmując nienawiść ku niemu w spadku po szkole rządowej. Poznaawszy myśl katolicką z ignoranckich i potwarczych źródeł, odsądziłaś ją od rozumu, potraktowałaś, niby prostaka umysłowego (a jednak chyłrego), gdy

samaś okazała się prostacką w prostackim jej pojmowaniu. *) Gwoli najnowszemu wynikowi wiedzy dzisiejszej, wiedzy *tendencyjnej*, która obalona będzie przez wyniki wiedzy jutrzejszej, pogardziłaś Wiarą, która próbę wieków przetrwała i na wykazanie *doskonale* zgodności której z Nauką—do końca świata trzeba by czekać, wobec wyłaniających się coraz to nowych trudności: gdy religja—to sprawa paląca i nagła, której rozwiązanie zwłoki nie cierpi, a od Nauki właściwie nie zależy.

W imię rozumu, wreszcie, powstałaś przeciw temu Kościołowi, który w obronie jego zawsze stawał i staje przeciwko sceptykowi. Tak zaś popularny i panujący dziś kantyzm, dusza nauki społecznej, to połowiczny sceptycyzm, zaprzeczający rozumowi ludzkiemu udolności do poznania ukrytej w rzeczach rozumowości,—do osiągnięcia idealnych a rzeczywistych zdobyczy metafizycznych. **)

*) A jednak w interesie przeciwników religji katolickiej leży poznanie jej jaknajdokładniejsze, jeżeli chcą zwalczać ją skutecznie. W razie przeciwnym—ataki ich odparte mogą być bardzo łatwo, przez postawienie ich w roli rycerza z La Manszy. Niestety, o ile my, wierzący, lękamy się tego tylko, aby Wiara nasza nie była odrzucona, bez poznania jej uprzedniego, o tyle niewierzący lękają się ją poznać.

**) Subiektywistyczna teoria poznania Kanta dała punkt wyjścia metafizyce idealistycznej a nierealnej, będącej wręcz grą dyjalektyczną. Gdy ta ostatnia z konieczności zbankrutowała, wtedy myśl skierowała się ku naukom ścisłym, ku kantowskiemu *fainómenon* (fenomen, zjawisko, strona zjawiskowa bytu), które owa teoria poznania uznała jako jedyną dostępną rozumowi przedmiot badań. Fakt, że z Kanta teorii poznania wypłynęły dwa tak sprzeczne prądy umysłowe, wskazuje na tkwiący w niej samej błąd zasadniczy. Sam filozof królewiecki uratował t. zw. rozumem praktycznym wartości realne nadzmysłowe i etyczne, których rozumem spekulatywnym zaprzeczył. Nie licząc naszych rodzimych filozofów, jak Libelt, Trentowski, Kremer, którzy, zostając pod wpływem Hegla, chrzcili *par force* po polsku spekulacje niemieckie,—była to ostatnia wielka próba sztucznego kompromisu między wiarą a wiedzą. Sereg prób podobnych rozpoczęli filozofowie Odrodzenia, którzy, naciągając wiarę do postępowych rezultatów wiedzy, hołdowali zasadzie, że może coś być prawdą dla teologa, co jest fałszem dla filozofa. Nawet Giordano Bruno mniemał, że jest w zgodzie z nauką wiary katolickiej. Przeciwnie, scholastycy średniowieczni naginali filozofję do teologii. I oni

Żali nie palisz się, Młodzieży, wstydu rumieńcem za tyle pychy niedowarzonego rozumu? Żali stehórzysz przed obliczem surowej i poważnej Prawdy, pokrywając tchórzostwo maską sardonicznej pogardy?

Nie była byś już młodzieżą!

Czujesz się pokrzywdzoną przez rzekomo napastniczą przemoc klerykalno-szlachecką w szkole? Napaść na przekonania, jak napaść każda inna, stanowi grzech przeciw piątemu punktowi Dekalogu. Któż jednak winien tego grzechu? Żali nie ty, Młodzieży postępowa? Ten zaś grzech pociągnął za sobą grzech drugi — przeciwko przykazaniu czwartemu, zwłaszcza, o ile ono dotyczy Matki-Kościola..

Kochasz ideały wszechludzkie? Tedy czemu zacieśniasz je do partyjnego hasła: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się“!? Tedy czemu wyłączasz z Ludzkości Naród, który

wszakże natykali się na antynomje, które godzili paradoksalnie. Duns-Skot twierdził, że może coś być prawdą dla filozofa, co jest fałszem dla teologa. Myśl filozoficzna katolicka w średnich wiekach, rozporządzająca ubogim materiałem naukowo-przyrodniczym, naginając tendencyjnie błędne pojęcia filozoficzne do dogmatów, nieraz błędziła, — w czym atoli myśl antykatolicka również tendencyjnie upatruje kompromitację tych ostatnich. Obecnie obadwa kierunki myśli są w rozbracie zupełnym. Gdy atoli myśl katolicka nie zarzekła się idei pogodzenia wiedzy z wiarą, to antykatolicka ani słuchać o niej nie chce. Przyszłość należy do myśli katolickiej, której hasłem walka z tendencyjnością naukową, czy to na korzyść wiary, czy na jej niekorzyść, w przekonaniu, że pomiędzy prawdą teologiczną a filozoficzną sprzeczności być nie może. Kompromisy średniowieczne i odrodzeniowe — mają charakter tymczasowości i tłumaczą się potrzebą syntezy w każdej epoce, jakkolwiek by ją trzeba było łączyć. Tak zw. „ostatnie słowo nauki“, to jeden z nadużywanych tendencyjnie frazesów, które imponują tylko nieukom. Do końca świata daleko, nauka zaś nigdy na laurach — ostatnich w danym czasie zdobyć czy spocząć nie może. Jedynie naukowym jest hasło Leona XIII-ego: *Cunctandum interea de sententia*: hasło wstrzemięźliwości w wyrokowaniu, czy to ze strony Wiary, czy to ze strony Nauki. Odrodzenie metafizyki, odesłanej w krainę poezji przez Vacherot'a, a pogrzebanej z kretesem przez kantystów, zapowiada zwycięstwo filozofii katolickiej. (Oprócz „Wstępu krytycznego do Filozofji“ Struvego, polecam uwagę czytelnika „Obronę Metafizyki“ dra Mściława Wartenberga, Kraków, 1902).

stanowi jej częstkę, tobie najbliższą? Tedy czemu godzisz w Tradycję — w to, co w niej wielkiego i świętego? I jakim prawem protestujesz przeciwko duchowi partyjnemu szkoły, gdy sama wnosisz w jej mury partyjność inną? Żali chcesz wyrobić się na doskonałych w swoim lichym rodzaju sekciarzy?

Widzisz złe w wykonawcach i sługach Ideału Chrystusowego? Świecisz w oczy Kościołowi stosami Inkwizycji, walisz na odpowiedzialność Kościoła polskiego „klerykalną“ Targowicę? Na miły Bóg! — co za sens plwać na Ideał dlatego, że ktoś w imię jego błędził, albo swoją niegodziwość nim osłaniał? Może to mieć sens jedynie, jako faryzajskie poszukiwanie zgorszenia, gwoźli usprawiedliwieniu odstępstwa! Tobie, Młodzieży, wolę przypisać raczej *scandalum pusillorum* — zgorszenie małuczkich... Wiedz atoli, że ze złem człowieczym w Kościele Bożym walczyć można, nie przestając być katolikiem, a to w imię zasady: zwalcie, co jest ludzkiego, na ludzi; oddajcie hołd Bogu w tym, co jest boskiego! Przyjdzie ucierpieć za to — nie to! Każdy, kto służy idei, musi ucierpieć od „zjadaczów chleba“, od tych, co z idei żyją i na niej się tuczają.

Ale, ten tylko ma prawo rzucać kamieniem na innych, kto sam bez grzechu. Żali zaś sztandary socjalistyczne nie zostały zbrukane, nie tylko we krwi wrażej, ale i w bratniej, w ściślejszym słowa znaczeniu? Ba, i tak podle nieraz, że zwierz by się wzdrygnął! I to w wieku XX-tym, kiedy okropności Inkwizycji należą do zamierzonej, barbarzyńskiej przeszłości. (Jako poważna kongregacja rzymska, Inkwizycja istnieje po dziś dzień, a snąc swoje funkcje strażniczki czystości nauki Kościoła pełni ona niewinnie, skoro mało kto wie o jej istnieniu). A gdybyśmy tak porównali owoce Chrystjanizmu z owocami Międzynarodówki czerwonej, nawet owej z odcieniem polskiego amarantu? Zaiste, nie w interesie jej leży taka krytyka porównawcza! A Targowica? No, tej można przeciwstawić niemniej klerykalną Konfederację Barską! Gdyby mi kto, wreszcie, nawet najśluszej, tysiąc Targowic zwał na Kościół, jeszcze bym się nie zgorszył, bo wiem, że z czystego ducha jego one wypłynąć by nie mogły.

Mówisz mi, Młodzieży, że my, kapłani, jesteśmy Między-narodówką czarną? Przywidzenie, albo li fikcja złowolna! My nie jesteśmy partją! Nie reprezentujemy interesów której bądź z grup ludzkich wyłącznie, ale całego rodzaju ludzkiego bez żadnych wyłączeń, usiłując łagodzić wszędy niesnaski i potępieniecze waśni. Nie reprezentujemy też sami siebie, ale Chrystusa! Nasze imię—Ludzkość; nasze hasło miłość; nasz sztandar—Krzyż Chrystusowy! Z tym sztandarem w rękę, broni-my przeciwko Czerwonym także i miłości Ojczyzny...

Jako tacy, jesteśmy duszom ludzkim potrzebni, jak chleb, woda, powietrze—potrzebne są ciałom. Bez nas, pomimo naszych win ludzkich, świat dawno runął by w przepaść. Świat zagryzłby się na śmierć wśród walk beznadziejnie nierozstrzygniętych, gdyby nie nasze powołanie rozjemcze, które miasto Chrystusa sprawujemy; gdybyśmy ponad powagi ludzkie—powagi Boga nie podnosili. Bo za pomocą powag ludzkich dowieść można wszystkiego absolutnie...

Bacz też, Młodzieży, i na to fatum groźne i nieubłagane, stwierdzone przez tysiące istnień wykolejonych i złamanych: Wślad za nieszczera walką z klerykalizmem idzie walka z Chrystusem, który rzekł do apostołów: „Kto wami gardzi, mną gardzi“; znowu wślad za walką z Chrystusem, żyjącym mistycznie w Kościele, idzie walka z Tyni, który posłał Chrystusa; i w końcu—wślad za odrzuceniem Boga—idzie walka z samemi prawami natury, uświęconemi przez chrystjanizm: i człowiek staje się niewolnikiem tych praw natury skażonej, którym hołdował świat starożytny, pogański: nędznym niewolnikiem—w imię górnych haseł niepodległości!

W tym świetle ukazują się nam w całym groźnym majestacie prawdy słowa św. Cyprjana: „Nie ma Boga za Ojca, kto nie ma Kościoła za Matkę“. Sam się Ojcowstwa Bożego wyrzeka, k'o wyrzekł się Kościoła. Wślad za tym wyrzeka się i Matki-Ojczyzny, przez Matkę-Kościół wypielegnowanej. I tak, z fatalizmem kuli, położonej na pochyłości, stacza się w przepaść nihilizmu, zatrzymując się krócej lub dłużej na etapach ideałów, coraz to niższych...

Żali, Młodzieży, pojmujesz życie, jako błyskotliwy fajer-

werk rewolucyjno-postępowy, lub jako efektowną kaskadę górską, która zbyt rychło kończy swój żywot burzliwy w nurtach górskiego jeziora? Żali chcesz odrazu wydatkować cały zasób swych sił i energii, zanim one rozwiną się i okrzepną? Nie *do dzieła* ci się już brać, zaprawdę, lecz do nauki!*)

Jeśli zaś sądzono ci już było złożyć haracz, nie tylko młodości, ale i rewolucji, tedy bądź jako rzeka górską, co wartkim prądem toczy swe spienione i mętne fale, aż wpadłszy w przezroczyste wody jeziora, przepływa przez nie *niewidzialna*, oczyszcza się w nich i w końcu wypływa *samodzielna*, czysta, poważna...

Takim jeziorem—niech będzie dla ciebie Ewangelja!

Postarzała ci się, pokryła pleśnią, zwietrzała Dobra Nowina? Tedy ją odmłódź w młodej duszy swojej! Tedy ją zasil krwią swoją serdeczną! Tedy ją użyźnij myślą swoją świeżą! Tedy ożyw martwą jej literę: a Duch w niej zaklęty—ożywi, rozśłoneczni, otęczy, uskrzydli ducha twojego!

Tam, w Ewangelji, są skarby nieprzebrane: wiele jeszcze nietkniętych przez życie społeczne, wiele niespożytkowanych! Starezy ich do końca świata, jak Słońca—Ziemi: spożytkuj choćby częstkę!

Tam, w Ewangelji, odnajdziesz, Młodzieży, swoje ideały, w formie najczystszej, świetlanej! Odbijasz w swojej duszy krytycznie Rzeczywistość i zżymasz się na nią? Odbij że w zwierciadle obiektywnym Ewangelji swoje własne ideały, i w tej krynicy omyj je ze skażenia i naleciałości doktrynerskich!

Tam, w Ewangelji, są wartości wiekuiste i niezmiennie,

*) W jednej z ostatnich swoich „Kronik Tygodniowych“ Prus usiłuje z miłością iście ojcowską odciągnąć młodzież od przedwczesnego czynu—ku nauce, roztaczając przed nią jej powaby. I perswaduje, że młodzież znajdzie czas na poświęcenie się nauce i po za szkołą, o ile zaniecha wieców, na których szuka „uświadczenia się o grzechach, mniej lub więcej śmiertelnych“ (*Tygodnik* 15). Jak zwykle, Prus i tu nieco jednostronnie hołduje utylitaryzmowi. Należy rachować się z dążeniami idealistyczno-socjalnemi młodzieży, nadając im zdrowy kierunek. Dążenia te są zbyt silne, aby można było liczyć na zupełne ich zataśmowanie.

które nie mogą uleść przewartościowieniu rewolucyjnemu, gdyż nie człowiek je stworzył i ponieważ one to same stanowią nieprzebraną kopalnię idei postępowych w duchu Chrystusowym.

Ponad zawartemi tam wartościami—góruje jedna, która przedstawia się dotąd wielu jako Absolut arystokratyzmu i despotyzmu,—z której w ciągu wieków czerpał swą powagę i swą żywotność absolutyzm ziemski. To idea Boga! Ale patrz, Młodzieży! Oto ten groźny w Starym Zakonie Absolut—Jehowa, w Zakonie Nowym demokratyzuje się w sposób niesłychany, nieprawdopodobny: Syn Boży staje się nam Bratem; ogłasza Ojca swego, jako Ojca naszego; w imię tego głosi braterstwo powszechne; w końcu krwią własną ideję wszechbraterstwa podlewa i użyźnia, na ołtarzu Krzyża ofiarowując Samego Siebie za rodzaj ludzki, kładzie Głowę ucierniowaną pod topór despotyzmu... Król boleści—w koronie cierniowej! Mickiewicz ze swoim, wzruszającym Naród nasz „cierpieniem za miliony“, gaśnie przy tym Cierpieniu bezgranicznym za miljardy, jak księżyc gaśnie wobec wschodzącego Słońca..

Żali, Młodzieży, nie zechcesz być działwą Boga, a bracią Chrystusa? Pytanie to wydaje mi się wręcz bluźnieniem Bogu i Chrystusowi, a urąganiem twej młodzińczej zarozumiałości, Młodzieży! Nie bluźnię, jednak, ani nie urągam. Tyś, niestety, upoważniła mię do postawienia tego pytania...

Świata daleko do realizacji ideałów Ewangelji, zwłaszcza ideału demokratycznego, który za dni naszych budzi w duszach ludzkich jedno z najżywszych dągań, ba!—jakby epileptyczne drgawki i rzuty rewolucyjne? Nawet Kościołowi, o ile pierwiastek ludzki stanowi część jego składową, do ideału tego nie blisko?

Toż pole działania, toż nieskończone widnokreśli postępu, według boskiego programu, nakreślonego w Ewangelji!!

Wskaż mi, Młodzieży, widnokreśli szersze, bardziej świetlane! Wskaż! Jeśli jednak zraża się do nich to, że są one ujęte w jakieś granice, to, niestety, powiedzieć ci muszę, iż Igniesz bezwiednie ku złemu. Ideał ewangeliczny ma swoje granice, ale w tym znaczeniu, w jakim je ma także idea Bo-

ga: Boga, który nie może pragnąć, ni złego, ni fałszu. Granice tego Ideału oznaczone są słupami Dekalogu!

Młodzieży, Nadziejo Kraju i Kościoła, przyszły Narodzie! Dziesięć wieków patrzy na ciebie! Tysiąc lat dziejów Narodu polskiego, wrytych na pomnikach kultury ojczystej, świętym stygmatem idei katolickiej naznaczonych, krwią i potem Ojców—skropionych! Ten gmach tysiącoletni dziejów patrzy z trwogą, jak do jego podstaw przykładasz siekiere idej wywrotowej. Z trwogą, nie tyle o siebie, ile o ciebie. Zda się, oną krwią gmach się ten krwawi i onym potem się poci na widok złowrogi. Co czynisz, szaleńcze?! Precz z nienawistną siekierą, którą włożyła ci do ręki *cudza*, nie twoja własna, ku owemu gmachowi nienawiść. Precz! Pierwszy kamień, wylupany tą siekierą z gmachu Tradycji narodowej, roztrzaska głowę zuchwalca, który by poważił się tego dokonać! A gdyby... gdyby, co nie daj Boże!—dynamitowe ideje wywrotu miały ów gmach wysadzić w powietrze, tedy gruzy jego Naród by cały przywaliły bez nadziei wskrzeszenia! Ostato by cmentarzysko Narodu, jak starego Babilonu... Pomnikiem jego były by gruzy, z których by obca cywilizacja usiłowała wyczytać dzieje zmarłej kultury Narodu, niegdys wielkiego...

Młodzieży polska! Ów gmach Kultury narodowej, poszczerbiony zębem czasu i mieczem nieprzyjaciela, podmyty prądami rewolucyjnymi, zapleśniały od braku oddechu, spogląda na ciebie z nadzieją! Z nadzieją, że będzie ci zawdzięczał wzmocnienie i odnowienie: odnowienie w duchu Chrystusowym, w myśl słów św. Pawła, które Pius X-ty obrał jako rządów swoich motto: „*Instaurare omnia in Christo*“—**Wszystko w Chrystusie naprawić!**

Słyszę śpiew Szujskiego o Narodzie Polskim:

*„Widzę ran, guzów, sińców, bez liku w twym ciele.
Widzę wad charakteru ciężkich błędów wiele:
Lecz mniemać, że ci próżno dziewięć wieków grało,
Chrobry próżno cię stawiał, próżno szablą śmiała
Tysiące bohaterów w świat rąbało drogę,
Że Krzyż próżno wiódł szablę: dalibóg, nie mogę!“*

Zwietrzałe ideały szlachecko-klerykalne? Krzyż—przewodnikiem szabli?!

A nie wy ż to, młodzi postępowcy, chcieli by wskresić złotą wolność, która zgubiła Naród politycznie,—przenosząc jeno prawo do niej ze szlachty na demos, a właściwie na partje, które się demosowi, nieproszone, interesownie, narzucają?!

A szabla? Dziś szablą polską—Wolne Słowo w duchu Bożym: wolne od przemocy ze strony wrogów Boga, Kościoła i Narodu! Ta teraz szabla za przewodem Krzyża iść musi naprzód, zwycięsko!

Żali nie zdobędziesz się, Młodzieży, na dość bohaterstwa i rozumu, aby z bohaterem Duruy'a orzec sama o sobie: „Byłem w istocie o tyle słaby, żem się za ducha mocnego uważał“!*) Bo dziś zwłaszcza, wobec terroru, któremu myśl i uczucie chrześcijańskie podlegają, duchem mocnym jest raczej ten, kto mocno i rozumnie wierzy, jawnie swą wiarę wyznaje i walczy na dwa fronty: z zacofaństwem, kryjącym się pod skrzydła Wiary, i z niedowiarstwem, płynącym pod flagą Postępu.

Młodzieży! Masz do wyboru pomiędzy ponurym, jak Piekło:—„Galilae vicisti!“—a promiennym, jak Niebo:—„In hoc Signo vinces!“

Wybieraj! Ale pomnij, że masz do czynienia z Bogiem i Krzyżem!

...Więc... Młodzieży?...

Pod znakiem Krzyża, ku świtom Postępu i Wolności, w Imię Boże, naprzód!!

K O N I E C.

*) „J'ai eu en effet la faiblesse de me croire esprit fort“.—W ko-medji Duruy'a: „Ni Dieu, ni Maitre“.

SPROSTOWANIE.

Na str. 32-ej przez omyłkę podano jako słowa Piusa X-go—słowa komentarza do Listu Papieża, wzięte z jednego z tygodników katolickich.

